

ANDRZEJ CELIŃSKI:
SKĄD SIĘ WZIĘŁA SOLIDARNOŚĆ

ZAJĘCIE ZAOLZIA – HANIEBNE,
GŁUPIE I SZKODLIWE

ROBOTNICY Z AZJI
ROZBUDOWUJĄ ORLEN

KOGO W POLSCE
STAĆ NA DENTYSTĘ

**PRAWDA
DAJE
WOLNOŚĆ**

MICHAŁ JAN

ŻEBROWSKI



MIĘDZYNARODOWY
**KONKURS
WOKALNY**

IM. ANTONINY CAMPI
Z MIKŁASZEWICZÓW

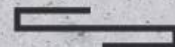
2023

Antonina Campi

O P E R A
M A S T E R C L A S S

Carmen Santoro | Mariusz Kwiecień | Ewa Vesin
Olga Tsymbaluk | Mischa Kozłowski | Tomasz Pawłowski

KONCERT FINAŁOWY 30 SIE (środa) | 18:00
Sala Operowa





Lepsi ludzie na trudne czasy

Karty zostały odkryte. Prawie. Bo nie znam jeszcze list kandydatów PiS i jego akolitów. Przypuszczam, że po podpisaniu przez opozycję paktu senackiego obóz władzy będzie próbował wystawić takich kandydatów do Senatu, którzy będą mieli większą szansę na wygraną ze znanymi już rywalami. Przy tak wyrównanym poparciu dla opozycji i władzy, jakie jest w wielu okręgach, zadecydują cechy osobowościowe, wiedza, aktywność i pomyślność kandydatów.

Gdy czasy są tak trudne jak dziś, z wojną na wschodzie i marną spuścizną po ośmiu latach pisowskich rządów, w polityce potrzebujemy ludzi większego formatu. Z dobrokiem życiowym, autorytetem i odwagą osobistą. A na to, niestety, się nie zanosi. Co wybory mamy coraz większy kłopot z jakością kandydatów. Oddaliśmy politykom ogromną władzę, a nie patrzymy, w jakie ręce trafi kierownica. Prywatnie nigdy byśmy z takimi nieudacznikami nie wsiedli do samochodu. A los państwa, czyli i nasz, oddajemy im. Z lenistwa, naiwności, niekompetencji. Można tu dopisać inne powody, dla których głos Polaków pomógł miernotom, a i zwykłym złodziejom, zasiadać w parlamencie krajowym czy europejskim.

Tego nie robią nam kosmici. Ktoś przecież ponosi odpowiedzialność za ten tak często zniechęcający dobór kandydatów na listach wyborczych. Ten ktoś jest znany. W prawie wszystkich partiach jest nim lider. Satrapa. Jedynowładca, kierujący się własnymi interesami.

W nosie ma nie tylko interes państwa i społeczeństwa, ale nawet własnej partii. Liczy się jego przywództwo. Stąd eliminowanie z list tych kandydatów, którzy mogliby mu w przyszłości zagrozić.

Bo są zbyt silnymi osobowościami, by dało się nimi zarządzać na zasadzie poleceń. Jeśli, czytelniku, myślisz teraz o konkretnych politykach i wycinkach na listach, to masz rację. Tak jest w centrali. Ale równie bezlitosne i niemądre jest życie partyjne w regionach.

Gołym okiem widać, że ten model, w którym coraz mierniejsze partie obsadzają stanowiska swoimi coraz mierniejszymi kandydatami, prowadzi wprost do katastrofy. Bez partii nie ma demokracji. Ale z takimi partiami demokracja staje coraz bardziej atrapą.

Mierni liderzy dobierają sobie jeszcze marniejszych. Tak jest dla nich bezpieczniej. A dla nas?

Dzięki wsparciu finansowemu Czytelników szykujemy kolejne numery tygodnika. Dziękuję za ogromną życzliwość, wiele dobrych słów i przelewy. Zgodnie z obietnicą rozmawiam z tymi darczyńcami, którzy podają numery telefonów. Trochę to potrwa, bo lista jest długa. Proszę o dalsze wpłaty na:

Fundacja Oratio Recta

ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

z dopiskiem: „Darowizna na rzecz PRZEGLĄDU”

BAKOWSKI



**e-prenumerata
PRZEGLĄDU**



**Do końca
sierpnia
miesiąc
za 10 zł**

**Czeka na Ciebie
5 e-wydań tygodnika**
sklep.tygodnikprzeglad.pl
Kup miesięczną e-prenumeratę,
nim skończy się promocja.
Tylko do 1 września 2023 r.



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Skąd się wzięła Solidarność?**
– rozmowa z Andrzejem Celińskim
- 14 Awantura o obcych**
Filipińczycy zamieszkali pod Płockiem
- 18 Do trzech razy sztuka**
Jak nie zbudowaliśmy fabryki leków z osocza
- 20 Polski zgryz**
Twoje zęby – twoja sprawa
- 46 Róża Luksemburg wraca do Warszawy**
Tu był dom rewolucjonistki
- 48 To nie jest miasto dla ludzi**
– rozmowa z Damianem Duszczenką

KULTURA

- 24 Prawda daje wolność**
– rozmowa z Michałem Żebrowskim
- 61 Culturalia**
- 66 Polski mężczyzna**

ZAGRANICA

- 28 Cisza nad Saakaszwilim**
Były prezydent szantażuje Gruzję
- 31 Wszystkie ziarna kryzysu**
Indie wstrzymują eksport ryżu
- 34 Batalia z francuską biurokracją**
Urzędnicy rządzą

HISTORIA

- 38 Zaolzie, czyli początek katastrofy**
Co poróżniło Polskę i Czechosłowację?
- 42 Szlacheckie kary**
Przemoc na masową skalę

OBSERWACJE

- 54 Komu pierścionek?**
Nowoczesne zaręczyny
- 56 Z pelargonią każdy da sobie radę**
Kwiaty trochę retro
- 58 Antyinflacyjny poradnik turystyczny**
Na krótkie wakacje

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Lepsi ludzie na trudne czasy
- 13 Jan Widacki**
Pisowski centralizm demokratyczny
- 23 Roman Kurkiewicz**
Militarystycznemu zakupoholizmowi – moje nie!
- 37 Tomasz Jastrun**
Króliki z kapelusza
- 51 Wojciech Kuczok**
Referendót
- 53 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Cisza – ustawienie fabryczne

20

KRAJ



POLSKI ZGRYZ

Twoje zęby – twoja sprawa



31

ZAGRANICA

WSZYSTKIE ZIARNA KRYZYSU

Indie wstrzymują eksport ryżu

56

OBSERWACJE



Z PELARGONIĄ KAŻDY DA SOBIE RADĘ

Kwiaty trochę retro

Projekt okładki: Iza Mierzejewska





f Czy Polak może być optymistą?

Polak optymistą? My jako naród mamy tendencję do narzekania. I ciągle myślimy, że u sąsiada trawa bardziej zielona. Nie powiem, ponarzekać czasem do koleżanek i kolegów też trzeba, ale jak to się robi za często, można popaść w pesymizm. Inna rzecz, że obecna władza nie daje powodów do optymizmu. Inflacja, czcze zapewnienia o bezpieczeństwie narodowym czy chociażby straszenie różnymi zjawiskami, które w cywilizowanej Europie są już normalne.

Kamil Wójcik

Lepiej być pesymistą – wtedy porażki nie boją, a sukcesy mogą pozytywnie zaskoczyć.

Michał Łuksa

f Czy Kościół, popierając PiS, wzmacnia się, czy osłabia?

Katastrofalnie osłabia i irytuje ludzi, często umiarkowanych katolików. Kościół rzymskokatolicki w Polsce ma uznanie jedynie w kręgach twardego elektoratu PiS i środowisk pokroju Kai Godek. Myślę, że część polskiego episkopatu ma świadomość, że stali się moralnym bankrutem i syndykiem masy upadłościowej korporacji wyznaniowej, która zamiast łączyć Polaków, paskudnie ich dzieli.

Damian Paweł Strączyk

Najgorsze jest to, że spory w polskim katolicyzmie przebiegają nie na poziomie teologicznym (np. Küng vs. Balthasar), ale politycznym. PiS może „wystarczyć” kościelnemu

establishmentowi jeszcze na ok. 10 lat. Potem zacznie się głęboki kryzys instytucji. Dopiero wtedy pojawią się głębsze refleksje, konieczność powrotu do ewangelicznej prostoty.

Dariusz Handzel

Mariaż tronu z ołtarzem zaczął się dużo wcześniej. Najpierw był powrót religii do szkół, potem poszło już z góry: powoływanie kapelanów, gdzie tylko się dało: w szpitalach, w wojsku, w policji, oddawanie gruntów, budynków itd., a finałem tego była ratyfikacja konkordatu. To, co dzieje się obecnie, jest efektem tego, co działo się wcześniej. Tak samo jak winnym upadku Polski nie był ostatni król, tylko to, co działo się przez wcześniejsze prawie 200 lat.

Dariusz Ćwik

✉ Przy okazji nowej biografii Krzysztofa Kozłowskiego

Sprostowanie, do którego słusznie wezwał mnie red. Andrzej Brzeziecki, zaczęć od podziękowania za radość z lektury książki jego autorstwa, którą wyszperała z internetu moja córka. Nie wiem, jak mogłem zapomnieć o jego wizycie w 2016 r. w moim starym mieszkaniu przy alei Słowackiego, z którego to spotkania sporządził ponaddwugodzinną relację. Coś takiego, kompletne wymazanie z pamięci, przydarzyło mi się chyba pierwszy raz w życiu. A trwa ono już nieprzyzwoicie długo. Podtrzymuje je ofiarny zespół DPS, znany w Krakowie pod nazwiskiem Helclów, jego XIX-wiecznych fundatorów. Dałem płamę, i to w moim ukochanym tygodniku, na którego łamach chciałbym jeszcze czasem dać znak życia.

Andrzej Kurz

Więcej listów na s. 52

ZDJĘCIE TYGODNIA

Słupki termometrów wystrzeliły w górę. Pod warszawskimi kurtynami wodnymi ochłodę znaleźli uczestnicy amputbolowego Junior Camp, odbywającego się 17-21 sierpnia na terenach klubu Legii.



Partie opozycyjne, bez Konfederacji, podpisały **porozumienie w sprawie wyborów do Senatu**, zobowiązując się do wspierania ustalonych wspólnie kandydatów.

Defilada „Silna Białoczerwona”, zapowiadana przez **ministra Błaszczaka** na 15 sierpnia jako największa w historii, zakończyła się przemarszem **2 tys. żołnierzy** przez warszawską Wisłostradę. I pokazem zakupionego w ostatnich miesiącach sprzętu amerykańskiego, koreańskiego i niemieckiego.

Roman Polański ukończył 90 lat. Światowej sławy reżyser o imponującym dorobku filmowym i zdobywca wszystkich ważnych nagród jest ścigany przez amerykański wymiar sprawiedliwości za stosunek z nieletnią w 1977 r.

Wasył Zwarycz, ambasador Ukrainy w Polsce, ocenił pomoc udzieloną jego krajowi przez nasz kraj na **14 mld zł**. Kiloński Instytut Gospodarki Światowej – na **4,287 mld euro** (prawie 19 mld zł) bez świadczeń socjalnych. Czyli bez 200 tys. uchodźców pobierających 500+ i 150 tys., którzy skorzystali ze świadczenia „Dobry start”, jednorazowej pomocy dla wszystkich, wydatków szkolnych i socjalnych. Polska szacuje tę pomoc na **50 mld zł**.

Coraz więcej wskazuje, że znaleziona pod Bydgoszczą rosyjska rakietka była jedną z trzech, które przekroczyły granicę Polski 16 grudnia 2022 r. **Dowództwo Operacyjne Sił Zbrojnych** (gen. Tomasz Piotrowski) nie zrobiło nic z tą

informacją przekazaną przez stronę ukraińską.

1,1 mln cudzoziemców było legalnie zatrudnionych w Polsce na koniec lipca. Dominują uchodźcy z Ukrainy (**748 tys.**), ale szybko przybywa Białorusinów (**121,7 tys.**), Gruzynów (**27 tys.**) i Hindusów (**18,6 tys.**).

Do **186 państw** mogą wjechać bez wiz **Polacy** na naszym paszporcie.

Amerykanie mogą to zrobić w stosunku do **184 państw**. Najsilniejszy jest paszport Singapuru, który otwiera granice 192 państw (magazyn „Forbes”).

Ponad **20 tys. osób** próbowało w tym tygodniu przejść przez zaporę na granicy z Białorusią. Według Niemiec ich granicę z Polską w lipcu przekroczyło nielegalnie **2335 osób**.

Luksemburg, Szwajcaria, Wielka Brytania i Holandia odpowiadają za ponad połowę podatków, których uniknęły przedsiębiorstwa (ponad 150 mld dol. rocznie).

Mieszkańcy Unii Europejskiej w 2022 r. wyrzucili do śmieci średnio **131 kg żywności** na osobę. 59 mln zmarnowanych ton jedzenia miało wartość **ok. 130 mld euro**. Polacy wyrzucili ok. 100 kg na osobę (dane Eurostatu).

W pasach drogowych administrowanych przez GDDKiA rośnie **ok. 400 tys. drzew**. Zdaniem uczonych z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu 90% młodych nasadzeń jest źle zrobionych i źle pielęgnowanych.

PRZEBŁYSKI

Milionerzy w reklamie „To ONA”

Głupiej już nie można. Chyba. Gdy Orlen został głównym sponsorem piłkarskiej reprezentacji, do wielu plag spadających na naszych grajków doszła jeszcze jedna. Traktowanie reprezentacji jak słupa reklamowego. Chodzi o promocję „To ONA”.

Najzabawniejsze, że Orlen do promocji obniżki cen paliw wynajął milionerów – zniżkę dla tych, którzy chętnie schylą się po 10-15 zł za tankowanie, reklamują multimilionerzy: Robert Lewandowski, Wojciech Szczęsny, Piotr Zieliński i Robert Kubica.

Nie wypatrujcie ich na stacjach Orlenu. Oni to nie ONA. Nie skorzystają z tej zniżki, którą reklamują. Jak grają, tak reklamują.

Przyjacielskie relacje Klicha

Wielu mądrali kombinuje, co jest przyczyną kariery Bogdana Klicha. Ministra obrony narodowej w latach 2007-2011, a dziś senatora PO. Klichowi nie zaszkodziły nawet dwie katastrofy samolotów wojskowych i śmierć wielu generałów. Gdyby nie Macierewicz, to właśnie Klich byłby tym ministrem, który w całej historii wyrządził wojsku największe szkody.

Nawet w krajach z końcówki tabeli taki minister podałby się do dymisji. Honorowo. Albo by go pogoniono do kanałów.

Nie doceniono uporu Klicha. Trwa i trwać ma. Bo jak ujawnił w „Polityce” Piotr Łukasiewicz, „Klich pozostaje od dawna w przyjacielskich relacjach z częścią ekipy Bidena”. No i wszystko jasne. Amerykanom się nie odmawia.



Ktokolwiek wie...

W miejscowości Szalas koło Sędziszowa w województwie świętokrzyskim zwykły obywatel dokonał czynu niezwykłego. Nazywa się to obywatelskim zatrzymaniem pijanego kierowcy. Takie interwencje zdarzają się coraz częściej. Ale ta była szczególna. Jadący wężykiem pojazd zauważono o nietypowej porze, bo tuż przed godz. 13. Kierowcą okazał się ks. Czesław K., proboszcz parafii w Obiechowie. Mimo 68 lat wprowadził do organizmu tyle alkoholu, że nie był w stanie dmuchnąć w alkomat. Dopiero przy pomocy policjantów ksiądz dał radę. Wysoczyło mu 2,5 promila. Po tej wpadce biskup proboszcza odwołał. Ale dla reszty świata ksiądz stał się nieuchwytny. Po prostu gdzieś go wciąło.

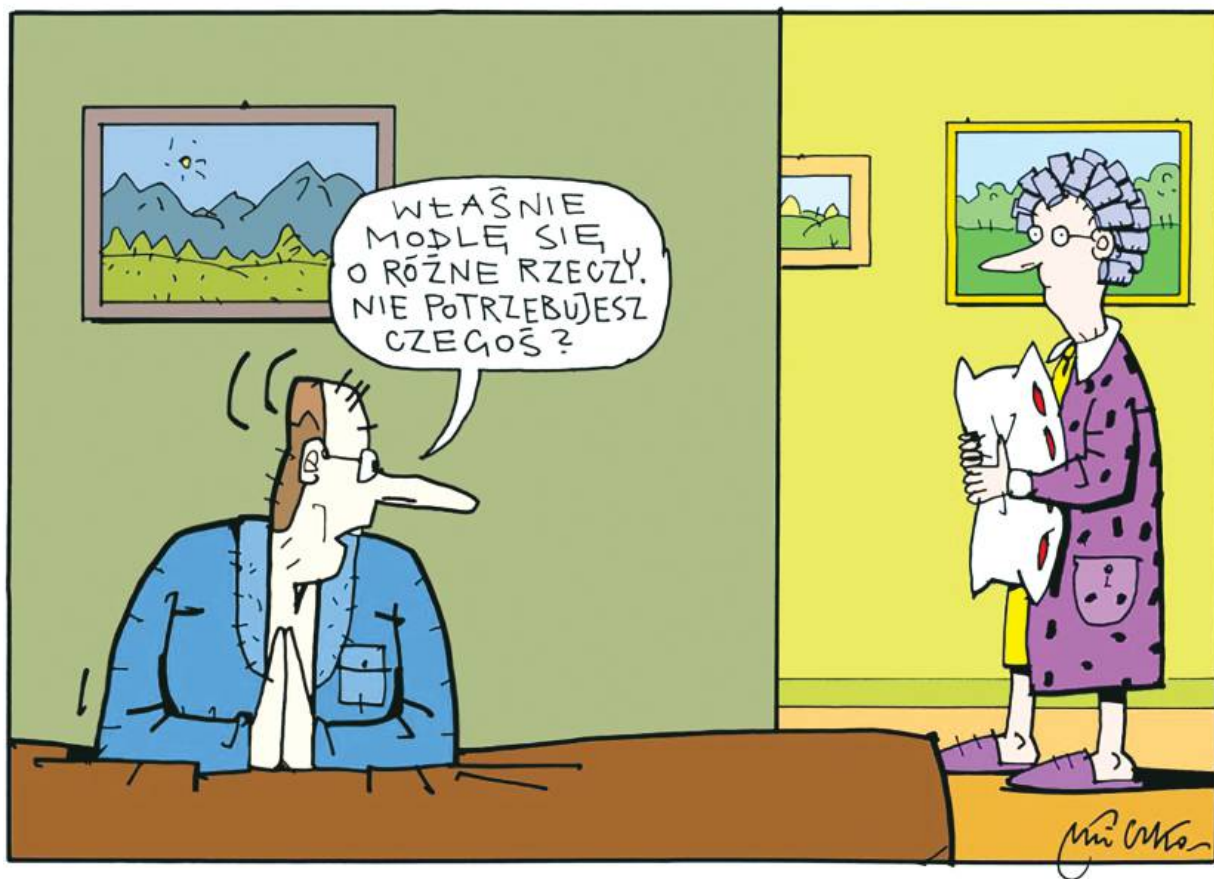
Rodzina Brymorów: interesy i politycy

Czego jak czego, ale nosa do kadr to partia Hołowni nie ma. Na uprawianie polityki potrzeba środków, stąd ryzykowne decyzje. I przygarnianie ludzi, którym akurat kasy nie brakuje, takich jak Cezary Brymora, przedsiębiorca, który jest szefem Polski 2050 w Radomiu. W półtora roku zasilł partię kwotą 26 tys. zł. Brymora to biznesmen z tych krążących. W 2015 r. kandydował do Sejmu z Nowoczesnej. Ale mimo drugiego miejsca nie został wybrany.

Już wtedy związy z Grupą Radius, powiązaną z miliarderem Szustkowskim i kapitałem rosyjskim, nie pomagały. Nas bardziej od Cezarego interesuje jego syn Szymon Brymora. Pamiętamy, jak pilnował interesów grupy na Rozbrat; m.in. jako prezes spółki Rozbrat 44A specjalizował się w ściąganiu coraz wyższych czynszów. Był bezwzględny i chamski. Mógł sobie hulać, bo Napieralski sprzedał grupie siedzibę SLD w 2011 r.

Podobno teraz Szymon Brymora zarabia na przedszkolach.





PYTANIE TYGODNIA

Co to znaczy dobrze zarabiać?

WALDEMAR WITKOWSKI,

kandydat do Senatu z okręgu nr 1,
przewodniczący Unii Pracy

To jest bardzo względne. Na poczucie, że dobrze się zarabia, wpływa miejsce, w którym się żyje. W dużych miastach koszty utrzymania i najmu są wyższe. Dlatego często mniejszy zarobek w mniejszej miejscowości jest faktycznie zarobkiem większym. Wydaje się jednak, że dziś „dobre zarobki” w Polsce to płaca powyżej pułapu kilkunastu tysięcy złotych brutto miesięcznie, czyli około dwóch średnich krajowych. Poniżej tego pułapu trudno myśleć o oszczędnościach i zabezpieczeniu się na przyszłość, ponieważ koszty utrzymania zabierają większość pensji. Oczywiście widać, że średnia płaca rośnie, ale niestety inflacja pożera ten wzrost płac. Mowa tutaj nie tylko o rzeczywistej inflacji, którą widzimy na sklepowych półkach, ale również o suchych danych zbieranych przez GUS. Podsumowując – żeby godziwie żyć, trzeba godziwie zarabiać.

DR BARBARA POPIELARZ,

wiceprzewodnicząca OPZZ

Godziwe wynagrodzenie to temat, który od wielu lat jest przedmiotem debaty pomiędzy związkami zawodowymi, pracodawcami i rządem. Pytanie o to, co dziś ono oznacza, jest niezwykle istotne, zwłaszcza w kontekście dynamicznych zmian społeczno-gospodarczych oraz trwającej kampanii wyborczej. Jednym z kluczowych elementów tej debaty jest zapewnienie uczciwego podziału zysków pomiędzy kapitałem i pracą, w taki sposób, aby pracownicy byli sprawiedliwie wynagradzani, a przedsiębiorcy mieli możliwość zwrotu z inwestycji, ale w sposób, który nie doprowadzi do nadmiernej koncentracji bogactwa w ich rękach. Dyskusja o godziwym wynagrodzeniu nie może jednak pomijać aspektów społecznych. Pracownik powinien mieć poczucie, że praca zapewnia mu nie tylko zaspokojenie podstawowych potrzeb bytowych, ale również zagwarantuje dostęp np. do edukacji i kultury.

GRZEGORZ CYDEJKO,

członek Towarzystwa Ekonomistów
Polskich

Na to pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi, ponieważ to ludzkie ambicje są motorem oczekiwań. „Dobrze zarabiać” to przede wszystkim czuć się bezpiecznie, być wolnym od opresji ekonomicznej. Jeśli nie da się spokojnie myśleć o egzystencji, to nie ma mowy o szczęściu. Gdy zaspokojony jest ten podstawowy cel, pojawiają się kolejne aspiracje. Po pierwsze, zapewnienie bezpieczeństwa innym (bliskim czy członkom społeczności). Po drugie, kreowanie i wpływanie na zmianę rzeczywistości, kiedy uczestniczymy w czymś, co jest dla nas ważne na poziomie emocjonalnym, np. pomoc charytatywna, organizowanie wydarzeń kulturalnych. Najwyższy poziom to pewność, że cele, które sobie postawiliśmy, są finansowo zabezpieczone i zostaną zrealizowane, nawet gdy udamy się już do gwiazd.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

Skąd się wzięła Solidarność?

Polityka staje się miejscem przyjaznym,
ale – jak to mówi Kaczyński – dla gorszego sortu

Rozmawia Robert Walenciak

Sierpniowy bunt... Jak on mógł tak się rozwinąć? Rozgorzeć?

– Po kilku tygodniach 9,5 mln ludzi! Przekrój społeczny, kulturowy, terytorialny całej Polski. Poszło jak ogień po wysuszonej słomie.

Dlaczego tak gwałtownie?

– Polskie życie publiczne było jak kocioł przykryty ciężką, żeliwną pokrywą. Buzowało pod nią. A zdjęcie tej pokrywy to wybuch! Mieliśmy w Polsce trzy pokolenia, które żyły bez nawet pozoru wolności. W jakoś nieprawdziwym świecie, w codziennym upodleniu. Owszem, był wielki awans społeczny, ale...

Dla milionów wolnością był awans społeczny. Wyrwanie się ze swojej wsi do zakładu pracy w dużym mieście. Później pojawiły się większe aspiracje. Rozejrzeli się i chcieli więcej.

– Mieszkanie. Łazienka... Ale przecież nie wszyscy. A dostawało się po uważaniu. A potem różne frustracje. Aż wreszcie tłumiona energia społeczna wykipiała. I przyszło marzenie o wolności.

Udało wam się oszukać świat

Samo przyszło?

– Im jestem starszy i im więcej mam doświadczeń społecznych, politycznych, tym bardziej jestem przeświadczony, że w momentach przełomowych, krytycznych ogromne znaczenie mają ci, którzy dają pierwszą interpretację, którzy nazywają to, co się dzieje, potrafią opowiedzieć ludziom o ich sytuacji, ich możliwościach, ich lękach, wskazać perspektywę, ustalić standardy. Ważny jest ton. To, kto go nada i jak on brzmi. Fenomenem Solidarności było to, że wydobyla z Polaków



ANDRZEJ CELIŃSKI

– uczestnik Marca 1968 r., współpracownik KOR, organizator Towarzystwa Kursów Naukowych, w czasach NSZZ Solidarność szef gabinetu Lecha Wałęsy. Uczestnik Okrągłego Stołu, senator OKP. Wiceprzewodniczący Unii Demokratycznej (1993-1994), później w UW (do 1996 r.). W latach 1999-2004 wiceprzewodniczący SLD, następnie w SdPI (do 2008 r.).

to, co szlachetne, czyste, łączyła w działaniu na szczytach możliwości, ustrzegła się tępej nienawiści.

Mówi pan o przywódcach Solidarności. Nie wszystkich...

– Miałem kiedyś okazję spędzić kilka nocnych godzin z Aleksandrem Kwaśniewskim, kiedy był prezydentem. Sam na sam. W jakimś momencie powiedział: „Andrzej, Polska jest krajem nieprawdopodobnego sukcesu”. Miód na moje serce! Cud transformacji. Polska przeskoczyła z trzeciej ligi europejskiej do połowy tabeli jej ekstraklasy. Przecież w 1989 r. byliśmy na takim samym poziomie jak Białoruś i Ukraina. Litwa

była na wyższym poziomie. Nie mówiąc o Węgrach czy Czechach i Słowakach. A staliśmy się, przynajmniej politycznie, bezpośrednim zapleczem czołówki, czyli Niemiec, Francji, Wielkiej Brytanii. A on dalej mówił: „Ale wiesz, ten sukces jest ufundowany na wielkim kłamstwie. Równym temu sukcesowi”. I zakończył, dźgając mnie palcem w pierś: „Że wam się udało w 1980 i 1981 r. przekonać Solidarność, a potem Polskę, Europę i świat cały, że Solidarność jest taka jak wy”. Jednym zdaniem powiedział wszystko.

A dlaczego udało się przekonać? Tych wąsatych robotników?

– Ważne jest to, kto nadaje ton, pierwszą interpretację. I kto posłucha. **Wskoczy na beczkę i powie, jak jest.**

– Tak. Bez Lecha Wałęsy by tego nie było. Wyobraźmy sobie, że na tę beczkę wskakuje Jurczyk... No, tak jak dzisiaj Morawiecki z Kaczyńskim i Suskim na dodatek. Wtedy mogłoby to się skończyć inaczej. Nawiasem mówiąc, jeszcze w listopadzie 1980 r. była próba rozbicia Solidarności, podejmowana przez prawicę solidarnościową, tę niby kościelną. Pojechali do księdza prymasa z przesłaniem, że chcą prawdziwych, chrześcijańskich związków zawodowych. Wyszyński ich pogonił. Powiedział, że Solidarność jest chrześcijańska i nie ma co jej rozbijać.

A kto w tej sprawie chodził do Wyszyńskiego?

– Wądołowski. Mogło być inaczej! Przecież do zjazdu, do lata 1981 r., struktura organizacyjna Solidarności była strukturą postrajkową. Regiony to były międzyzakładowe komitety założycielskie. Dopiero cały proces wyborczy, prowadzący do wrześniowo-październikowego zjazdu, od zakładów pracy, poprzez regiony, zbudował strukturę wybraną od początku do końca.

Z Wałęsą na czele.

– Przecież to nie było do końca oczywiste. Tam się kręciło dużo więcej chętnych. Ale pasy transmisyjne były już zbudowane. I zadziałały.

Jestem coraz bardziej przeświadczony, że to nie jest kwestia skrajnej nieodpowiedzialności rządzących dziś Polską. To jest kierowana polityka. Antypolska.

Jak przesunąć granice możliwości?

Tworzyli je robotnicy?

– To byli nie byle jacy robotnicy. Na ogół z maturą, technicy, przeważnie bardzo młodzi. Młodzi są odważniejsi, bardziej prężni. Czują, że świat stoi przed nimi otworem! Ale oni byli autoryzowani przez majstrów. Mówił mi to kiedyś Zbyszek Janas – że gdybyśmy nie mieli poparcia naszych majstrów, nic byśmy nie zrobili. W zakładach ludzie patrzyli, co

majstrowie powiedzą. Majster to jest majster... Wiadomo, ma 50 lat i nie rzuci się na barykady. Ale z boku patrzy i mówi, kto ma rację, kto się nadaje. To wystarczy. Więcej nie trzeba.

Jest więc rewolucja, ale są też bezpieczniki?

– Tamta Solidarność narodziła się w wyniku eksplozji, jednak pewne procesy rozwijane były przez wiele

Polityka to sztuka zdobywania niemożliwego. Jak coś jest możliwe, łatwe, nie ma o czym gadać, nawet Suski potrafi to zrobić.

lat. Mam na myśli z jednej strony świat wartości, wielkie cele wciąż ożywiane jakimś przekazem, rozmową, z drugiej strony wdrukowywanie w kod działalności społecznej roztropności, odpowiedzialności. Przypominam misję polskiej sekcji Radia Wolna Europa. Jan Nowak-Jeziorański wtedy już nie był dyrektorem, ale ludzie, których zatrudniał, ciągle stanowili trzon rozgłośni. On prowadził redakcję żelazną ręką, z niespotykanym na co dzień w podobnych diasporach rozsądkiem. Można było to udowodnić na przykładzie węgierskiej i polskiej sekcji w październiku 1956 r. Przecież to były zupełnie różne polityki! Mimo że ta sama stacja. Nowak-Jeziorański wiedział, że Polska jest zła, nie otwartości intelektualnej, wiedzy o świecie, a jednocześnie pilnował

takiej polityki, która nie prowadziła ludzi na barykady, która liczyła się z realiami. Rozpychała je, zmieniała, ale tak, żeby nie zerwać cienkiej granicy pomiędzy demokratyzacją a katastrofą.

Czy ten sposób myślenia był w Polsce zrozumiały?

– Polityka to sztuka zdobywania niemożliwego. Jak coś jest możliwe, łatwe, to nie ma o czym gadać, nawet Suski potrafi to zrobić. Tadeusz Mazowiecki powiedział kiedyś: „Naszym zadaniem jest najpierw

uelastyczyć granice możliwości. Żeby stały się jak z gumy. Żeby je można było przesuwac, powiększac strefy możliwego”. No i dalej kropka, długi namysł, jak to u Mazowieckiego, cisza i wreszcie konczy: „Przesuwać i broń Boże nie zerwać. Bo jak się zerwie, to jest katastrofa”. Cały problem polega na tym, że my ciągle przesuwamy, ale musimy też się bać.

To trochę jak zajęcie sapera. Trzeba mieć i wiedzę, i stalowe nerwy.

– Geremek miał wiedzę. Owszem, miał trochę dydaktyczne zacięcie. Kiedy uważał, że moje ambicje wyrastają ponad możliwości, mówił: „Andrzej, nie stawiaj wozu przed koniem”. I to jest szalenie ważne. Zaraz po tych granicach, które należy uelastyczyć i naciągać, ale tak, by się nie zerwały.

Poczułem zimny pot na plecach

Żeby nie przekroczyć granicy śmieszności?

– A Suski? A Kempa? A Witek? Czarnek? Mierni aktorzy źle napisanej sztuki w amatorskim teatryku w Krasnym Borze. A wydaje im się, że są nie wiadomo kim. Ten Karczewski biedny, jedzie do Łukaszenki, przyjeżdża potem i opowiada, że to taki ciepły człowiek... To jest ten poziom umysłowości. Bo nie chodzi o to, czy on się pomylił, czy nie pomylił, czy Łukaszenka go oszukał, czy nie oszukał. Tylko że on w ogóle taką rzecz dostrzega, że to dla niego jest ważne. Gdyby o śmieszność tylko chodziło, nie byłoby potrzeby o tym mówić, idzie o to, po co się jest w polityce. Czy jedynie dla własnej ambicji, czy jednak dla dobra wspólnego. Właśnie o tym jest to zdanie o wozie i koniu.

A druga strona? PZPR? Władza? Jak na nich patrzyliście?

– Miałem, można rzec, szczęście, że wyrzucono mnie z Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie nie było pieniędzy na badania, i jako młody socjolog trafiłem do miejsca, ▶

gdzie akurat były ogromne pieniądze i możliwości. Badaliśmy kadrę kierowniczą resortu budownictwa. Według wszystkich zasad metody naukowej. Pamiętam, dostałem pierwsze wydruki macierzy wyników – i poczułem zimny pot na plecach. Bo wszystko było inaczej, niż zakładałem. Może więc w założeniach, w fundamencie naszej pracy był gdzieś błąd? Zacząłem sprawdzać, krok po kroku. Okazało się, że wyniki są prawdziwe. Za to moje założenia były nieprawdziwe.

Co było w nich nieprawdziwego?

– Nieprawdziwe było nasze gadanie o tym, że im wyżej, tym gorzej. Absolutnie przeciwnie! Im wyżej, tym lepiej! Badanie ogarnęło 46 ówczesnych zjednoczeń budownictwa. I tylko w jednym potwierdziła się wstępna teza – w Mostostalu Zabrze. We wszystkich pozostałych było tak, że im wyżej, tym większe kompetencje.

Ale ukryte! Za ścianą nowomowy.

– Polityka bez wartości nie ma sensu. Trzeba mieć jakiś cel. A jaki oni mieli cel? Budowa socjalizmu? W latach 70., w okresie pierwszej Solidarności, bardzo brakowało mi w debacie publicznej prawdy. Uważałem, że można było lepiej zarządzać

problemem Rosji w Polsce, gdyby ta władza, która była wtedy, mniej z nami grała, a więcej rozmawiała.

Czy nie jestem za bardzo tchórzliwy?

Oni o możliwej inwazji ZSRR bali się nawet mówić. Tylko przyjaźń polsko-radziecka. To pokazuje, jak byli sparaliżowani.

– Mówimy o granicach możliwości. Gdy więc siadali z nami do stołu,

Fenomenem Solidarności było to, że wydobyła z Polaków to, co szlachetne, czyste.

zaczynali tak, że wszystko było niemożliwe. A potem stawało się możliwe. W efekcie wzmacniali radykalizm Solidarności. A wewnątrz Solidarności cały czas zwiększali siłę radykałów. Bo okazywało się, że to radykałowie i ich metody są skuteczne. I że tak naprawdę nie optała się solidnie rozmawiać z władzą.

Bo jak rozmawialiście, to zawsze byli na nie. Na krok nie ustępowali. I jedynym argumentem, który sprawę posuwał, był strajk, konflikt?

– I to stanowiło problem. Były też inne. Rakowski miał cechy osobowościowe, które niszczyły dialog.

Niepotrzebnie, bo miał w naszym środowisku, jak na komunistę, sporo zaufania.

Ale cokolwiek złego by powiedzieć, wówczas obecne było jakoś rozumiane pojęcie dobra wspólnego. Po obu stronach. Każdy to rozumiał inaczej, ale myślał kategoriami granic możliwego i tego, by, poszerzając te granice, nie wywołać katastrofy. Ja też zadawałem sobie to pytanie: czy nie jestem za bardzo tchórzliwy?

Bo Rosja?

– Bo Rosja... I 13 grudnia był dla mnie pewnego rodzaju wyzwoleniem od prawdziwie

wielkiego stresu z półrocza poprzedzającego tę datę. Od 31 marca codziennie wieczorem biłem się z myślami, zastanawiałem się, że może to oni mieli rację.

To był czas wydarzeń bydgoskich i pan należał do grupy, która była za podpisaniem umowy z rządem, za rozładowaniem napięcia. Inni byli za konfrontacją. Za to odwołał pana ze stanowiska sekretarza Krajowej Komisji Porozumiewawczej Solidarności.

– Bo nie można było uderzyć w Wałęsę. A bez dwóch zdań – ten czas to było apogeum siły Solidarności. Od tego momentu, od rozładowania tego napięcia, nasz ruch był coraz słabszy. No dobrze, ale co z tego? Gdybyśmy wtedy, na etapie apogeum, ogłosili strajk generalny, byłoby lepiej? Polska historia byłaby lepsza? Perspektywy szersze? Czy mogliśmy zwyciężyć? W jaki sposób mogliśmy zwyciężyć? Na jakiej podstawie ta teza w ogóle jest formułowana jako alternatywa? Coś takiego może powiedzieć tylko ktoś, kto – przepraszam bardzo – ma miazgę w mózgu.

Wtedy miał pan rację.

– Nie chodzi o to, że miałem rację. Po naszej stronie próbowałem prowadzić taką politykę, która była odarta z piękna. Była polityką – jak najdłużej przetrwać i jak najwięcej zorganizować. Ale ze świadomością, że w tych okolicznościach międzynarodowych nie mamy szans. Dlatego tak bardzo mi zależało, żeby doprowadzić do zjazdu. Żeby potem nie mówiono, że poszło, jak poszło, dlatego że uzurpatorzy rządili Solidarnością. Choć władze Solidarności wybrane na zjeździe były gorsze od tych władz, które były przed zjazdem. Jeżeli Geremek nie przeszedł w wyborach do Komisji Krajowej i w ostatnim barażu poległ, to o czym tu rozmawiamy? Bogdan Lis przeszedł w ostatnim, piątym barażu. A przechodzili od razu rozmaici ludzie, których nazwisk nikt nie pamięta.

PRENUMERATA POCZTOWA PRZEGLĄDU

**PŁAĆ MNIEJ
I OSZCZĘDZAJ!**

**Jeden egzemplarz
w prenumeracie 7,50 zł**

**Zamówienia można składać
do 25 sierpnia 2023 r.**

97,50 zł – IV kwartał

**We wszystkich placówkach
pocztowych na terenie kraju
lub u listonoszy
albo drogą elektroniczną
pod adresem:
prenumerata.poczta-polska.pl**



Powtórna rejestracja statutu NSZZ Solidarność przez Sąd Najwyższy, 10 listopada 1980 r. Nz. Lech Wałęsa i Andrzej Celiński.

Jednych wynagradza kosztem drugih

Mieli jakieś cele?

– Nie wiem. Zniknęli. To jest jeszcze jeden element polityki – że szukamy najlepszych rozwiązań, więc musimy też rozmawiać o ideach. Musimy się zgodzić, że mężowie stanu, a nawet zwyczajni politycy, mają wizje pożądanego

rodzaj polityki, wychodzącej od idei dobra wspólnego, widzącej pewien ład społeczny, był mi najbliższy. Dzisiaj zwyciężyła w Polsce inna polityka – rozumiana jako wynik gry interesów.

Dzisiaj to, co robi PiS, jest wynikiem gry interesów?

– W dużej mierze tak. Dodajmy, że PiS dokonało wielkiej redukcji w tej grze interesów. Zdefiniowało

myślałem, 500 zł to jest trochę powyżej 100 euro. A jak popatrzę się na inne kraje europejskie, 100 euro na jedno dziecko nie jest jakąś wygórowaną kwotą. Więc może to jest jakaś myśl? Ale rodzi się też pytanie: dlaczego są stali beneficjenci polityki socjalnej państwa i są grupy stale pomijane? Co ma powiedzieć np. samotna kobieta w szóstej dekadzie swojego życia, schorowana itd., która jeszcze musi pracować i żyje znacznie poniżej poziomu, i te wszystkie polityki socjalne ją omijają? A podatki płaci może większe niż beneficjenci 500+. A 30-latkowie, którzy nie mają gdzie mieszkać? A nauczyciele?

To są pytania na poważną debatę.

– Ważne są więc i wartości, i interesy. Ale musi być przestrzeń do dyskusji na ten temat, musi być język dyskusji i musi być jakiś efekt tej rozmowy. Dzisiejsza Polska o takich sprawach nie rozmawia. W zamian jest brutalna, prymitywna walka dwóch obozów, mówiących co prawda tym samym językiem, ale będących dwoma wrogimi plemionami. ▶

Gdybyśmy nie mieli poparcia naszych majstrów, nic byśmy nie zrobili. W zakładach ludzie patrzyli, co majstrowie powiedzą. Majster to jest majster.

ładu społecznego, porządku w państwie i w świecie. Że mają silne i ugruntowane przekonanie, jaki ład społeczny jest celem ich działań. W moich czasach łatwo to było opisać – pokazując NRD i RFN. Czyli kraje o tej samej kulturze, tej samej historii, tej samej tradycji itd. U jednych limuzyną był wartburg, u drugih – mercedes. Więc ten

Polaków jako tych, którzy są za PiS, i tych, którzy są przeciw PiS. I jednych wynagradza kosztem drugih. Ja od początku miałem problem z 500+. Autentyczny. Z jednej strony, oczywiście uważałem, że to zbyt prymitywne narzędzie, które gubi mnóstwo naszych pieniędzy i jest jednocześnie mało efektywne. Ale z drugiej strony, tak sobie

► Nie ma nadziei na pojednanie

Taka jest dziś polska polityka.

– Dokąd to prowadzi? Rosja jest przecież trwałym czynnikiem polityki europejskiej. Trwalszym od jednej, a nawet stu kadencji rządu. Może właściwe byłoby uwzględnianie tego faktu. Unia Europejska to też oczywiście miejsce gry rozmaitych

że opta się być cynicznym, opta się kłamać, opta się milczeć, kiedy innego biją niesłusznie, to ludzie tak się zachowują. A im bardziej ślisko, pokrętnie, niegodziwie w moralnym znaczeniu tego pojęcia żyją, tym bardziej chcą, żeby inni w ich oczach byli świniami. A gdy dzieci dorastają i pytają w domu o to lub tamto, głupio przecież się przyznać, że ma się słaby charakter.

Jan Nowak-Jeziorański pilnował takiej polityki, która nie prowadziła ludzi na barykady, liczyła się z realiami.

interesów. Także naszych. Dobrze więc być świadomym, które to nasze działania poszerzają możliwości realizowania naszych interesów, a które zawężają. I dobrze jest o tym głośno rozmawiać. Po prostu, jeśli chcesz prowadzić poważną politykę, musisz wiedzieć, czego chcesz. Inaczej tylko administrujesz, zarządzasz konfliktami, interesami. A jeśli do tego rozmontujesz wszystkie bezpieczniki, służbę cywilną, sądy, debatę publiczną, to masz przepis na katastrofę.

Czy w latach 80. podział w społeczeństwie, na Solidarność i władzę, były większe niż teraz?

– W tamtych czasach była nadzieja. A tu nie ma nadziei na jakiegokolwiek pojednanie. Owszem, w tamtych czasach były radykalizmy. Pamiętamy te okrzyki, że na drzewach zamiast liści... A jednak, gdy takie okrzyki padały, wywoływały absmak, były traktowane bardziej jako prowokacja niż wezwanie. Natomiast tu, po okrzykach, że Tusk jest największym wrogiem narodu polskiego, żadnego wstydu nie ma. Oni wiedzą, że kłamią, i nic. Tam jest kłamstwo od początku. To, co robili np. z tymi sędziami, powołanymi i niepowołanymi... Oczywiście najważniejsze jest to, że Polacy to akceptują.

No właśnie, dlaczego akceptują?

– Pamiętam, jakie wrażenie na mnie zrobiła nowelka Żeromskiego „Rozdziobią nas kruki, wrony”. Ściąganie butów z martwego powstańca... Jeżeli ludzi uczy się cynizmu, kłamstwa, w tym znaczeniu,

Wymyśla się więc rozmaite wymówki. Najprostsze wytłumaczenie to: takie jest życie, wszyscy tak się zachowują. I to jest ta choroba, która nas ogarnia i ciągnie w dół. A do tego dochodzi fakt, że opta się być radykalnym. Pokrzykiwać na tych innych, na bezbronnych... I to jest zło i plugawienie.

To prawda, prawicowych radykałów nam się namnożyło. Ścigają się, jeden przez drugiego.

Jeśli chcesz prowadzić poważną politykę, musisz wiedzieć, czego chcesz.

– Ten, kto nadaje ton, decyduje o kierunkach polityki. No i im udało się nadać ton. A jest on przeciwieństwem tego, który my nadaliśmy w 1981 r.

Gorszy sort idzie do PiS

Co się dzieje, że teraz do polityki idą ci gorsi?

– Z jednej strony, zmiany w Polsce, z drugiej – otwarcie na świat, na Europę stworzyło sytuację, w której powstały rozmaite alternatywne ścieżki kariery osobistej. Polityka staje się więc miejscem przyjaznym, ale – jak to mówi Kaczyński – dla gorszego sortu. Sortu gorszego i moralnie, i intelektualnie. Bo, materialnie patrząc, nawet jeżeli nakradniesz się, w takim sensie, że żonie, szwagrowi, zięciowi załatwisz radę nadzorczą itd., ile da to pieniędzy? Z 10 tys. miesięcznie? 15 tys.?

OK, to nie są małe pieniądze, ale w Polsce są tysiące miejsc pracy, gdzie można zarobić więcej.

Ale trzeba coś potrafić.

– Lepszy sort potrafi. Gorszy – idzie do PiS.

I stroi patriotyczne miny.

– Dzisiaj, jeżeli mówimy o Polsce w kategoriach nie mojej najbliższej pensji, nie mojego interesu, tylko w kategoriach państwowych, narodowych, bezpieczeństwa przyszłych pokoleń, to musimy się zgodzić, że interesem Polski jest być w jak najściślejszym związku z jak najsilniejszą Unią Europejską. Że bezpieczeństwo Polaków i Polski zależy od pozycji Polaków i Polski w ramach NATO i Unii Europejskiej. Temu nie da się zaprzeczyć. Czyli ten, kto osłabia pozycję Polski w Unii Europejskiej i w NATO, prowadzi politykę antypolską. Politykę Kremla w Warszawie. A tak właśnie jest! Bo co mówią i robią Kaczyński, Morawiecki czy Duda?

Mówią, że chcą Unii, ale innej.

– Ale innej nie ma. Jest taka, jaka jest. A oni prowadzą politykę, w której

Polska straciła już wszystkie narzędzia wpływu na Unię Europejską. Stała się pariasem. Tak jak Węgry. Koniec, kropka.

Oni mówią, że nie dadzą prowadzić Polski na pasku.

– Gdyby nawet tak było, że Unia, Niemcy chcą nas prowadzić na pasku, a tak nie jest, to wtedy trzeba by prowadzić politykę, która pasek rozluźnia. A co mamy? To jest bezmyślność albo agentura. Pozostaje więc jedno pytanie: czy to jest zorganizowane, czy nie? Czy dzielenie Polaków, przerąbanie siekierą Polski na pół to gra celowa, czy tak im wyszło? Mówimy, najdelikatniej, o ich skrajnej nieodpowiedzialności. Ja jestem coraz bardziej przeświadczony, że to nie jest kwestia skrajnej nieodpowiedzialności. To jest kierowana polityka. Antypolska. Po prostu.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Z Galicji



Jan Widacki

Pisowski centralizm demokratyczny

PiS, a w każdym razie jego główny ideolog, nie rozumie istoty trójpodziału władz. Z faktu, że jego partia wygrała ostatnie wybory, wyciąga wniosek, że ma ona na mocy tego społecznego mandatu brać całą władzę, łącznie z władzą nad sądownictwem, samorządami, instytucjami kontrolnymi, bankiem centralnym.

W imieniu „suwerena”, jak politycy PiS zwykli nazywać swój elektorat, chcą rządzić całym państwem, wszystkimi jego organami i instytucjami. Tymczasem wygrana w wyborach daje jedynie władzę w parlamencie. A i to nie nieograniczoną. Większość parlamentarna może uchylać ustawy, jakie chce, ale muszą one być zgodne z konstytucją. Na straży konstytucyjności ustaw stoi Trybunał Konstytucyjny. To on i tylko on ma prawo orzekać, czy uchwalone

Kontroli. Mówi się o niej, że jest „strażnikiem grosza publicznego”. Mimo zakusów polityków PiS, dzięki ich pomyłce kadrowej, czyli powołaniu na szefa NIK Mariana Banaśia, nie udało się tej instytucji podporządkować rządowi i wpierającej go partii. Na szczęście. Jaki sens miałyby działalność NIK, gdyby podlegała ona rządowi i rządzącej partii? Jaki sens miałyby jej kontrole?

PiS, nie rozumiejąc istoty demokratycznego państwa i jego mechanizmów, które do sprawnego działania wymagają instytucji niezależnych od rządu, takich jak sądy, NIK, bank centralny czy prokuratura, chce wszystkie te organy sobie podporządkować. Rządząc przez dwie kadencje, część istotnie sobie podporządkowało. Gdyby przyszło pisowcom rządzić przez jeszcze jedną, podporządkują sobie resztę.

Jednym z teoretyków państwa, którzy doktrynę centralizmu demokratycznego uzasadniali, był prof. Stanisław Ehrlich. Swego czasu mistrz Jarosława Kaczyńskiego.

prawo jest zgodne z konstytucją, czy nie. Jego wyroki są ostateczne. Z samej natury Trybunał nie może być zależny od rządzącej większości, bo wtedy straciłby wszelki sens. I na naszych oczach go stracił.

Sejmowa większość powołuje rząd. Ma także prawo go kontrolować, ostatecznie nawet odwołać, uchwalając wotum nieufności. Rząd i podległa mu administracja to władza wykonawcza. Z mocy konstytucji ma ona ogromne uprawnienia. Ogromne, ale nie nieograniczone. Akty prawne wydawane przez rząd muszą być zgodne z ustawami, a w ostatecznym rachunku z konstytucją. Nad działalnością prawodawczą rządu i podległej mu administracji kontrolę sprawują sądy (administracyjne i powszechne). One też kontrolują zgodność z prawem decyzji administracyjnych. Dlatego muszą być od rządu i parlamentu niezależne. Gdyby były zależne, rząd i administracja same oceniałyby swoje akty prawne i decyzje. Jaki to miałyby sens? Tymczasem PiS, powołując się na mandat otrzymany od „suwerena”, chce sobie podporządkować sądy. Tłumaczy to tym, że demokracja wymaga, aby sądy słuchały sejmowej większości i utworzonego przez nią rządu, a gdy słuchać nie chcą, gdy bronią swojej niezależności, są oskarżane, że sprzeciwiają się woli ludu, a zatem sprzeciwiają się demokracji.

Od kontroli celowości i racjonalności działań administracji, od kontroli jej gospodarności jest Najwyższa Izba

Obok tych wszystkich wymienionych instytucji są jeszcze samorządy. Terytorialne i zawodowe. A samorządy, jak nazwa wskazuje, rządzą się same i są od rządu niezależne. Z samorządami PiS walczy od początku swoich rządów. Chce je sobie podporządkować. Samorządy zawodowe (m.in. adwokacki, lekarski, sędziowski) pisowska propaganda stara się społeczeństwu obrzydzić. Nazywa je czasem bardziej łaskawie „korporacjami”, częściej „kastami” lub, gdy jest mniej łaskawa, „mafiami”.

Z samorządami terytorialnymi, które wybierają sobie swoje władze same, a wyniki wyborów bywają często różne od wyników wyborów sejmowych, PiS walczy inaczej. Dodaje im zadań, zmniejsza za to dotacje. Łatwo będzie wykazać, że samorządy nie dają sobie rady, i suweren się do nich zniechęci, nie będzie więc miał nic przeciwko temu, by rząd zaczął przejmować kompetencje samorządu.

Taka filozofia państwa nie jest niczym nowym. Obowiązywała w PRL, a nazywała się „centralizmem demokratycznym”. Trzeba jednak dodać, że ów przymiotnik „demokratyczny” odnosił się nie do zwykłej demokracji, ale do „demokracji socjalistycznej”. W efekcie, zgodnie z tą doktryną, partia (rządząca) miała większość (praktycznie wyłaczność) w Sejmie, a wszystkie organy państwowe były Sejmowi podporządkowane. Hierarchia władz była jasna: partia, Sejm, rząd i wszystkie inne organy centralne i terenowe. Jednym z teoretyków państwa, którzy tę doktrynę z przekonaniem uzasadniali, był prof. Stanisław Ehrlich. Swego czasu mistrz młodego Jarosława Kaczyńskiego.

Miasteczko kontenerowe dla robotników zajmuje 7,8 ha. Na razie mieszka w nim 500 osób z Bangladeszu, Indii, Malesji i Filipin.

Awantura o obcych

Mieszkańcy gminy Stara Biała, w której wyrosło ogromne miasteczko dla azjatyckich pracowników budowy Orlenu, nie pojmują problemu z imigrantami

Ewa Smolińska-Borecka

Mało kto z gminy Stara Biała wcześniej widział Filipińczyka. Teraz wystarczy po południu wejść do sklepu w Białej, żeby spotkać ich kilku. Kupują głównie banany, bo to ulubiony owoc tego narodu, a na dodatek w niewygórowanej cenie. To ważne, bo przecież oni przyjechali do Polski, żeby zarabiać, a nie wydawać.

Gdyby nie budowa orlenowskiego zakładu Olefiny III, niewiele osób w kraju wiedziałoby o istnieniu w województwie mazowieckim gminy Stara Biała. Głośno o niej zrobiło się, gdy powstało tam największe w Polsce kontenerowe osiedle dla zagranicznych robotników. I od razu zrodziło się pytanie: jak to jest, że 2 tys. imigrantów, których Polska wcale nie musi przyjąć, stało się pretekstem, by zorganizować referendum, a tymczasem w kontenerowym miasteczku w podpłockiej gminie będzie mieszkać ponad

5 tys. pracowników z południowo-wschodniej Azji?

Top Market Maxfresh w Białej. Wieczór. Obok sklepu zapelniony stojak na rowery. Robotnicy z kontenerowego miasteczka przyjeżdżają grupkami, po dwie, trzy, cztery osoby. Być może ze względów bezpieczeństwa, bo mogą tak samo się bać Polaków jak Polacy ich. Szybko załatwiają zakupy i odjeżdżają. Pewnie ktoś im powiedział, żeby nie przyglądali się za bardzo Polakom i nie próbowali z nimi rozmawiać, bo potem ludzie powiedzą, że obcy ich atakują. Gdy więc zbliżam się do nich, wydają się zmieszani i trochę wystraszeni. Mimo to witają mnie uśmiechem. Alvin i jego dwaj koledzy pochodzą z Manili, stolicy Filipin, wielkiej metropolii. W kraju zostawili rodziny. Przyjechali, żeby zarobić. W miasteczku kontenerowym jest teraz kilkuset robotników. Dziś po pracy rozegrali międzynarodowy mecz siatkówki. Alvin też grał. Jego drużyna zwyciężyła.

Propozycja nie do odrzucenia

Dzień w dzień na drogach Starej Białej trwa ruch pojazdów, jakiego sołectwo Biała i gmina dotąd nie widziały. Nawet chyba w latach 60., kiedy zaczęto budować Mazowieckie Zakłady Rafineryjne i Petrochemiczne w Płocku, nie było tu tak głośno jak teraz. Później, jakieś 50 lat temu, gdy uznano, że Petrochemia Płock jest jednak zbyt uciążliwa dla Starej Białej, powstał między zakładem a gminą pas ochronny. Petrochemia wykupiła od miejscowych gospodarzy wstążki gruntów o długości ok. 600 m. Dopiero w ostatnich latach, w ramach orlenowskiej gigantomanii, narodził się pomysł, by na tym pasie ochronnym postawić nową instalację petrochemiczną, która będzie największą od 20 lat inwestycją tego typu w Europie. Początkowo miała kosztować 13,5 mld zł, ale teraz Orlen oznajmił, że koszt będzie prawie dwa razy większy – 25 mld zł.

Tuż obok budowy kompleksu Olefina III powstało miasteczko kontenerowe dla robotników. Zajmuje 7,8 ha. Postawiono je na gruntach, które trzeba było wynająć od okolicznych mieszkańców sołectwa Biała. Kiedy zapytać ludzi, czy widzieli na własne oczy to miasteczko, zwykle odpowiadają, że nie. No bo właściwie po co mieliby je oglądać? Gdyby jednak chcieli je zobaczyć, sprawa nie jest prosta, trzeba by się przedzierać przez prywatne pola, które są własnością kilku rolników. Jeden z nich zgadza się na rozmowę, ale anonimowo.

– Na razie jest spokój, nie ma żadnych problemów – odpowiada wymijająco na pytanie, czy się boi z powodu tych tysięcy pracowników, którzy mają zamieszkać na osiedlu. – Ale wiem, że niektórzy się boją. Ja się zastanawiałem, czy wydzierżawić ziemię pod to miasteczko, ale właściwie oferta była nie do odrzucenia. Mam

postępu się nie zatrzyma. A co będzie z nami, nie wiadomo. Może jak się skończy dzierżawa, to nam oddadzą ziemię, a może będą chcieli ją kupić i stworzyć strefę buforową. Ja na razie o tym nie myślę, bo do zakończenia budowy jeszcze kilka lat. Zakład miał ruszyć w 2024 r., ale teraz mówią, że w 2027 r.

Wywrotka za wywrotką

Co najmniej jeden z rolników z sołectwa Biała wydzierżawił ziemię nie na miasteczko kontenerowe, ale na tymczasowy magazyn budowy. Leżą tam różne elementy o dużych gabarytach. Ogrodzony teren rozciąga się tuż przy drodze, która biegnie

Przywołany, wychodzi na podwórko, słucha, zastanawia się i mówi: – Na ten temat rozmawiać nie będę.

Droga biegnąca wzdłuż granicy sołectwa Biała i Nowe Draganie wpada do bramy, której tu kiedyś nie było, tak jak nie było ogrodzenia z siatki. Prawie przy bramie ładnie utrzymane siedlisko. Dojrzała kobieta na dźwięk dzwonka zbliża się do furtki. Czy boi się z powodu tych ludzi z kontenerowego miasteczka? Boi się. Ale na razie nawet ich nie widziała.

– Najbardziej to się przejmuję tym, że ten nowy zakład Orlenu tak blisko nas będzie – wyjaśnia. – Niedawno kupiliśmy to siedlisko, ponad 4,5 tys. m kw., bo chcieliśmy z miasta się wyprowadzić. Najpierw nam

W kontenerowym miasteczku w podpłockiej gminie będzie mieszkać ponad 5 tys. robotników z południowo-wschodniej Azji.



Alvin i jego dwaj koledzy pochodzą z Manili. Na Filipinach zostawili rodziny. Przyjechali, żeby zarobić.

prawie 5 ha, a wydzierżawiłem jakieś 2,7 ha.

Słyszac pytanie, czy mógłby podać kwotę, którą dostaje, uśmiecha się. – Mógłbym, ale nie chcę – mówi szczerze. – Prawda jest taka, że przez 20 lat nie zarobiłbym na uprawie ziemi tyle, ile za te 33 miesiące dzierżawy.

Na stwierdzenie, że Orlen zbliżył się do ich domu, kiwa głową. Czy spodziewał się tego? Nie. – No cóż,

dokładnie wzdłuż granicy między sołectwem Biała a sołectwem Nowe Draganie. Wydaje się, że to obszar znacznie większy niż te paski ziemi wynajęte pod budowę osiedla. Teren przylega do siedliska sołtysa Białej. Sołtys akurat jest w gospodarstwie. Będzie można go spytać o nastroje w związku z powstaniem kontenerowego osiedla, a także o wynajem Orlenowi gruntu pod magazyny.

wybudowali na sąsiedniej działce myjnię cystern, która pracuje aż do godz. 22, a potem się okazało, że Orlen będzie się rozbudowywał. Teraz nawet co kilka minut tuż obok naszego ogrodzenia jeżdżą tam i z powrotem duże wywrotki. Jak przychodzi niedziela i samochody nie jeżdżą, to aż człowiek się czuje nieswojo, że jest tak cicho.

Oni są legalni

Kontenerowym miasteczkiem zawiaduje firma, która buduje Olefina III, czyli konsorcjum południowokoreańskiej firmy Hyundai Engineering i hiszpańskiej Tecnicas Reunidas. – Na budowie w tej chwili jest zatrudnionych 2,6 tys. osób, ponad połowa to Polacy – wyjaśnia Jakub Zgorzelski, dyrektor operacyjny konsorcjum Hyundai Engineering Poland Sp. z o.o., Tecnicas Reunidas SA Sp. jawna. – W miasteczku kontenerowym mieszka w tym momencie 500 osób z Bangladeszu, Indii, Malezji i Filipin. W realizację projektu jest również zaangażowanych 90 Hiszpanów i 110 Koreańczyków, którzy mieszkają w wynajętych kwaterach na terenie Płocka. Zespół koreańsko-hiszpański był obecny od samego początku projektu.

► Zagraniczni mieszkańcy kontenerowego miasteczka w tej chwili zajmują jedynie dwa z 14 pawilonów. Te położone najbliżej budowy. Jak twierdzi dyrektor Zgorzelski, do końca roku liczba mieszkańców zwiększy się do 1,5 tys. Otrzymują oni pełne wyżywienie. Czasami pracują także w nocy i w niedziele, jeśli wymagają tego potrzeby technologiczne. Po pracy mogą opuszczać swoje miejsce zamieszkania. – Oczywiście miasteczko ma system wejść i wyjść jak

ze stanowiska pracy. Wszyscy klienci przyglądają się mu ukradkiem, dzieci zaś robią to ostentacyjnie. Robotnik kupuje banany i różne herbatniki. Zapytany odpowiada, że jest Filipińczykiem. Po czym wsiada na rower i pośpiesznie odjeżdża.

Sprzedawczynie mówi, że robotnicy z osiedla codziennie przychodzą do sklepu. Czasem kupują także alkohol, najchętniej rum. Filipińczycy są katolikami, więc wiara nie zabrania im picia alkoholu.

W tej chwili mieszkańców bardziej martwi to, że Orlen przysuwa się do ich zabudowań.

w każdym hotelu czy pensjonacie – przyznaje dyrektor Zgorzelski. – Pyta pani, czy liczba wejść i wyjść jest reglamentowana? Nie, jest nieograniczona. Chciałbym podkreślić, że ci ludzie to nie są nielegalni imigranci, ale pracownicy zatrudnieni przez podwykonawców. Mają pozwolenia na pracę i wizy pracownicze. Zatrudnieni są na podstawie polskich przepisów prawa pracy.

W przeciwnieństwie do nielegalnych imigrantów nie powinni więc budzić niepokoju mieszkańców. A jednak budzą. Na terenie miasteczka miały powstać boiska, m.in. do krykieta. – Na razie boiska są na etapie prac projektowych, ale mają zostać oddane do użytku w ciągu kilku tygodni – wyjaśnia dyrektor Zgorzelski. – Jakieś specjalne imprezy dla azjatyckich mieszkańców kontenerów nie są przewidziane. Są oni traktowani jak każdy mieszkaniec Płocka i mogą korzystać ze wszystkich atrakcji przewidzianych przez Orlen i Urząd Miasta Płocka. Żeby zachować spokój w miasteczku, całodobową służbę pełnią tam funkcjonariusze policji.

Alkohol też czasem kupią

Wprawdzie robotnicy z miasteczka mają całodienne wyżywienie, ale w sklepach w Białej dokupują różne rzeczy. Jest po godz. 11. W sklepie Lewiatana kilku klientów, wśród nich mężczyzna o azjatyckiej urodzie, w kolorowym stroju roboczym. Wygląda tak, jakby na chwilę odszedł

Spotkanie z robotnikiem skłoniło dwie kobiety do refleksji na temat kontenerowego miasteczka. – Czy się boimy? Na razie nie. Ale nie wiemy, co będzie dalej – ujawnia pierwsza. – Niejeden raz widziałam robotnika z miasteczka. Oni nikogo nie zaczepiają, a słyszałam od ludzi, że to nasi mieszkańcy ich zaczepiają. A co z tymi imigrantami, w sprawie których ma być referendum? Nie wiem, po co ten cyrk. Przecież my ich nie musimy przyjąć. A nawet gdybyśmy przyjęli, to przecież tylko 2 tys. na cały kraj.

– Ja to się teraz bardziej martwię tym, że ten nowy Olefin III jest bliżej nas – wtóruje druga kobieta. – Gdyby mi Orlen zaproponował, że kupi go-

Anna Lewandowska zgadza się na podanie nazwiska. Jak potem się okaże, jest jedyną osobą w tej gminie, poza wójtem, która zdobyła się na tak odważny krok. Podkreśla, że wprawdzie nie jest „z tych” Lewandowskich, ale jej syn też jest piłkarzem i trenuje w Wiśle Płock.

– Mieszkam tu od 1 marca i jestem trochę rozczerowana – mówi. – Jak rok temu przyjeżdżałam tu oglądać działkę, jechałam 15 minut. Teraz ruch jest taki, że trzeba stać w korkach. Gdybym to wiedziała wcześniej, na pewno bym tu nie zamieszkała. A czy boję się robotników z miasteczka kontenerowego? Ja właściwie zobaczyłam ich niedawno, widziałam, jak spacerują w niedzielę. Nie wydawali się niebezpieczni. Nie mam córki, o którą mogłabym się niepokoić, sama także nie odczuwam przed nimi lęku. Ale fakt jest taki – wielki koncern dba o swój interes, a my z tego nic nie mamy, jedynie korki w drodze do pracy.

A jak Polacy stąd wyjadą?

Osiedle Biała w sołectwie Biała składa się z domków położonych w ogródkach. Na dźwięk dzwonka przy furtce nikt w kolejnych posesjach nie reaguje. Pozostaje zaczepiać ludzi na ulicy. Nastolatka czeka na przystanku na autobus. Twierdzi,

Żeby zachować spokój w miasteczku, całodobową służbę pełnią tam funkcjonariusze policji.

spodarstwo za dobrą cenę, to nawet dzisiaj bym sprzedała.

W pobliskim markecie jedna ze sprzedawczyń mówi, że cudzoziemcy bywają tu codziennie. – Chodzą po sklepie ze smartfonami i tłumaczą informacje na towarach – opowiada sprzedawczynie. – Są grzeczni, uśmiechnięci. Plus jest taki, że angielski mogą podciągnąć.

Inne sprzedawczynie nie chcą rozmawiać, odsyłają do kierowniczk. Ta z kolei wykręca się, że właściwie nic nie wie, bo przyjeżdża do pracy z Płocka i lokalnymi sprawami się nie interesuje.

że nie boi się robotników z miasteczka kontenerowego i nie ma nic przeciwko tym migrantom, w sprawie których ma być referendum.

To samo mówi kobieta, która zbliża się do przystanku. – Dopiero jak zjedzie do Białej te ponad 5 tys. mężczyzn, to się okaże, czy jest czego się bać.

Kierowca autobusu ma dosłownie chwilę na rozmowę: – Często jeżdżą ze mną zagraniczni robotnicy, ale nie wiem, czy oni mieszkają w Białej, czy np. w Płocku. Nigdy nie było z nimi kłopotu, żadnych burd nie wywołują, nikogo nie zaczepiają.

Mężczyźnie spotkanemu na ulicy ludzie z kontenerowego miasteczka nie przeszkadzają. Kobieta wychodząca z posesji mówi ze stoickim spokojem: – Strachy nie strachy, trzeba żyć. Widzę ich często, jak przyjeżdżają do sklepu. Najbardziej boję się o dzieci, bo one same chodzą na boisko i na plac zabaw w pobliżu urzędu gminy. Na razie nie widać, żeby robotnicy tam się kręcili.

Słyszac pytanie, czy chodzą pod ogrodzenie, żeby zobaczyć, jak oni mieszkają, kobieta uśmiecha się. – Ja tam w środku byłam, bo pracowałam jako sprzątaczką w tych kontenerach. Najwięcej pracy to w łazienkach było, bo trzeba było umyć kabiny prysznicowe i takie długie, głębokie umywalki podobne do koryt. Oni nie szanują cudzej pracy, oj, nie szanują. Potrafią tak nabrudzić, że domyć trudno. A najgorzej było w poniedziałki, po weekendzie w łazienkach wszystko można było zobaczyć. Już tam nie pracuję.

Trudno się rozmawia z mieszkańcami Białej. Zwykle bardziej otwarci są ludzie z budynków wielorodzinnych. Takie są w sołectwie Srebrna. Mieszkają w nich byli pracownicy PGR lub ich spadkobiercy. Nowsze osiedle, trzy dwupiętrowe, przyzwoite budynki, postawił Orlen, żeby wykwaterować pracowników PGR z pałacu, który wydzierżawił. Część zabudowań mieszkalnych zajmowanych przez pracowników PGR to przedwojenne czworaki.

Kobieta z pierwszego osiedla sądzi, że tacy pracownicy zagraniczni to zagrożenie nie tylko dla gminy, ale nawet dla kraju. – Jak ci ludzie zobaczą, że u nas żyje się lepiej niż u nich, to zostaną i ściągną tu swoje rodziny. A nasi obywatele będą wyjeżdżać za granicę, bo nie będzie dla nich pracy. Tu to trzeba mieć takie plecy, żeby pracę dostać. Mój syn szuka się do wyjazdu z Polski – opowiada. – Za kilka lat będzie u nas bardzo dużo ludzi z zagranicy z polskim obywatelstwem.

W stuletnich czworakach kilka osób. Mówią anonimowo. Mężczyzna 1: – Słyszałem, że ci robotnicy



zaatakowali ludzi. Ale sam nie widziałem, żeby się źle zachowywali. Kobieta: – Co my mamy gadać. Powiemy coś, a potem ktoś przyjdzie i da nam w łeb. Mężczyzna 2: – Ja też jeżdżę po świecie za pracą. Jak przyjechali i pracują, to niech sobie zarobią. Ci, którzy są w miasteczku kontenerowym, to jest tania siła robocza. Oni są bardzo wykorzystywani, bo nie są fachowcami, wykonują tylko proste roboty. W każdym razie większość z nich. Ale to nie ma znaczenia. W przyszłym roku będzie ich kilka tysięcy. Myśli pani, że dzięki temu oni szybciej te Olefiny III zrobiją? Nie. Oni trochę podziałają, a potem wejdzie firma polska albo niemiecka, która to ogarnie szybciej. Po prostu ktoś chce na nich zarobić. I o to chodzi.

Decyzja środowiskowa musi być

Wójt gminy Stara Biała Sławomir Wawrzyński, który od 34 lat pełni tę funkcję, nigdy nie był tak popularny jak teraz. Różne media, także zagraniczne, dzwonią, by umówić się na wywiad. Wszystkich dziennikarzy interesuje, dlaczego z powodu marnych 2 tys. imigrantów z mechanizmu relokacji organizuje się w Polsce referendum, tymczasem tylko na jedną

Wójt gminy Stara Biała, Sławomir Wawrzyński:
– Najbardziej obawiam się tego, że pojawią się jakieś grupy przestępcze, które będą chciały zarobić na tych robotnikach.

budowę w Białej sprowadza się ponad 5 tys. pracowników z Azji.

– Na pewno z powodu tego miasteczka kontenerowego jest jakiś niepokój u mieszkańców. Ale wydaje mi się, że na początku był większy. Do dzisiaj nie ma żadnych problemów, jeśli chodzi o obcokrajowców. Myślę, że w tej chwili bardziej mieszkańców martwi to, że Orlen się do nas przysuwa. Zastanawiają się, czy to będzie uciążliwość. Na razie uciążliwy jest zwiększony ruch drogowy – wyjaśnia wójt.

– Przedstawiciele Orlenu i Hyundaya rozmawiali z nami, bo budowa Olefiny III i miasteczko kontenerowe są na terenie naszej gminy i inwestor musiał do nas wystąpić o decyzję środowiskową. I tę decyzję od nas otrzymał – kontynuuje Wawrzyński. – Orlen jest właścicielem ziemi, na której budowane są Olefiny III. Kiedyś to była strefa ochronna, ale teraz przepisów o takiej strefie nie ma. Orlen i Hyunday rozmawiali też z nami na temat ilości wody, jaką nasza spółka komunalna ma dostarczyć, i na temat odbioru ścieków.

Czy są zaplanowane jakieś dodatkowe rozrywki sportowo-kulturalne dla mieszkańców miasteczka? Nie. – Myślę, że oni będą tyle czasu pracować na budowie, że będą zadowoleni, gdy będą mogli odpocząć – uważa wójt. – Nikt od nas nie oczekiwał, żebyśmy dla tych pracowników realizowali jakiś program.

W przyszłym roku w miasteczku będzie ponad 5 tys. młodych mężczyzn. Czy można się spodziewać, że będą potencjalnymi klientami klubów nocnych, agencji towarzyskich? – Trafiła pani w sedno. Najbardziej obawiam się tego, że pojawią się jakieś grupy przestępcze, które będą chciały na nich zarobić.

Ewa Smolińska-Borecka
e.borecka@tygodnikprzeglad.pl

Do trzech razy sztuka

Od 30 lat trwają w Polsce próby zbudowania fabryki produkującej z osocza leki ratujące życie

Marek Czarkowski

Nie mogłem wyjść ze zdumienia, gdy w maju br. przeczytałem wywiad z dr. hab. Radosławem Sierpińskim, prezesem Agencji Badań Medycznych, w którym wyraził on nadzieję, że opozycja poprze plan budowy fabryki przetwarzającej osocze. „W końcu to strategiczny projekt dla polskiego bezpieczeństwa, dla polskich pacjentów”, podkreślał Sierpiński. Pełnomocnik premiera ds. rozwoju sektora biotechnologii i niezależności Polski w zakresie produktów krwiopochodnych (bo i taką funkcję piastuje Sierpiński) mówił, że realizację tego projektu ma zapewnić ustawa o krwiodawstwie i krwiolecznictwie, której przyjęcie pozwoli na utworzenie Narodowego Frakcjonatora Osocza. Zaznaczył przy tym, że jest ona w zaawansowanym procesie legislacyjnym.

W marcu br. minister zdrowia skierował projekt do konsultacji zewnętrznych i w najbliższych miesiącach dokument miał trafić do Komitetu Stałego Rady Ministrów, potem na samą Radę Ministrów i do laski marszałkowskiej. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, przed wyborami ustawa, z podpisem prezydenta, wejdzie w życie i będzie można zacząć budować fabrykę frakcjonowania osocza w wersji 3.0.

Brzmiałoby to niezwykle wiarygodnie, gdyby nie fakt, że w listopadzie 2020 r. Sierpiński zapewniał: „Dajemy sobie trzy lata na zbudowanie fabryki osocza”. Ten termin właśnie mija.

Podejście pierwsze – afera LFO

Już w 1994 r. prof. Ryszard Żochowski, minister zdrowia w rządach Waldemara Pawlaka, Józefa Oleksego i Włodzimierza Cimoszewicza, był przekonany, że Polska powinna produkować leki z osocza krwi. W tym czasie było ono wywożone

do Szwajcarii, a tam w laboratoriach Szwajcarskiego Czerwonego Krzyża produkowano z niego albuminy, immunoglobuliny oraz czynniki krzepnięcia. Wtedy chęć zbudowania fabryki przetwarzającej osocze deklarowała spółka Nedepol, która przekonała rządzących, że jest w stanie zrealizować taką inwestycję. Następnie przekształciła się w spółkę Laboratorium Frakcjonowania Osocza (LFO) i pod tą nazwą weszła do historii.

W 1997 r. uzyskała ona rządowe gwarancje kredytowe na kwotę ponad 30 mln dol. Kredytu spółce udzieliło konsorcjum banków z Kredyt Bankiem na czele. Zakład miał powstać w Mielcu. Sprawy od początku szły źle. W roku 1998 LFO podpisało umowę z australijską firmą CSL na zakup technologii i zaczęło zamawiać sprzęt. Rok później Kredyt Bank wstrzymał kredytowanie inwestycji, a w roku 2000 wycofali się z niej Australijczycy. Polska spółka znalazła innego dostawcę technologii – szwajcarską firmę Octapharma.

Osocze – płynna część krwi stanowiąca 55% jej objętości. Zawiera 91% wody, 8% związków organicznych, w tym białek, cukrów, witamin, enzymów, oraz 1% związków nieorganicznych utrzymujących równowagę kwasowo-zasadową ustroju. Osocze pobrane od dawców służy ratowaniu życia pacjentów z zaburzeniami krzepnięcia i w przypadku masowych krwotoków. Świeżo mrożone jest wykorzystywane jako surowiec do dalszego frakcjonowania, w wyniku którego uzyskuje się preparaty krwiopochodne. Z osocza produkuje się ponad 20 różnych preparatów białkowych niezbędnych w terapii wielu chorób, np. hemofilii. Zapotrzebowanie na leki rośnie w czasie wojen, więc osocze jest traktowane jako zasób strategiczny.

W roku 2001 ostateczny cios zadał Kredyt Bank, który wypowiedział LFO umowę i złożył doniesienie do prokuratury. W gronie podejrzanych znaleźli się m.in. były premier Włodzimierz Cimoszewicz, były minister przekształceń własnościowych Wiesław Kaczmarek, była wiceminister finansów Halina Wasilewska-Trenkner oraz ludzie z otoczenia prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Procesy ciągnęły się latami. Ostateczny wyrok w sprawie został wydany bodajże w roku 2018. Głównego udziałowca spółki, Zygmunta N., skazano na cztery lata więzienia. Wiesław Kaczmarek i Halina Wasilewska-Trenkner zostali oczyszczeni z zarzutów.

Wokół tej sprawy mnożyły się różne plotki. Mówiono, że projekt został storpedowany przez Kredyt Bank, który jakoby działał na zlecenie polityków Akcji Wyborczej Solidarność, szukających przed wyborami prezydenckimi w 2000 r. haków na Aleksandra Kwaśniewskiego. Inwestycję mieli też jakoby torpedować naukowcy zainteresowani lukratywnymi delegacjami do Szwajcarii w celu nadzorowania produkcji immunoglobuliny i innych leków z polskiego osocza. Była także mowa o zachodnich firmach, którym nie podobał się pomysł zbudowania w Polsce konkurencyjnego zakładu. Straty skarbu państwa w wyniku upadku Laboratorium Frakcjonowania Osocza szacowano na 60 mln zł. Koszty przetwarzania osocza również nie były małe.

Podejście drugie – Krauze, Bioton i Biomed

Temat produkcji leków krwiopochodnych w Polsce wrócił po objęciu władzy przez Prawo i Sprawiedliwość. Do gry weszła wówczas należąca do jednego z najbogatszych Polaków, Ryszarda Krauzego, spółka Bioton. 21 grudnia 2006 r.

Podejście trzecie – Agencja Badań Medycznych



W 2022 r. do zagranicznych firm farmaceutycznych z naszych Regionalnych Centrów Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa trafiło osocze o wartości blisko 220 mln zł.

Ministerstwo Zdrowia ogłosiło przetarg na przetwarzanie osocza. Ogłoszenia wyników spodziewano się na przełomie kwietnia i maja następnego roku. W kręgach towarzyskich stolicy plotkowano, że Krauze ma kontrakt w kieszeni, gdyż był wtedy w łaskach u braci Kaczyńskich. Prezydent Lech Kaczyński liczył na dostawy do Polski kazachskiej ropy naftowej, którą miała wydobywać należąca do „Dużego Ryśka” spółka Petrolinvest, posiadająca koncesje na poszukiwania surowca w tym odległym kraju.

W przetargu na przetwarzanie osocza startowały też spółki CSL Behring, EU Partner oraz prawdopodobnie Octapharma, Baxter i Grifols. By wzmocnić swoją pozycję, na początku stycznia 2007 r. Bioton podpisał z syndykiem umowę dzierżawy LFO na 10 lat. Miesięczny czynsz miał wynosić 80 tys. zł. Plany zakładały przerabianie w Mielcu 400 tys. litrów osocza rocznie.

Kierownictwo Biotonu oczekiwało, że Ministerstwo Zdrowia, opierając się na partnerstwie publiczno-prywatnym, zagwarantuje dostarczenie ponad 100 tys. litrów osocza rocznie. Decyzję w tej sprawie miał podjąć rząd. Ten jednak się nie kwapił, zwłaszcza że notowania Krauzego gwałtownie spadły w związku z piętrzącymi się kłopotami spółki Petrolinvest. Poza tym Bioton musiał się mierzyć z innymi wyzwaniami. Ostatecznie wszystko zostało po staremu, polskie osocze nadal było przetwarzane w Szwajcarii.

W roku 2009 za 17,5 mln zł nowym właścicielem masy upadłościowej LFO w Mielcu został lubelski Biomed. Jego ówczesny prezes i właściciel Waldemar Sierocki zapewniał, że w ciągu dwóch lat ruszy produkcja leków krwio pochodnych. Spółka miała podjąć rozmowy z resortem zdrowia. Potrzebne również były inwestycje.

W styczniu 2011 r. resort ogłosił konkurs na budowę zakładu frakcjonowania osocza. Zgłosiły się trzy firmy: Baxter, Octapharma i Biomed. Jedynie oferta Octapharmy spełniała warunki formalne. Przez prawie rok Ministerstwo Zdrowia prowadziło z tą firmą rozmowy, które jednak zakończyły się fiaskiem.

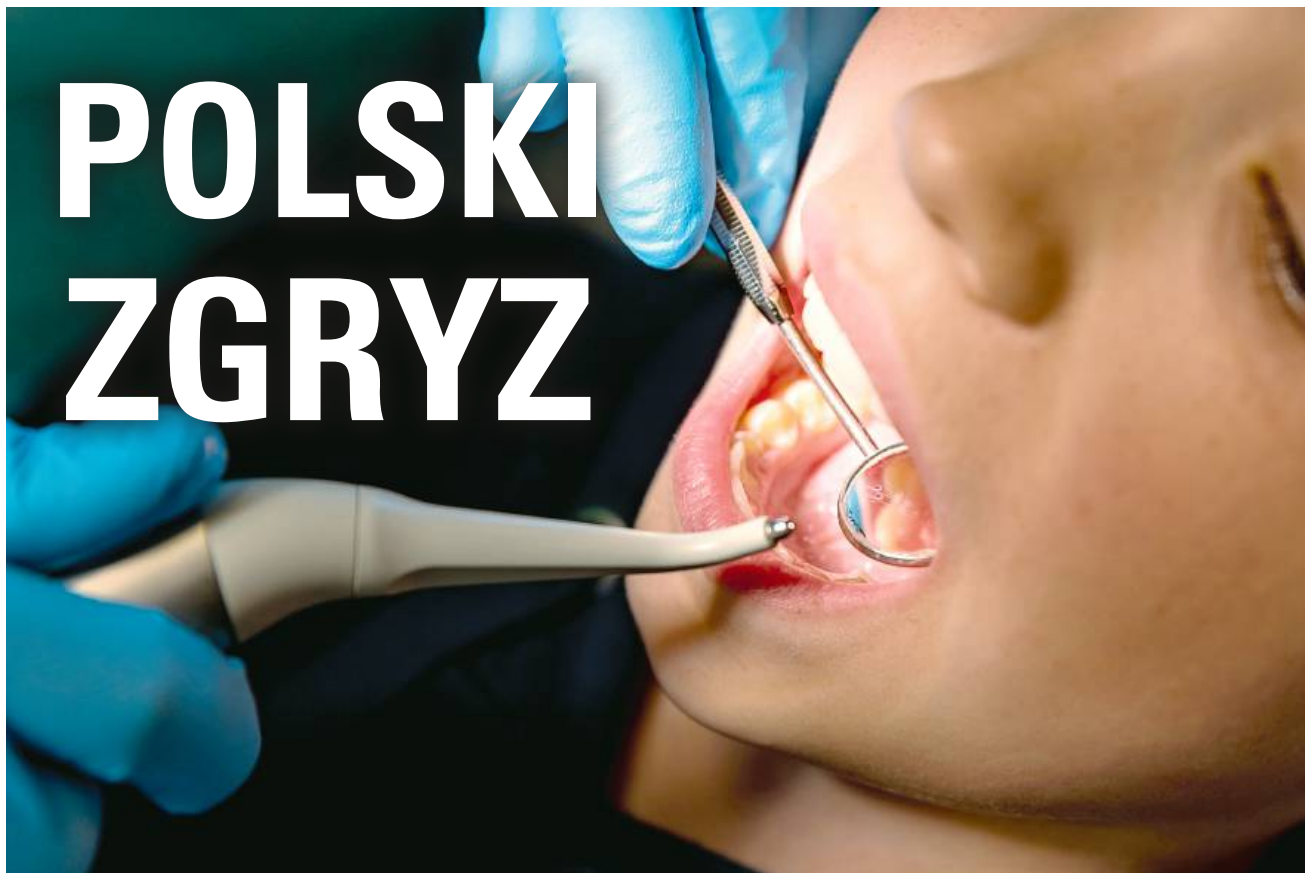
Biomed nie rezygnował. W roku 2012 otrzymał rejestrację albuminy i czynnika krzepliwości VIII, stosowanych w chorobach krwi. Latem 2014 r. uzyskał rejestrację na produkcję immunoglobuliny stosowanej w leczeniu chorób układu odpornościowego i wydawać by się mogło, że spółka wróciła do gry. Jednak frakcjonowanie osocza odbywało się nie w Polsce, lecz we Francji. Zajmowała się tym spółka LFB Biomedicaments. Prezes Sierocki przekonywał, że produkcja w dawnym zakładzie LFO w Mielcu ruszy w roku 2016. Nie ruszyła. Biomed wycofał się z tego przedsięwzięcia, tracąc ok. 100 mln zł. Łabędzim śpiewem spółki był pomysł produkcji leku na covid z osocza krwi osób, które przeszły tę infekcję. Z tego także nic nie wyszło. Lek okazał się nieskuteczny.

W kampanii wyborczej PiS pojawiło się hasło budowy w Polsce fabryki osocza. Tym razem pod państwowym patronatem. Miał się tym zająć prezes Agencji Badań Medycznych dr hab. Radosław Sierpiński. Po zwycięskich wyborach premier Morawiecki mianował go pełnomocnikiem ds. rozwoju sektora biotechnologii i niezależności Polski w zakresie produktów krwio pochodnych. Fabryka miała ruszyć po trzech latach. Nie ruszyła. Winę zwalono na pandemię. Teraz temat wrócił, lecz czasu, by poważnie się nim zająć, nie ma. W roku 2020 Sierpiński nie wykluczał, że w budowę nowego zakładu zaangażuje się Orlen, któremu nie brakuje środków. Na dziś wyzwaniem jest przeprowadzenie przez Sejm i Senat stosownej ustawy. W tle są spore pieniądze.

Według informacji wiceministra zdrowia Waldemara Kraski w 2022 r. do zagranicznych firm farmaceutycznych z naszych regionalnych centrów krwiodawstwa i krwiolecznictwa trafiło osocze o wartości niemal 220 mln zł. Dzięki tym pieniądzom regionalne centra mogły sfinansować podwyżki płac wynikające z ustawy o sposobie ustalania najniższego wynagrodzenia. Innymi słowy, honorowi dawcy krwi sfinansowali podwyżki w służbie zdrowia!

Polskie osocze jest cenione, ponieważ obowiązują u nas surowe normy odnośnie do krwiodawstwa, a i krwiodawcy są dobrego zdrowia. Zapotrzebowanie na leki krwio pochodne gwałtownie rośnie w przypadku wojen. Taki konflikt mamy w Ukrainie i obie strony bardzo ich potrzebują. Przykład ten najlepiej ilustruje, jakie znaczenie – strategiczne! – ma posiadanie własnego zakładu frakcjonowania osocza krwi. Niestety, nawet jeśli nasi decydenci to rozumieją, od prawie 30 lat działają tak nieudolnie, że podobna fabryka w Polsce powstać nie może. Strach pomyśleć, ilu rannych polskich żołnierzy straciłoby życie, gdyby zabrakło produkowanych z osocza leków na krzepliwość. Tego nie da się wycenić. ■

POLSKI ZGRYZ



NFZ od 2024 r. dołoży pieniędzy na leczenie naszych zębów.
Na jedną osobę przypadnie 88 zł rocznie.
Lekarze i pacjenci są zgodni – taka stawka to żart

Kornel Wawrzyniak

– Z perspektywy stomatologa to za stawki, jakie oferuje nam NFZ, opłaca się już tylko wrywać zęby. Jest to najprostszy zabieg, zabierający najmniej czasu. Materiały, których można użyć do wypełnienia w ramach NFZ, to farsa – są przestarzałe i mniej trwałe niż materiały oferowane komercyjnie. Również w kwestiach estetycznych takie wypełnienie pozostawia wiele do życzenia. Słowem, wstyd dziś robić czymś takim zęby – opowiada Artur*, młody stomatolog, który dwa lata temu zatrudnił się w prywatnej klinice w Warszawie, uciekając od pracy w państwowej medycynie.

W 2022 r. NFZ przeznaczał rocznie na leczenie zębów jednej osoby 55 zł. W lipcu 2023 r. Ministerstwo

Zdrowia zapowiedziało, że od 2024 r. NFZ przeznaczy na leczenie stomatologiczne ok. 3,3 mld zł ze 156,8 mld zł, które mają zostać przeznaczone na wszystkie świadczenia medyczne. Oznacza to, że stawka roczna na jeden zgryz wzrośnie „aż” do 88 zł. Od razu wylejmy kubek zimnej wody na głowy tych, którzy stwierdzili, że to spora podwyżka względem poprzedniej stawki – koszt najtańszej plombki to dziś ok. 100 zł.

Dlatego leczenie zębów w Polsce na fundusz jest od lat przedmiotem żartów. W domyśle: ludzie leczący zęby na NFZ są miejską legendą. Każdy o nich słyszał, ale nikt takiej osoby nie zna. W każdym żarcie jest zaś ziarno prawdy.

Takie myślenie nie było też obce byłemu już ministrowi zdrowia, który komentował „zastrzyk pieniędzy”

na świadczenia stomatologiczne. – Mamy pewien segment stomatologii publicznej, ale zdecydowana większość usług dla pacjentów jest finansowana prywatnie. To wynika z pewnego wzorca przyzwyczajenia – odparł Adam Niedzielski pytany przez media, dlaczego jego resort przeznacza na leczenie stomatologiczne zaledwie ułamek pieniędzy na świadczenia medyczne.

Twój ząb, twoja sprawa

Trudno nie być przyzwyczajonym jako obywatel Polski do prywatnej opieki dentystycznej, skoro kolejne ekipy rządzące zaniedbywały ten temat tak bardzo, że prywatyzacja gabinetów stomatologicznych stała się synonimem prywatyzacji w ochronie zdrowia. Nie bez powodu mówi się o niej „stomatologizacja”.

Dostępność gabinetów dentystrycznych, w których zabiegi są refundowane, z roku na rok konsekwentnie maleje. W 2019 r. było ich ponad 7 tys. W 2021 r. 6,2 tys. Dziś w Polsce działa ich ok. 5,6 tys. I na ogół znajdują się w większych miastach, dlatego oprócz kolejek trzeba się jeszcze liczyć z dojazdem, gdy ktoś mieszka w małej miejscowości. Ubyło również gabinetów zajmujących się leczeniem zębów dzieci i młodzieży na fundusz. Jeszcze w 2015 r. było ich 8,5 tys. W 2021 r. ich liczba spadła do 6 tys.

słyszałam głównie, czego w ramach NFZ zrobić się nie da, za co będę musiała zapłacić prywatnie, jeśli nie chcę po prostu wyrwać zęba, dlaczego dostanę gorsze materiały itd. – wylicza 33-letnia Amelia, malarka z Warszawy.

Czas, ból i pieniądze

Według informacji ze strony pacjent.gov.pl w całej Polsce jest obecnie zaledwie 40 placówek ze stomatologiczną pomocą doraźną, z czego trzy są w samej Warszawie, a dwie w Łodzi. Statystycznie na jedną

gospodarczą w Toruniu. Mężczyzna i tak nie wyleczyłby swoich zębów na NFZ, który, jeśli chodzi o zabiegi kanałowe, finansuje tylko leczenie zębów siecznych i kłów. Według specjalistów głównym problemem społeczeństwa jest zaś konieczność leczenia kanałowego przedtrzonowców i trzonowców, czyli tych zębów, które nie są uwzględnione na liście refundowanych świadczeń. Na NFZ Mariusz nie zrobiłby sobie też wspomnianych protez, ponieważ fundusz zwraca wyłącznie za najtańsze wypełnienia, które specjaliści odradzają w wypadku sporych ubytków.

– Przy dużym ubytku najlepszym wyborem jest szeroko pojęta protetyka stomatologiczna. Zaleca się stosowanie uzupełnień stałych, np. z ceramiki. W uzębieniu stałym w wielu sytuacjach klinicznych bardziej optymalnym rozwiązaniem są kompozytowe wypełnienia światłoutwardzalne i odbudowy protetyczne (inlay, onlay, overlay). Są one korzystniejsze dla utrzymania prawidłowej funkcji i poprawy estetyki. Niestety, to procedury bardzo kosztochłonne, zarezervowane dla zabiegów komercyjnych – tłumaczył w mediach lek. dent. Amadeusz Kuźniarski, dyrektor ds. medycznych

Z perspektywy stomatologa za stawki, jakie oferuje NFZ, opłaca się już tylko wyrwać zęby.

Od lat pacjenci nie mają wyjścia. Większość chodzi do stomatologów prywatnie.

– Klinikę stomatologiczną miałam po drugiej stronie ulicy. Oczywiście, jak to z zębami bywa, potrzebowałam wizyty natychmiast. Pobiegłam. Na fotelu okazało się, że trzeba wyrwać za jednym zamachem dwie ósemki po tej samej stronie. Rachunek przy wyjściu? Razem 1100 zł. Drugi ząb, jak się dowiedziałam, wyrwano mi niejako w promocji, za 350 zł – ironizuje Daria, 52-letnia menedżerka z Katowic.

Na rządowej stronie pacjent.gov.pl czytamy: „Jeśli zgłosisz się z bólem zęba do dowolnego dentysty lub przychodni stomatologicznej z umową z NFZ – przyjmie Cię w dniu zgłoszenia. Po godzinie 19.00 pomoc otrzymasz w placówkach, które pełnią dyżur stomatologicznej pomocy doraźnej”. Niestety, znanych jest wiele przypadków, kiedy kolejka była na tyle długa, że pacjenci z bólem i tak musieli udać się po pomoc na pogotowie stomatologiczne.

– Zdarzyło mi się cztery razy, że dentysta przyjmujący na NFZ odesłał mnie od razu na pogotowie stomatologiczne, bo nie miał gdzie szpilki wcisnąć w kolejkę oczekujących. Moje doświadczenie z leczeniem zębów na fundusz przypomina jedno wielkie czekanie. Same wizyty kojarzą mi się ze słowem ograniczenia. Za każdym razem, kiedy lądowałam na fotelu,

placówkę przypada więc prawie 1 mln Polaków. Nawet tak duże miasta jak Gdańsk, Wrocław czy Białystok mają jedno pogotowie stomatologiczne w mieście.

Pacjenci opowiadają, że okres oczekiwania na wizytę refundowaną, kiedy nie czuje się bólu, może wynosić i ze trzy miesiące. Średni czas oczekiwania w poszczególnych województwach to nawet 28 dni w Kujawsko-Pomorskiem i 24 dni

Koszt najtańszej plomby to dziś ok. 100 zł. Dlatego leczenie zębów na fundusz jest od lat przedmiotem żartów.

na Podkarpaciu. Najkrócej czeka się zaś w Świętokrzyskiem (sześć dni) i na Lubelszczyźnie (pięć dni).

Jednak nie czas oczekiwania jest największym mankamentem wizyt refundowanych przez NFZ. Najgorzej przedstawia się zakres usług i jakość wykorzystywanych przy leczeniu materiałów.

– Miałem leczenie kanałowe szóstki i siódemki w prywatnej klinice. Z zębów, można powiedzieć, zostały strzępy, do których przytworzone ceramiczne protezy, bo to, jak wyjaśnił mi stomatolog, najtrwalsza technologia przy tak dużym ubytku. Ogółem przez kilka wizyt wydałem 11 tys. zł na uratowanie dwóch zębów – opowiada Mariusz prowadzący małą działalność

Akademickiej Polikliniki Stomatologicznej we Wrocławiu.

Lista zabiegów refundowanych obejmuje kilkanaście pozycji. Na pierwszy rzut oka można w gabinecie współpracującym z NFZ poradzić sobie z większością problemów, takich jak próchnica czy usunięcie kamienia nazębnego. Okazuje się jednak, że zakres tych usług jest bardzo ograniczony. Dwa zdjęcia RTG można zrobić raz na trzy lata. Protezę wymienimy na nową co pięć lat, usunięcie kamienia zaś przysługuje raz w roku. Leczenie kanałowe obejmuje tylko zęby od jedynek do trójek.

Na pełną opiekę mogą liczyć jedynie dzieci do 18. roku życia i kobiety w ciąży lub połogu. Przy czym jeśli chodzi o dzieci, sprawa ►

► się komplikuje, kiedy stają się nastolatkami. O ile refinansowane materiały na plombę nie różnią się od oferowanych komercyjnie, gdy w grę wchodzi zęby mleczne, o tyle przy stałych zębach nastolatki potrzebują tych samych wypełnień co dorośli, a tutaj NFZ oferuje gorsze materiały niż gabinet prywatny. Dostajemy więc iluzję pełnej opieki nad zębami młodzieży, bo po raz kolejny sprawa rozbija się o oszczędność na surowcach.

Skoro to materiały są największym problemem, zdrowy rozsądek podpowiada, że sensownym rozwiązaniem byłaby możliwość dopłacenia w gabinecie za te lepsze. I tutaj stykamy się z największym paradoksem systemu. Jeśli pacjent zdecyduje się korzystać z usług gabinetu stomatologicznego w ramach kontraktu z NFZ, nie ma możliwości dopłaty do wyższego standardu. Dlatego jeśli ktoś chce lepszą plombę, musi się zdecydować na całą wizytę według cennika komercyjnego. Do wyboru zatem pacjenci mają albo mniej trwałe wypełnienia nieodpłatnie, albo wizytę za co najmniej kilkaset złotych.

Polska higiena

Od lat specjaliści ostrzegają, że stan uzębienia ma wpływ na zdrowie

całego organizmu. Udowodniono, że bakterie odpowiedzialne za tworzenie się próchnicy zwiększają ryzyko schorzeń serca, wliczając w to zawał. Tymczasem dane dotyczące higieny jamy ustnej wśród Polaków są niepokojące – 98% obywateli w wieku 35-44 lata ma próchnicę, dla wielu zaś dopiero ból zęba jest pierwszym sygnałem do odwiedzenia gabinetu. Niecałe 40% Polaków między 20. a 60. rokiem życia deklaruje, że

Niecałe 60% dorosłych Polaków myje zęby dwa razy dziennie. Prawie 20% używa szczoteczki zaledwie raz w ciągu doby.

regularnie chodzi do stomatologa, przynajmniej raz na pół roku.

Badania przeprowadzone przez firmę ARC Rynek i Opinia wykazały, że aż 67% wizyt osób w wieku 18-40 lat wiąże się z leczeniem próchnicy. Co trzeci pacjent kierowany jest na profesjonalną higienizację, której celem jest usunięcie kamienia oraz miękkich osadów nazębnych. U co czwartej osoby konieczne jest wyrwanie jakiegoś zęba.

Według raportu WHO „Global Oral Health” w Polsce częstotliwość utraty zębów u osób powyżej 20. roku życia wynosi niemal 12%. Tymczasem

badanie UCE RESEARCH i IMPLANT MEDICAL „Jak często Polacy myją zęby?” pokazało, że niecałe 60% dorosłych Polaków myje zęby dwa razy dziennie. Prawie 20% używa szczoteczki zaledwie raz w ciągu doby. Tylko 2% społeczeństwa myje zaś zęby po każdym posiłku.

Badanie CBOS „Korzystanie ze świadczeń i ubezpieczeń zdrowotnych” z 2020 r. wykazało, że prawie 60% Polaków korzystało w tamtym

roku z jakiejś formy świadczeń dostępnych w ramach powszechnego ubezpieczenia zdrowotnego. Najczęściej były to konsultacje u lekarza podstawowej opieki zdrowotnej lub/i pediatry (51%). Najmniej osób (11%) korzystało z usług dentysty lub protetyka.

Postępujące od lat niedoinwestowanie spowodowało, że publiczna stomatologia nie stanowi dziś absolutnie żadnej alternatywy dla usług prywatnych. Według prognoz agencji badań rynku PMR Market Experts w 2024 r. wartość rynku usług stomatologicznych sięgnie 16 mld zł. Jeszcze w 2020 r. było to 12,5 mld zł, ale przez covid na fotele dentystryczne trafiali tylko ci, którzy naprawdę potrzebowali wizyty. Nadal jednak daje to ok. 1 mld zł rocznie wzrostu dla rynku usług stomatologicznych, które trwająca pandemia przystopowała. Niedofinansowanie publicznej stomatologii to kolejna cegiełka dokładana przez Ministerstwo Zdrowia do cichego prywatyzowania publicznej ochrony zdrowia. Pacjentom, którzy chcą korzystać z refinansowanych przez NFZ zabiegów, pozostaje regularnie szczotkować i nitkować zęby, licząc na to, że ich uzębieniu nie przydarzy się nic niespodziewanego.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

*Niektóre personalia zostały zmienne na prośbę rozmówców.

Te mamy nas potrzebują

Ми потрібні цим мамам



www.pmm.org.pl

 Polska Misja Medyczna

Wspieraj pomoc medyczną w Ukrainie

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Dlaczego tak nie cierpię defilad? Dlaczego nie odczuwam dumy z oręża polskiego i żadnego innego, dlaczego nie uspokaja mnie żadna ilość sunących przez Warszawę wytwórni śmierci, a od patosu przemówień polityków dostaję białej gorączki, i to w tym potwornym upale? Dlaczego liczne w setkach miliardów złotych wydatki na zakupy uzbrojenia nie wpływają na mnie kojącym poczuciem bezpieczeństwa i po dziurki w nosie mam baśni głoszonych choćby przez prezydenta Dudę, że to kogoś przestraszy, odstraszy, zreflektuje, a mieszkającym w Polsce zapewni bezwojnie? Dlaczego nie odczuwam dreszczu ekscytacji, kiedy niebo wypełnia grzmot samolotów i śmigłowców bojowych, kiedy od murów miasta odbija się warkot maszyn śmierci? Co ze mną nie tak?

Może po prostu nie lubię złego teatru? A może uważam, że libretto zbrojenia, fanfary śmiercionośnych urządzeń, jeżdżących czy latających, zwyczajnie na spektakl się nie nadają? Ta ostentacja i fałszywy, sztuczny język, którym to wszystko jest

a nasza wojna sprawiedliwa. A przecież wiemy dzisiaj, że do najgorszych czynów jest zdolny każdy z nas, że zbrodniarzami stają się „dobrzy” ludzie, zwykli, przeciętni, nie żadne potwory. Nie ma sprawiedliwych wojen. Nawet ci, którzy zaatakowani bronią swojego kraju, rodzin, sąsiadów – nie zatrzymują się w okrucieństwie.

Zrównanie z ziemią Hiroszimy i Nagasaki czy Drezna powinno dać do myślenia, do zmiany paradygmatu. Chwiejna, ale istniejąca w czasach zimnej wojny równowaga broni jądrowej dała Europie, i nie tylko, kilkadziesiąt lat pokoju. I ten ewenement odszedł gdzieś w niepamięć. Cóż, biznes zbrojeniowy jest być może jedynym realnym rządem światowym. Problemem jest nawet nie to, że się temu nie przeciwstawiamy, ale to, że nie chcemy tego widzieć.

Jest absolutnym dramatem duma polskich polityków ze skali wydatków na zbrojenia; ta skala jest samospelniającą się przepowiednią. Przepowiednią wojny.

Militarystycznemu zakupoholizmowi – moje nie!

opowiadane (nie pojawiają się w tym radosno-defiladowym języku takie słowa jak śmierć, cierpienie, kalectwo, zniszczenia), dawno powinny odejść do lamusa społecznych, ludzkich zachowań, rytuałów, świątecznych dekoracji.

Moja „naiwność” nazywała się kiedyś pacyfizmem. Dzisiaj to słowo i przekonanie, że wojna nie jest, nie może i nie powinna być narzędziem rozwiązywania żadnych sporów między narodami, państwami, regionami geograficznymi, to jakaś najrzadsza ludzka postawa, oglądamy wszak triumfalny powrót ideologii militarystycznej. Każdy wyprodukowany pocisk, czołg, rakietę, dron istnieje po to, by realnie zabijać. Jak nie dzisiaj, to jutro, pojutrze. Na wojnie w Ukrainie eksplodują pociski, które opuściły fabryki w latach 50. i 70 lat cierpliwie czekały. Zdaję sobie sprawę, że jest wojna jakimś przerażająco fascynującym ludzi widowiskiem, im dalej od ostatniej wojny, im mniej świadków i skrzywdzonych, którzy przeżyli – tym łatwiej o wskrzeszenie tej zgody i akceptacji. W Polsce obserwujemy odrodzenie się militarystycznego wzmożenia, doprawione sosem pseudopatriotyzmu, okraszone jadem podejrzeń, szantażem wykluczającym krytykę takich postaw, procesów, aktywności państwa.

Do tego w Polsce dochodzi element pogańskiego religianctwa wyrażanego w pojęciach walki dobra ze złem. Równie jak defiladami jestem śmiertelnie zmęczony tymi fałszywymi (pustymi znaczeniowo) kategoriami: dobro, zło, które nam towarzyszą w cywilizacyjnych zmaganiach od setek, tysięcy lat. I skutecznie zdejmują z nas odpowiedzialność za osobiste wybory, decyzje, zachowania. Bo jeśli jest jakieś Zło, absolutne, potężne, choć niewidzialne – to nasza walka z nim jest usprawiedliwiona,

Nie ma dziś w Polsce słyszalnego głosu sprzeciwu wobec szaleńczego zbrojenia się, a może raczej militarystycznego zakupoholizmu rządzących, bo kiedy przychodzi co do czego, to rosyjska rakietę, zdolną przenosić głowicę z ładunkiem jądrowym, leci bez przeszkód 500 km przez Polskę i potem leży sobie pół roku w lesie, śpiąc smacznym snem przestrogi.

Podczas defilady czytam Tuwima:

*Gdy znów do murów klajstrem świeżym / Przylepiać zaczną obwieszczenia,
Gdy „do ludności”, „do żołnierzy” / Na alarm czarny druk uderzy
I byle drab, i byle szczeniak / W odwieczne kłamstwo ich uwierzy,
Że trzeba iść i z armat walić, / Mordować, grabić, truć i palić;
Gdy zaczną na tysięczną modłę / Ojczyznę szarpać deklinacją
I ludzić kolorowym godłem, / I ludzić „historyczną racją”
O piędzi, chwale i rubieży, / O ojcach, dziadach i sztandarach,
O bohaterach i ofiarach; / Gdy wyjdzie biskup, pastor, rabin
Pobłogosławić twój karabin, / Bo mu sam Pan Bóg szepnął z nieba,
Że za ojczyznę – bić się trzeba (...) / Wiedz, że na twogę biją w dzwony
Króle z panami brzuchatemi; / Wiedz, że to bujda, granda zwykła,
Gdy ci wołają: „Broń na ramię!”, / Że im gdzieś nafta z ziemi sikła
I obrodziła dolarami; / Że coś im w bankach nie sztytuje,
Że gdzieś zwęszyli kasy pełne (...) / Różnij karabinem w bruk ulicy!
Twoja jest krew, a ich jest nafta!*

Prawda daje wolność

Za dewastacją Polski stoją konkretni ludzie

Rozmawia
Krystyna Pytlakowska

W czerwcu skończył 51 lat. Ale zachował młodzieńczość. Jest mężem Aleksandry, młodszej o 15 lat bizneswoman, i ojcem czworga dzieci. Aktorem czuje się już od dzieciństwa. Jest wszechstronnym człowiekiem sztuki: gra i śpiewa, używa głosu do dubbingu, od 2010 r. jest właścicielem i dyrektorem Teatru 6. piętro. Ale widzowie znają go głównie z takich filmów jak „Ogniem i mieczem”, „Pan Tadeusz” czy „Wiedźmin”. Zresztą zaczynał od filmu, który odbił się głośnym echem – dramatu Feliksa Falka „Samowolka”. Cały czas jednak czuje niedosyt swojej gry aktorskiej, do czego szczerze się przyznaje.

Politycznie zbuntowany, kiedyś goliwy wyznawca Kościoła, już kilka lat temu odwrócił się od religijnych dogmatów, o czym mówi z wielką odwagą i otwartością.

Mieszka w Warszawie, ale jego drugim domem stało się gospodarstwo ekologiczne na Podhalu. Stał się wyznawcą prawdy w każdej dziedzinie życia. Uważa, że prawda powinna królować też w teatrze – jego wielkiej miłości.

Lubię, jak się śmiejesz.

– Dziękuję. Miło mi, że tak mówisz, zwłaszcza że uśmiecham się szczerze. Wiele lat bolał mnie fakt, że ludziom w kontaktach ze mną uśmiech zniknął z twarzy. Spytałem więc żonę, dlaczego ludzie kiedyś się do mnie uśmiechali, a teraz nie. „W ogóle im się nie dziwię, zwróć uwagę np., w jaki sposób odpowiadasz ludziom dzień dobry”, powiedziała.

Pozwól, że się wtrączę. Przestałeś grać w komediach.

– Przeciwnie. W „Na dobre i na złe” od wielu już lat gram rolę komediodawcy. Ale niedawno zauważyłem prawdziwy postęp. Ludzie na ulicy znowu

Bliżej



MICHAŁ JAN ŻEBROWSKI

zaczęli się do mnie uśmiechać, co bardzo mnie cieszy.

Dlatego, że cię rozpoznają?

– Nie, po prostu cieszę się wyrazami sympatii i akceptacji, przede wszystkim dlatego, że ja również zacząłem ofiarować je innym.

Zmienileś się?

– Mam 51 lat. Dość długo szukałem powodów tego, że nie umiem być tak spontaniczny jak kiedyś i tak z siebie zadowolony jak wtedy, gdy miałem np. 25 lat. Po trzydziestce

wpadłem jednak w takie turbulencje różnych kłopotów ze sobą, że straciłem mnóstwo swojej spontaniczności i entuzjazmu. Po prostu nie czułem, że wypowiadam się, pracuję i żyję na miarę własnych możliwości.

Przecież grałeś wspaniałe role.

– Ale nie potrafiłem się nimi cieszyć. Patrzyłem na siebie bardzo krytycznie. Za bardzo chyba ulegałem temu, co sądzą o mnie inni. A z wiekiem coraz bardziej przestawałem wierzyć w siebie.

Mówisz, że chciałeś być sobą. Co to znaczy?

– To znaczy czuć radość i ulgę z faktu, że niczego się nie boisz. Że strach nie jest w stanie zachwiać twojego poczucia własnej wartości. To oznacza przekonanie, że nie jestem mniej wartościowy, jeśli inni ludzie myślą odmiennie. A także wiarę w to, co ja uważam w życiu za słuszne.

Ludzie na ulicy znowu zaczęli się do mnie uśmiechać.

Każdy aktor ma chyba rozdwojenie jaźni, bo musi wierzyć w postać, którą odtwarza, nawet jeśli to mor- derca. Ty zawsze marzyłeś, żeby być aktorem. Musiałeś więc liczyć się z tym, że będziesz wczuwać się w różne osobowości i grać w różnych scenariuszach.

– Tak, ale nie czułem, jak grać, żeby jednak być sobą. Czułem niedosyt siebie i pragnienie zrozumienia mnie przez bliskich takim, jakim jestem naprawdę.

Szukałeś odpowiedzi. Chodziłeś na terapię do psychologa?

– Kiedy bolał nas zęby, idziemy do dentysty, dlaczego więc nie iść do lekarza, kiedy boli cię głowa? Ludzie leczą się różnie. Niektórzy uciekają w alkohol lub trucizny, czytają obsesyjnie książki, niektórzy obsesyjnie uprawiają sport. Inni chodzą do psychoterapeutów. Są też tacy, którzy regularnie się spowiadają, powierzają wszystko tzw. Bogu... lub robią to wszystko naraz. Tak jak inni staram się nie zwariować.

Jaki błąd popełniają rodzice, odbie- rając dziecku wiarę w siebie?

– To nie zawsze musi być wina rodziców. O tym trzeba jednak porozmawiać z psychologiem.

Chłopak, który ma ogromne szanse na sukces i ten sukces osiąga, nie ma powodów do wahań nastroju.

– Pytanie, co uważamy za sukces. Sukcesem jest chyba prawdziwy spokój ducha. Kryzys wiary w siebie czy w sens tego, co się robi, dotyczy zarówno ludzi kładących zaprawę na ścianę, jak i lekarzy czy nauczycieli. Dopiero kiedy sięgamy po pomoc, bo już sami nie dajemy rady, zaczynamy czuć, że to dobra decyzja.

Potrzebujemy kogoś, kto pomoże nam zadać pytania i znaleźć na nie odpowiedzi, bez których uważamy nasze życie za niespełnione.

Jakie teraz zadajesz sobie pytania?

– Przede wszystkim, czy jestem wystarczająco dobrym rodzicem, mężem, towarzyszem podróży moich najbliższych. Czy jestem dobrym kolegą etc.

A nie pytasz, czy jesteś dobrym aktorem?

– Nie w pierwszej kolejności. Uważam, że powinienem lepiej grać, niż gram. Podejrzewam, że widzowie odbierają mnie jako tzw. dobrego aktora, ale ja siebie za takiego nie uważam. W tym sensie, że nie jestem takim aktorem, jakim marzyłem kiedyś zostać. To przekonanie męczyło mnie przez lata. Ale dzięki pracy nad sobą zrozumiałem, dlaczego nie mogłem w moim zawodzie osiągnąć satysfakcjonującego mnie poziomu. Uspokoiłem się wtedy i przestałem zadreć. Odtąd gra mi się o wiele lepiej, bez napięcia czy lęku. Nie wiem, do czego mnie to doprowadzi, ale ważne, że dałem sobie szansę.

Demokracja w teatrze jest jak rak. Nieleczony oznacza śmierć teatru. W zdrowym teatrze obowiązuje żelazna hierarchia.

Przedtem żyłeś tak, żeby to inni byli z ciebie zadowoleni? Działaleś w różnych sferach, nie do końca w to wierząc? Byłeś ministrem, działaleś w ruchu oazowym, żonę poznałeś przez Kościół. A teraz od niego odszedłeś. Nawet nie ochrzciłeś młodszych dzieci. Chodziło o pedofilie?

– Oboje z żoną podjęliśmy taką decyzję. Na swojej drodze miałem okazję spotykać oddanych kapłanów, choć z ich poglądami na życie czy politykę całkowicie się nie zgadzałem, a dzisiejsze działania uważam za karygodne. Co do zjawisk, o które pytasz, polecam lekturę pamiętników naszych szkolnych bohaterów, o których kazano nam się

uczyć. To otwiera oczy i głowę na to, co kiedyś działo się np. na polskich wsiach.

Czy kryzys wiary łączy się z kryzy- sem Boga? Nie modlisz się?

– O modłach wolę nie mówić w wywiadach. Nie traktuję tego, co mówię, jako kryzysu Boga. W ogóle nie uważam tego za kryzys. Przecież za tym, co się wydarzyło w naszym kraju, za tą dewastacją kulturalną i intelektualną Polski, za podziałem Polaków stoi konkretna instytucja, konkretni ludzie. Przeczuwałem to lata temu, ale bałem się nazwać. Nie do końca wierzyłem zresztą, że coś takiego może się w naszym kraju wydarzyć. W moim przekonaniu Polska na to nie zasłużyła.

W coś jednak trzeba wierzyć.

– Tak? A dlaczego? I w co?

Choćby w nadzieję.

– Wybacz, ale to banał. W jaką nadzieję trzeba wierzyć?

W to, że będzie nam łatwiej żyć. Ale nie chcę rozmawiać o polityce.

– Zgoda, nie rozmawiajmy o tym towarzystwie.

A kto jest twoim towarzystwem?

– Ludzie, przy których trwam od dzieciństwa.

Skoro nie akceptujesz tej władzy, dlaczego nadal grasz w serialu TVP, tak silnie związanej z rządem?

– Serial „Na dobre i na złe” przetrwał każdą władzę – ma już prawie 25 lat i nigdy nie był „związany z rządem”. Wiem, że widzowie, którzy kochają nasz serial, mają różne poglądy polityczne. Część jest stałymi widzami TVP, inni od ośmiu lat wyczekują kolejnych odcinków tak samo jak upadku PiS.

Myslałeś kiedyś o tym, że będziesz dyrektorem teatru?

– Tak. Kiedy miałem 17 lat, moja ciocia podarowała mi książkę Rudolfa Binga „5000 wieczorów w Operze”. To on był organizatorem Międzynarodowego Festiwalu w Edynburgu, a następnie przez lata skutecznie reformował Metropolitan Opera w Ameryce. Przeczytałem ▶

► jego wspomnienia jeszcze jako nastolatek. Zastanawiałem się, dlaczego tak mnie pochłonięły. Potem były studia w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej i szansa spotkania z wielkimi osobowościami teatru, takimi jak Gustaw Holoubek, Zbigniew Zapasiewicz czy Janusz Warmiński. Kiedy po latach rozpoczęliśmy wraz z Eugeniuszem Korinem produkowanie naszych spektakli, dość namolnie zachęcałem go, żeby otworzyć własny teatr. Potem wszystko pocięło się bardzo szybko, chociaż kosztowało to Eugeniusza, mnie oraz cały zespół naprawdę ogrom pracy. Eugeniusz dokładnie wiedział, co nas czeka, przez wiele lat był dyrektorem Teatru Nowego w Poznaniu, więc zapierał się, jak mógł, ja natomiast byłem opętany. Z samego opętania jednak, bez doświadczenia Korina, tego teatru by nie było i nie byłoby takiego sukcesu. Mija właśnie 13 lat, odkąd istnieje Teatr 6. piętro.

scenę, tylko 31 dni w miesiącu, nie mamy żadnych dotacji publicznych, a w repertuarze gotowe tytuły, które są oblegane przez widzów od lat.

Ciekawe, jakim byłeś studentem. Bezkrzytycznie wielbiącym autorytety i wielkie nazwiska?

– Spragnionym nauki w szkole teatralnej – pierwszej, do której chodziłem z radością po mękach podstawówki i liceum. W końcu trafiłem do miejsca, gdzie usłyszałem: „Wreszcie jakiś chłopak, który rozumie, co do niego mówimy. Uczmy go”. Uczyłem się więc za dwóch i bardzo żałowałem, że kończę szkołę. Nie czułem radości tzw. wyrwania się w świat. Ostatnio rozmawiałem z Anną Dymną. Powiedziałem: „Nie lubię siebie jako aktora, jestem sobą zawiedziony”. Odparła, że bym się tym nie przejmował. „To zrozumiałe. Do tej pory grałeś jak aktor, który wchodzi i – jak to się mówi – jest. To dopiero początek. Kiedy zaczniesz używać

tak naprawdę rodzinie. Każdy urlop, każda wolna chwila. Kiedy nasi starsi synowie mieli 13 i 9 lat, pomyślałem, że to dobry moment, żeby pomyśleć o sobie. A tu się pojawili Feliks i Łucja, więc od początku mamy samo. Ostatnio mówię do żony: „Słuchaj, mam pomysł, jak już tak odchowamy dzieciaki, to wyruszymy w podróż dookoła świata. Będziemy co dwa miesiące zmieniać kontynenty i przez dwa, trzy lata pojeździmy po całym świecie”. A Ola: „OK, świetnie, ale pamiętaj, że będziesz miał wtedy 70 lat!”.

Ważne, żeby zachować chęć życia i młodą duszę, a ty ją masz.

Istotne jest, od czego się zaczyna, a nie jak i kiedy się kończy.

– A koniec właśnie w sztuce jest najważniejszy, najtrudniejszy. Zacząć i rozwijać potrafi wielu, ale skończyć? To naprawdę trudne. Dlatego uważam, że najlepiej kończy się film „Pół żartem, pół serio”: „Nikt nie jest doskonały”. Ale nie bardzo mamy tu miejsce na takie rozważania.

Dobrze, opowiedz więc trochę o swojej

prywatności. Wiem, że jesteś czwornym mężem, dobrym ojcem stworzą dzieci i dobrym człowiekiem.

– No po prostu chodząca dobroć! Daj spokój, straszny nudziarz ze mnie.

Potrafisz dla dzieci zrezygnować z wyjazdu na festiwal.

– A to akurat prawda. Właśnie wczoraj jechałem odebrać syna z obozu piłkarskiego i pomyślałem, że to jest dla mnie w tym momencie najważniejsza rzecz na świecie. Gdyby zaproponował mi rolę sam Scorsese, i tak poświęciłbym ją dla odebrania syna z wakacji. Takie myślenie uwalnia mnie od rozterek. Teraz jadę po syna, a zaraz potem wracam do naszego teatru.

Zastanawiam się, czy twoje dzieci pójdą twoją drogą.

– Starsi synowie na szczęście mało zajmują się moim zawodem. Nie przytłaczam ich swoją pracą. Przeciwnie, staram się, żeby czuli, że to, co oni robią, jest dla mnie najważniejsze.

Ale dorastają i zdają sobie sprawę z tego, że mają ojca innego niż ich koledzy.

– Nie wiem, czy to takie ważne. Chciałbym, żeby moje dzieciaki czuły,

Bardzo wierzę w kobiety, tak samo w mężczyzn, lecz w kobiety chyba bardziej.

Nie boisz się, że może ponownie cię nie wybiorą na dyrektora? Jak to jest z demokracją w teatrze?

– Demokracja w teatrze jest jak rak. Nieleczony oznacza śmierć teatru. W zdrowym teatrze obowiązuje żelazna hierarchia. Najpierw głos zabierają najlepsi aktorzy, potem wybitni, a na końcu inni, pod warunkiem że cieszą się i doceniają fakt pracy w tym konkretnym zespole. W teatrze rządzi ten, kto ma rację na scenie i kto potrafi każdemu – zarówno protagoniście, jak i studentowi – wytłumaczyć, dlaczego gra źle. Bez dyrektora artystycznego w teatrze zaczynają rządzić aktorzy. A to oznacza śmierć. Dyrektor artystyczny powinien wchodzić na scenę i każdemu otwarcie mówić, na czym polega jego problem. Tacy ludzie teatru zdarzają się bardzo rzadko. Ale zdolni aktorzy w mig wykorzystują szansę i spotkanie z kimś takim.

Masz w swoim teatrze samych zdolnych?

– Mamy niewątpliwą przywilej możliwości proponowania pracy każdemu aktorowi w Polsce. Nie wszyscy jednak mają czas czy ochotę na granie u nas. Niestety, mamy tylko jedną

swoich aktorskich umiejętności, wtedy czeka cię frajda”.

Baleś się używać tej wiedzy i umiejętności grania?

– A jak można ich używać, grając wiedźmina? Trzeba dobrze wyglądać, nie spaść z konia i mówić barytonem zdania z kropką (*śmiech*).

Ale zagrałeś też w kultowych filmach, choćby u Jerzego Hoffmana.

– To było 140 lat temu. Choć oczywiście nadal jestem młody.

Zagrałbyś jeszcze raz u Hoffmana?

– To nie podlega dyskusji. Hoffman potrafił rzeczy skomplikowane tłumaczyć w przystępny, zrozumiały sposób. Pamiętam, jak kiedyś na festiwalu w Kijowie powiedział do mnie: „Wiesz, siedzę tu, Michał, i patrzę na te wszystkie dziewczyny, bo piękne są, uśmiechnięte... Ale brakuje im jednej rzeczy”. Spytałem jakiej. „Otóż fantazji. Moja Wala potrafiła w sześćdziesiątym którymś roku w ambasadzie amerykańskiej na bankiecie zgasić światło i krzyknąć: »Padnij! Ruskie bombardują!«”.

Twoim celem jest dać upust fantazji?

– A czemu nie? W moim obecnym życiu wszystko jest podporządkowane



Na dobre i na złe.

że dom jest miejscem bezpiecznym, gdzie nic im nie grozi, gdzie zawsze mogą odetchnąć i nikt im nie będzie ciosał kotków na głowie. Żeby czuły się takie, jakimi są, żeby mogły być sobą. A to, kim jestem z zawodu, kompletnie pomijam.

Spodobała mi się anegdota o twoim synu, który zamyślony stał na schodach. Powiedziałeś mu, żeby poszedł spać, a on odparł, że teraz myśli. Że każdy ma własny styl, a on ma właśnie taki.

– No właśnie. Tenże syn w minutę i 35 sekund daje mi mata, mimo że naprawdę nieźle gram w szachy. Zachwyca mnie to, że 9-latek gra z 51-latką jak z dzieckiem.

Szachiści mają zmysł logiki i przewidywania kolejnego ruchu.

Ty masz taki zmysł szachisty.

– Ale tylko na trzy ruchy do przodu, a nie na dziewięć. Arcymistrz myśli o przyszłych 16 ruchach, a minimum dobrego szachisty to dziewięć. Sukcesy dzieci cieszą mnie bardziej niż własne.

Twoja żona Aleksandra zgadza się ze wszystkimi twoimi poglądami i stosunkiem do dzieciaków?

– Na szczęście nie. Podziwiam ją jako mamę. Dużo się od niej uczę. Przede wszystkim sztuki perswazji i czułości, jaką okazuje zbuntowanym dzieciom.

A jakbyś teraz zagrał Pana Tadeusza?

– Pewnie bardziej bym „grał”, niż „był”. Wtedy po prostu byłem.

Pewne role gra się w określonym momencie życia. Pan Tadeusz nie może mieć pięćdziesięciu paru lat.

Wprawdzie włosy ci posiwiały, ale to dla kobiet jest bardziej pociągające.

– Słyszę to również z ust mojej żony, która uważa, że podobno lepiej wyglądam niż wtedy, kiedy wychodziła za mnie za mąż (*śmiech*).

Czego oczekujesz od swojego dalszego życia?

– Tego, że będę od siebie więcej wymagał i żeby Polski nie okradali gangsterzy.

Nie boisz się tego mówić?

– Boję, ale co mam zrobić?

Czego jednak byś chciał dla siebie, tak prywatnie?

– No właśnie bardzo prywatnie przeżywałem to, co dzieje się w naszej ojczyźnie.

A jaka w tym wszystkim miałaby być rola teatru?

– Teatr powinien bawić, wzruszać, a szczególnie prowokować do myślenia, ale nie nudząc. Zadaniem teatru jest pokazywanie świata takim, jakim jest.

Czy jesteś z czegoś naprawdę dumny, z jakiejś roli, którą zagrałeś?

– Na pewno z „Niezwycięzonego” Torbena Bettsa. To jest nasze wielkie odkrycie teatralne. Kiedy rzucę okiem na widownię, nie ma wolnego miejsca. Widzę nawet siostry zakonne siedzące na poduszkach, młodzież. To dla mnie frajda, że ludzie łakną naszego teatru.

Teatr wychowuje i literatura wychowuje. Na jakich książkach dorastają twoje dzieci?

– Staram się nie zmuszać dzieci do czytania, wierzę, że same do tego dorosną. Jako dziecko czytałem wszystko, co było przygodowe. Zachłannie. Ale tak naprawdę o wiele więcej czytałem, kiedy miałem już na to czas, czyli po trzydziestce. Wiele lat robiłem to bardzo intensywnie. I moja miłość do książek trwa. Czuję, że dzięki nim nie głupieję do reszty.

A co czyta Michał Żebrowski?

– Po trzy książki naraz. „Kobieta postfeministyczna. Dyktaturę kobiet” – rozprawkę o tym, co się porobiło z kobietami w dzisiejszym świecie. Polecam wszystkim panom. Następnie wywiad z Davidem Harrisem „Na pierwszej linii”, a trzecia książka to „Wielka wojna o chipy. Jak USA i Chiny walczą o technologiczną dominację nad światem”. Genialna rzecz. Książka gospodarcza roku o tym, gdzie we współczesnym świecie toczy się wojna. I o co. Porywająca.

Jesteś feministą?

– Nie, jestem Michałem Żebrowskim, który bardzo wierzy w kobiety, tak samo w mężczyzn, lecz w kobiety chyba bardziej.

Czytasz w łóżku, gdy wracasz z teatru?

– Czasami nie idę do teatru i bardzo to lubię. Zależy mi na tym, by moje dzieci pamiętały mnie jako ojca czytającego. Ja mojego zawsze pamiętam, jak siedział z książką. Odkładał ją, kiedy się od niego czegoś chciało, a potem wracał do czytania. Taki obraz ojca mam przed oczami. Staram się iść jego drogą. A poza tym dbam o zdrowie, żyję tu i teraz, biegam, robię pompki i staram się być pomocny. No i marzę o tym, żeby powietrze było świeże, a w kranie czysta woda.

I znajdujesz jeszcze czas na prowadzenie gospodarstwa ekologicznego na Podhalu.

– To miejsce służy wypoczynkowi i wytnieniu. Mam wrażenie, że tam mieszkam, a tutaj pracuję. Znajduje się w wysokich, niedostępnych górach.

A co w nim produkujesz?

– Głównie święty spokój (*śmiech*).

Krystyna Pytlakowska

Cisza nad Saakaszwilim

Wygląda na to, że były gruziński prezydent jest kłopotliwym sojusznikiem nawet dla PiS

Agnieszka Wołk-Łaniewska

Zauważyliście, że nawet pisowskie media nie obchodziły z nadmierną pompą niedawnej 15. rocznicy bohaterskiego lotu Lecha Kaczyńskiego do Tbilisi? Enuncjacja osadzonego Micheila Saakaszwilego, że Lech Kaczyński swój heroiczny wyczyn z 2008 r. „dwa lata później przypłacił życiem w Smoleńsku”, powinna się odbić głośnym echem w rządowej propagandzie, tymczasem doczekała się ledwie zdawkowych wzmianek. Wygląda na to, że były gruziński prezydent jest kłopotliwym sojusznikiem nawet dla PiS.

Gruzja boksuje powyżej wagi

Z Gruzją generalnie mamy kłopot. W obowiązującym w Polsce dyskursie jest ona tym krajem, który jako pierwszy w XXI w. został napadnięty przez Rosję – i wobec tego przysługuje jej status „prawie Ukrainy”. Kłopot polega wszakże na tym, że sama Gruzja widzi siebie nieco inaczej.

Opinia o odpowiedzialności Saakaszwilego za konflikt z Rosją z 2008 r. nie jest odosobnionym głosem obecnych władz Gruzji.

Ocena pięciodniowej wojny gruzińsko-rosyjskiej z 2008 r. – a szczególnie roli Micheila Saakaszwilego w tych wydarzeniach – jest tam znacznie bardziej zniuansowana.

Obecny gruziński premier, Irakli Garibaszwili, reprezentujący partię o poetycznej nazwie Gruzjińskie Marzenie, oskarżył Saakaszwilego o „odwalenie roboty za Rosjan” – poprzez zaatakowanie Osetii Południowej i sprowokowanie konfliktu, który sprowadził rosyjskie wojska z powrotem na teren Gruzji. Garibaszwili przypominał, że ostatnie

rosyjskie – a tak naprawdę radzieckie – jednostki, stacjonujące w Gruzji od czasów ZSRR, opuściły kraj w roku 2007, żeby rok później powrócić w wyniku rozpoczętego przez Saakaszwilego konfliktu. Byłego prezydenta Gruzji obecny premier nazwał „antypaństwową wrogą siłą”, a jego działanie z czasu konfliktu (z pamiętnym żuciem krawata podczas wywiadu na żywo w BBC) „hambinowym” i „tchórzliwym”.

Opinia o odpowiedzialności Saakaszwilego za konflikt z 2008 r. nie jest odosobnionym głosem obecnych władz Gruzji, które „kolektywny Zachód” zgodnie uważa za pro-rosyjskie. W 2009 r. specjalna misja Unii Europejskiej, złożona z niezależnych ekspertów pod kierownictwem szwajcarskiej dyplomatkii Heidi Tagliavini, stwierdziła, że obie strony dopuszczały się prowokacji, a rosyjska reakcja była niewspółmierna i naruszyła prawo międzynarodowe. Niemniej jednak bezpośrednią przyczyną wybuchu wojny było ostrzelanie przez gruzińską ciężką artylerię osetyjskiej stolicy Cchinwali.

„Był to naprawdę antynarodowy rząd, który nie dbał o zjednoczenie Gruzji ani ochronę naszego narodu i racji stanu; rząd, który troszczył się tylko o własne interesy i zdradzał interes kraju”, powiedział premier Garibaszwili, dodając, że odzyskanie wszystkich gruzińskich ziem można osiągnąć jedynie dzięki „rozsądnej i pokojowej” polityce, którą prowadzi jego gabinet. Ta polityka budzi na „kolektywnym Zachodzie” kolektywne oburzenie.

Po ataku Rosji na Ukrainę z lutego 2022 r. gruziński rząd udzielał

Ukraińcom pomocy humanitarnej, przyjmował uchodźców, głosował na forum międzynarodowym za pro-ukraińskimi rezolucjami. Tym, czego nie zrobił, było przyłączenie się do sankcji. Nie wspierał też Ukrainy militarnie. Jak wyjaśniał Nikołoz Samcharadze, przewodniczący komisji spraw zagranicznych gruzińskiego parlamentu, „Gruzja jest krajem najbardziej na świecie narażonym na rosyjską agresję. Rosyjskie wojska stacjonują 30 km od centrum Tbilisi. Gruzja i tak boksuje powyżej swojej wagi, kiedy wspiera Ukrainę na forum dyplomatycznym, politycznym i humanitarnym”.

Marzenie wygrywa wybory

Kiedy premier Garibaszwili ogłosił, że Gruzja nie przystąpi do sankcji wobec Rosji, ponieważ zaszkodzi to gospodarce kraju i może doprowadzić do eskalacji, a nawet wojny z Rosją, Parlament Europejski zażądał nałożenia osobistych sankcji na miliardera Bidzinę Iwaniszwilego, byłego premiera i założyciela rządzącego Gruzją od 2012 r. Gruzjińskiego Marzenia. Iwaniszwili miał być ukarany za to, że „określił stanowisko obecnego rządu Gruzji wobec sankcji na Rosję”, co skądinąd doprowadziło do rozpadu partii i utraty przez rząd formalnej większości parlamentarnej. Czterech posłów opuściło klub i powołało partię Siła Ludu, która znacznie ostrzej wypowiada się o ingerencji UE i USA w wewnętrzne sprawy Gruzji. Rozpad może zresztą być pozorny – Siła Ludu nadal głosuje z rządem.

Problem z postawą Ameryki i Europy jest taki, że Gruzjińskie Marzenie wygrało wszystkie wybory od 2012 r. – w sumie pięć razy – i żadni obserwatorzy międzynarodowi nigdy nie podważali legalności tego zwycięstwa. Były pewne zastrzeżenia co do



„wywierania nacisków na elektorat” czy „zacierania granicy między państwem a partią rządzącą” (znamy to z własnego podwórka), lecz ani OBWE, ani żadna inna misja nie stwierdziły, że wybory zostały sfałszowane. Co oznacza, że przypisujemy sobie prawo do pouczenia Gruzynów, na kogo powinni głosować.

Dodatkowy problem jest taki, że – wedle informacji amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości – płaci nam za to Saakaszwili. A dokładnie jego matka. Zgodnie z amerykańską ustawą o rejestracji zagranicznych agentów firmy lobbujące na rzecz podmiotów spoza USA muszą ujawniać swoje wpływy, a także wydatki. W lipcu tego roku kancelaria prawna Akerman poinformowała, że od Giuli Alasanii, matki Saakaszwilego, otrzymała 917 177 dol. i za te pieniądze m.in. opracowała szkic rezolucji Parlamentu Europejskiego potępiającej Gruzję za uwięzienie byłego prezydenta, przygotowała i umieszczała w mediach teksty na temat tragicznego stanu jego zdrowia, inspirowała też polityków do występowania w jego obronie, wpłacając pieniądze na ich fundusze kampanijne. Zresztą Akerman dotarł nie tylko do amerykańskich polityków i dyplomatów – na jego liście kontaktów jest chociażby Dmytro Kuteba, szef ukraińskiego MSZ.

Obrońcy Saakaszwilego twierdzą, że jego uwięzienie to wendeta

Kancelaria Akerman z USA poinformowała, że od matki Saakaszwilego otrzymała 917 tys. dol. i za te pieniądze opracowała szkic rezolucji Parlamentu Europejskiego potępiającej Gruzję za uwięzienie byłego prezydenta.

wrogów politycznych. Teza ta jednak jest cokolwiek dyskusyjna. Były prezydent Gruzji odsiaduje sześć lat za dwa przestępstwa związane z nadużyciem władzy (cztery kolejne procesy są w toku). Pierwsze to udział w spisku na rzecz ukrycia prawdziwych sprawców zabójstwa Sandra Girgwljaniego, drugie dotyczy skatowania przez służby specjalne posta opozycji Walerego Gelaszwilego.

Zabity i pobity

Zwłoki 28-letniego Sandra Girgwljaniego zostały znalezione nad ranem 28 stycznia 2006 r. na cmentarzu Okrokana na przedmieściach Tbilisi. Śledztwo wykazało, że poprzedniego dnia Girgwljani był ze swoją dziewczyną w knajpie, w której odbywały się urodziny urzędnika MSW wysokiego szczebla. Dziewczyna знаła biesiadników i dosiadła się do ich stolika, a zazdrosny Girgwljani zapytał ją, dlaczego „siedzi z tym pedziem”, wskazując rzeczownika MSW Gurama Donadzego. Po wymianie afrontów Sandro wyszedł z knajpy z przyjacielem, Levanem

Kolejne głódówki odchudziły Micheila Saakaszwilego o 50 kg.

Buchaidzem. Za drzwiami zostali napadnięci przez czterech mężczyzn, zapakowani do mercedesa i wywiezieni za miasto. Buchaidzego napastnicy pobili, rozebrali do naga i wypuścili – Girgwljani został zakatowany na śmierć.

W śledztwie Buchaidze nie miał wątpliwości, że jednym z napastników był Oleg Mielnikow, wiceszef Departamentu Bezpieczeństwa Konstytucyjnego MSW. Mimo to sąd uznał, że w napaści brało udział tylko czterech policjantów niższego szczebla, którzy przyznali się do winy, dostali wyroki po siedem-osiem lat więzienia i szybko zostali ułaskawieni

przez prezydenta. Masowe protesty przeciw ministrowi spraw wewnętrznych, który ten skandal wywołał, Saakaszwili określił jako „śmieszne”.

Rodzina Girgwljaniego, domagając się sprawiedliwości, zawędrowała aż do Strasburga. W kwietniu 2011 r. Europejski Trybunał Praw Człowieka w wyroku w sprawie Enukidze i Girgwljani przeciwko Gruzji stwierdził, że jest „zaskoczony” tym, jak „gruzińskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, prokuratura, Departament Więziennictwa, a nawet sądy i sam prezydent Saakaszwili działali wspólnie, zapobiegając wymierzeniu sprawiedliwości w tej makabrycznej sprawie”.

W 2014 r. Mielnikow poszedł na układ z prokuraturą i zeznał, że 28 stycznia, bezpośrednio po zabójstwie, jego szef, dyrektor Departamentu Bezpieczeństwa Konstytucyjnego Dawit Achalaia – kierujący akcją zatłuczenia Girgwljaniego – odwiedził prezydenta Saakaszwilego i razem ustalili, że winę wezmą na siebie prości policjanci, których prezydent następnie ułaskawi. I tak się stało.

► Drugi wyrok dotyczy sprawy po-
sta opozycji, który udzielił niepo-
chlebnego wywiadu na temat pre-
zydenta dziennikowi „Rezonansi”.
Walery Gelaszwili 14 lipca 2004 r.
został napadnięty przez funkcyj-
niarzy służb specjalnych, którzy stłu-
kli go na miazgę kolbami karabinów,

byłej Jugostawii sir Geoffrey Nice,
były prokurator generalny Izraela
Mosze Lador i Paul Coffey, były szef
Sekcji Przystępczości Zorganizowa-
nej Departamentu Sprawiedliwości
USA, stwierdziła, że „dochodzenie
jest prowadzone w dobrej wierze
i w sposób profesjonalny”.

**Były prezydent Gruzji odsiaduje sześć lat za dwa przestępstwa.
Pierwsze to udział w spisku na rzecz ukrycia prawdziwych sprawców
zabójstwa Sandra Girgwljaniego; drugie dotyczy skatowania przez
służby specjalne posta opozycji Walerego Gelaszwilego.**

powodując „trwałe zniekształcenia
twarzy”, a do tego ukradli mu portfel.
Proces wykazał, że Saakaszwili
najpierw polecił ukaranie bluźnier-
cy ówczesnemu ministrowi obrony
Irakliemu Okruaszwilemu, ale ten
odmówił. Wobec czego prezydent
zwrócił się do ministra spraw we-
wnętrznych Wana Merabiszwilego
oraz szefa służb specjalnych, któ-
rym był Erekle Kodua. Ci nie mieli
podobnych skrupułów. W 2014 r.,
kiedy proces się rozpoczął, komisja
zachodnich ekspertów, w skład któ-
rej wchodził były prokurator Między-
narodowego Trybunału Karnego dla

Botoks i depilacja w służbie narodu

Pozostałe procesy toczące się
przeciw Saakaszwilemu dotyczą
różnych innych przejawów „ka-
cykostwa”. Szczególnie zabawne
jest zdefraudowanie 5 mln dol.
z budżetu kancelarii prezydenta,
z czego ponad 450 tys. poszło na
antyzmarszczkowe zastrzyki z bo-
toksu i depilację laserową dla pre-
zydenta i jego rodziny. W odpowie-
dzi na zarzuty Saakaszwili ogłosił,
że jego wydatki były niezbędne do
poprawienia międzynarodowego
wizerunku Gruzji i przyciągnięcia za-
chodnich inwestorów. Oraz że jest
oburzony, bo prezydencki budżet
przeznaczony na opiekę medyczną
jest w każdym kraju wiadomością
poufną. Po postawieniu mu zarzu-
tów dotyczących ekskluzywnego
stylu życia na koszt podatników
Saakaszwili strzelił focha i odesłał
nowemu premierowi sześć garni-
turów i kaszmirowy płaszcz, które
zostały wymienione wśród nieuza-
sadnionych zakupów.

Również opowieść o tym, że
Saakaszwili jest „więźniem Putina” i –
jak to ujął prezydent Zełenski – „na-
szym obywatelem”, którego „Rosja
zabija rękami władz w Tbilisi”, budzi
pewne faktograficzne wątpliwości.

Obywatelstwo Saakaszwilego jest
zmiennie – były prezydent, uciekając
z Gruzji, przyjął paszport ukraiński
i równocześnie zrezygnował z gru-
zińskiego, co najpewniej miało zwią-
zek ze stawianymi mu w ojczyźnie

zarzutami. Poroszenko, który dał
Saakaszwilemu ukraińskie obywatel-
stwo, później mu je odebrał w wy-
niku konfliktu politycznego, a Zełen-
ski, który swoją kampanię oparł na
byciu „anty-Poroszenką” – oddał.
Co nie ocaliło Saakaszwilego przed
więzieniem w Gruzji, do której wró-
cił nielegalnie w 2021 r.,
przekonany, że lud wyjdzie
mu naprzeciw. Lud się nie
stawił.

Parę tygodni temu
usłyszeliśmy o awanturze
wywołanej faktem, że pre-
mier Morawiecki – ogła-
szając, iż „nie zostawiamy
przyjaciół w potrzebie”

– wysłał do Tbilisi lekarzy z Zespo-
łu Pomocy Humanitarno-Medycy-
nej, żeby zbadali źle wyglądające-
go Saakaszwilego, którego kolejne
głodówki odchudziły o 50 kg. Jeden
z lekarzy usiłował w zawiniątku w bu-
cie wynieść pobraną oficjalnie, za
zgoda gruzińskich władz, próbkę, co
zostało nagrane przez kamerę prze-
mysłową i wywołało incydent dyploma-
tyczny; ciągle nie wiemy, jaki był
cel tego dziwnego działania.

Nawiasem mówiąc, nie tylko ko-
lejne instancje sądów gruzińskich,
ale także Europejski Trybunał Praw
Człowieka w Strasburgu, odrzuci-
ły skargę Saakaszwilego na tortury
i nieludzkie traktowanie. ETPC nie
nakazał zwolnienia byłego prezy-
denta z więzienia i przeniesienia
na leczenie do innego kraju (czytaj:
Polski). Głównie dlatego, że zły stan
zdrowia Saakaszwilego, aktualnie
leczzonego w prywatnej klinice Viva-
med, jest efektem jego własnych
działań. Klinika wyjaśnia, że „pa-
cjent je 300-400 kalorii dziennie”
i „rezygnuje z proponowanego toku
leczenia, zwłaszcza jeśli ten czy inny
lek lub zabieg ma pozytywny wpływ
na jego subiektywne lub obiektywne
dane”. Nikt zatem nie torturuje
Saakaszwilego, Saakaszwili torturuje
się sam, żeby zaszantażować Gruzję.

Gruzja wydaje się zaskakująco od-
porną na szantaż. Europa – zwłaszcza
Wschodnia – nieco mniej. Ale wyglą-
da na to, że nawet PiS zaczyna rozu-
mieć, że z Saakaszwilim nie jest mu
do twarzy.

Agnieszka Wołk-Laniewska



Wszystkie ziarna kryzysu

Indie wstrzymują eksport ryżu,
a pół świata wstrzymuje oddech ze strachu przed głodem

Mateusz Mazzini

Tak drogo nie było od dekady. W tej chwili cena cetnara ryżu (cetnar angielski, CWT, ok. 50 kg) na giełdach amerykańskich, stanowiących punkt odniesienia dla rynków na całym świecie, wynosi 15,55 dol. To i tak niewiele, w czerwcu przez chwilę było 17 dol., a w październiku 2022 r. przez jeden dzień cena utrzymywała się na poziomie prawie 19 dol. za cetnar. Jeśli jednak chodzi o trendy, to ostatni raz krzywa szła tak długo i jednostajnie w górę na przełomie 2012 i 2013 r., a wcześniej w czasie wielkiego kryzysu finansowego z końcówki pierwszej dekady XXI w.

O ile więc ceny mogą jeszcze wzrosnąć, o tyle temperatury na subkontynencie indyjskim już są rekordowe. A Indie odpowiadają przecież za ponad 40% światowego eksportu ryżu, przez co sytuacja w tamtejszym rolnictwie jest niewątpliwie krytyczna. Wprawdzie w wielkość produkcji Hindusów przebijają Chińczycy, lecz ich ryż idzie głównie na rynek wewnętrzny. Indie to zupełnie inna historia, zwłaszcza w dobie dwóch wielkich katastrof. Klimatycznej, która niesie trudne do



Indie odpowiadają za ponad 40% światowego eksportu ryżu.

odmian innych niż basmati (o długich ziarnach, uznawany za najszlachetniejszy, po polsku zwany ryżem siewnym), ma głównie podłoże polityczne i gospodarcze, trzeba go analizować w związku ze zmianami klimatu w tej części świata – bo to one są przyczyną wszystkich procesów, które do zakazu doprowadziły.

21 lipca Indie wprowadziły zakaz eksportu ryżu odmian innych niż basmati. Do tej pory wysyłały rocznie 22 mln ton ryżu do co najmniej 140 krajów.

wyobrażenia upały i susze, i wojennej, uderzającej w Ukrainę i tamtejszą produkcję oraz eksport zbóż. Nałożone na siebie plagi te sprawiają, że pod znakiem zapytania staje bezpieczeństwo żywnościowe praktycznie całego globalnego Południa. Miliardom ludzi zagląda w oczy głód.

Dlatego choć kryzys ryżowy, wywołany wprowadzonym przez Indie 21 lipca zakazem eksportu ryżu

Tło jest dość oczywiste, to wycofanie się Rosjan z umowy dotyczącej umożliwienia Ukrainie eksportu zbóż i ziaren przez Morze Czarne i Turcję do krajów azjatyckich, afrykańskich i arabskich. Ten ruch momentalnie wywołał chaos na giełdach żywnościowych i podwyżkę cen zwłaszcza kukurydzy i pszenicy, dwóch flagowych produktów eksportowych Ukrainy. W obliczu niedostępności

produktów z Europy wielu odbiorców zwróciło się do alternatywnych eksporterów, przede wszystkim do Indii, skąd eksportuje się rocznie 22 mln ton ryżu. Co trzecie ziarno wysyłane w świat należy właśnie do grupy non-basmati, nieszlachetnej, której teraz już sprzedawać nie można. Wcześniej indyjski ryż docierał dośownie wszędzie, stacja Al-Dżazira doliczyła się 140 krajów, które miały z rządem w New Delhi umowy na zakup ryżu. I to umowy niemałe, bo w ubiegłym roku wpływy z eksportu przyniosły indyjskiemu budżetowi 9,66 mld dol. przychodu.

Międzynarodowi handlarze, najczęściej pracujący dla firm obracających całym wachlarzem produktów spożywczych i surowców naturalnych, czuli pismo nosem, więc ryż zaczęli skupować już w czerwcu, co spowodowało wzrost cen o 35% w skali globalnej. Na rynku indyjskim podniosły się one o 11,5% rok do roku, po części z powodu inflacji, ale też ze względu na coraz większy popyt

z zagranicy. Dlatego rząd premiera Narendra Modiego postanowił sprzedaż na zewnątrz wstrzymać. Nie ze strachu przed brakiem ryżu dla własnych obywateli, ale z powodów czysto koniunkturalnych. „The Guardian” i Al-Dżazira wyliczają, że rocznie krajowy sektor rolniczy produkuje 135 mln ton, co z nadwyżką zaspokaja potrzeby rynku wewnętrznego, wynoszące 105 mln ton. Nawet jeśli doliczyć do tego wspomniane 22 mln ton wysyłane w świat, zostaje jeszcze całkiem przyzwoity zapas. Mimo to Modi woli dmuchać na zimne i więcej ryżu zostawić w kraju, żeby zbić ceny. I być przygotowanym na skutki tego, co la-da moment przyniesie klimat.

Kapryśny monsun

Teoretycznie, zgodnie z kalendarzem meteorologicznym z wcześniejszych, stabilniejszych czasów, pomiędzy czerwcem a końcówką września na subkontynencie powinna trwać pora monsunowa z bardzo intensywnymi opadami. Jednak z powodu zjawiska znanego jako El Niño, odnoszącego się do anormalnie wysokich temperatur powierzchniowych wód Oceanu Spokojnego, opadów w Indiach jest – i będzie – znacznie mniej. Według bieżących danych indyjskiego Narodowego Instytutu

Meteorologicznego (IMD) w sierpniu spadnie ogółem 90-94% tego, co normalnie. Już teraz deficyt względem średniej z ostatnich pięciu dekad wynosi 2%, do końca miesiąca na pewno wzrośnie. Co więcej, zamiast opadów ciągłych, ale umiarkowanych, są rzadsze, ale gwałtowniejsze.

Skutki ruletki cenowej zaczynają być odczuwane również w Wietnamie, Tajlandii i Pakistanie, łącznie odpowiadających za 30% światowego eksportu ryżu.

W tym roku monsun zaczął się 8 czerwca, tydzień wcześniej, niż powinien. Przetoczył się przez cały kraj w zaledwie 25 dni, aż o trzy tygodnie szybciej, niż zakładały prognozy. Pod koniec czerwca południe Indii nawiedziły bardzo intensywnie burze, powodujące lokalne podtopienia, zniszczenia w infrastrukturze i części zbiorów. Wcześniej, w kwietniu, przez kraj przetoczyła się po raz kolejny śmiertelna fala upałów. Temperatury w północnym stanie Uttar Pradesh dochodziły do 44 st. C, a IMD we współpracy z naukowcami z ONZ wyliczył, że z powodu działalności człowieka długie okresy upałów, podczas których przez tydzień lub dłużej na termometrach będzie co najmniej 30 st., są od teraz na subkontynencie aż 30 razy

bardziej prawdopodobne niż w klimacie z pierwszej połowy XX w., przy znacznie niższych emisjach gazów cieplarnianych. Oficjalne dane mówią o prawie tysiącu przedwczesnych zgonów z powodu upałów tylko w tym roku, ale dane te niemal na pewno są zaniżone, nie uwzględniają niższych

warstw społecznych, w zdecydowanej większości nieubezpieczonych i niekorzystających z oficjalnych instytucji medycznych. Realna liczba ofiar może według niektórych naukowców przekraczać 100 tys. I z roku na rok będzie ich przybywać, bo według badania ponad 50 klimatologów, którego wyniki w 2022 r. opublikował prestiżowy magazyn „The Lancet”, pomiędzy 2004 a 2021 r. liczba przedwczesnych zgonów wywołanych zbyt wysokimi temperaturami wzrosła w Indiach aż o 55%.

Upał zabija nie tylko ludzi, lecz w ogóle wszystko, co żyje. Zaburza vegetację roślin, wysusza rzeki, co w połączeniu z mniejszymi opadami powoduje spore problemy w produkcji żywności. Skoro więc zbiory ryżu przypadają w Indiach właśnie na wrzesień i październik, wiadomo, że będzie źle. A na pewno gorzej niż w poprzednich latach. Z perspektywy czysto ekonomicznej decyzja o wstrzymaniu eksportu ryżu wydaje się zatem jak najbardziej racjonalna.

Efekt domina

Problem jednak w tym, że światowy wolny rynek, zwłaszcza jeśli chodzi o handel żywnością, nie zachowuje się racjonalnie jako całość. Dlatego zasadna jest obawa, że ruch Indii wywoła efekt domina dla innych segmentów rynku i innych krajów, a w efekcie – globalny kryzys żywnościowy. Jak donosi Agencja Reutera, skutki ruletki cenowej zaczynają być odczuwane również w Wietnamie, Tajlandii i Pakistanie. To kolejni ważni producenci, odpowiadający łącznie za 30% światowego eksportu ryżu. Gdyby i ta trójka



zdecydowała się na chociaż częściowe ograniczenia w handlu, najprawdopodobniej wzrosłyby ceny innych podstawowych komponentów żywnościowych, z soją na czele. To z kolei wywołałoby niekończącą się spiralę podwyżek, podobnych ruchów w duchu protekcyjizmu gospodarczego. A najbardziej stratni będą oczywiście najubożsi, o najmniej zróżnicowanej diecie i najbardziej ograniczonym dostępie do innych produktów spożywczych, skazani na przystosowanie się do wyższych cen.

Zmiany klimatyczne odbijają się nie tylko na ryżu. Widać to nawet w dowodach anegdotycznych, ale wiele mówiących. Na początku sierpnia indyjska część amerykańskiej sieci fast foodów Burger King zdecydowała się wycofać ze wszystkich oferowanych w menu potraw pomidory. Powód? Brak gwarancji stabilnych dostaw, niższa jakość produktów, które trafiają do restauracji, i rosnące koszty. Według wyliczeń magazynu „Time” cena kilograma pomidorów w Indiach pomiędzy czerwcem a lipcem tego roku wzrosła czterokrotnie (!). O ile jednak w burgerach da się jeszcze obejść bez pomidorów, o tyle ryż jest fundamentalnym składnikiem codziennej diety milionów ludzi w tej części świata oraz

do legislatur w aż dziewięciu stanach, a w przyszłym roku kraj wybierze nowy parlament i być może nowy rząd oraz premiera. Przy coraz większej polaryzacji społecznej, rozpalającym się po raz kolejny konflikcie o Kaszmir i sporach na tle etnicznym oraz religijnym głód może pogorszyć sytuację i zdestabilizować kraj. To nie żadna fikcja polityczna, przecież wojna domowa w Syrii, matka wszystkich wojen XXI w., która wlała paliwo do baku Putina i europejskich populistów, była też pierwszą w historii wojną klimatyczną.

Gigantyczna susza z pierwszych lat obecnego tysiąclecia zmusiła setki tysięcy ludzi do migracji wewnętrznej, przeniesienia się do miast, co z kolei nasiliło konflikty religijne i w efekcie wywołało exodus 14 mln mieszkańców od 2014 r. Gdyby chociaż ułamek tych napięć pojawił się na subkontynencie – trudno wyobrazić sobie konsekwencje dla Indii, regionu i tak naprawdę całego świata.

Ryż a wybory

A problem pojawia się nie tylko tam. Zakaz eksportu pierwotnego i wtórnego ryżu wprowadziły już Zjednoczone Emiraty Arabskie. Tu sytuacja jest nieco inna, choć

one 11% całego światowego handlu produktami spożywczymi, podczas gdy całkowite zakazy objęły aż 3,8%. Innymi słowy, co 25. produkt rolniczy lub hodowlany, wcześniej przeznaczony na eksport, zostaje dzisiaj w kraju pochodzenia. Po wprowadzeniu ograniczeń przez Indie odsetek ten będzie jeszcze wyższy.

Do tej wylizanki dodać trzeba kilkunastoprocentowy wzrost cen praktycznie wszystkich produktów podstawowych. I coraz częściej mowa tu niekoniecznie o odległych z punktu widzenia bogatych Europejczyków problemach, takich jak handel pszenicą pomiędzy Ukrainą i Egiptem czy eksport indyjskiego ryżu do Malezji. Jeszcze nie tak dawno klienci brytyjskich supermarketów narzekali, że nie mogą swobodnie kupować pomidorów, bo ich eksport mocno zmniejszyły Hiszpania i Maroko.

Na razie rząd w New Delhi zapowiada, że ograniczenia są tymczasowe, mają zostać zniesione 30 listopada. Czy tak się stanie, nie wiadomo – po drodze trzeba będzie ocenić skutki anomalii w monsunach, mniejszych zbiorów oraz wspomnianych wyborów stanowych, akurat w indyjskiej polityce często kończących się sensacjami.

Narendra Modi będzie się ubiegał o trzecią kadencję, na którą, przynajmniej na razie, ma całkiem spore szanse – raczej więc nie pozwoli, żeby kryzys ryżowy zastopował jego marsz po polityczny sukces. Trudno się spodziewać, by przejmował się konsekwencjami dla mieszkańców innych krajów. Al-Dżazira wymienia tu przede wszystkim państwa Bliskiego Wschodu i Afryki Zachodniej, gdzie ryż odpowiada za nawet połowę wszystkich wydatków na jedzenie, oraz Bangladesz i Nepal, najbardziej zależne od indyjskiego eksportu. Do tego docho- dzą Malezja i Indonezja, których sektory rolnicze również tracą z powodu negatywnych skutków El Niño.

Jeśli ta spirala naprawdę się nakręci, głód stanie się realną perspektywą dla ponad miliarda ludzi jeszcze od niego wolnych. I do tego kryzysu właśnie się zbliżamy, ziarno po ziarnie.

W ciągu roku od rozpoczęcia pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę na świecie wprowadzono 101 nowych ograniczeń w międzynarodowym handlu żywnością.

najbardziej subsydiowanym rodzajem żywności, najczęściej uwzględnianym w paczkach pomocowych dystrybuowanych wśród 800 mln najuboższych mieszkańców Indii. Ewentualne załamanie się produkcji byłoby więc pełnowymiarową katastrofą humanitarną, przekładającą się na wszystko – od polityki przez ruchy migracyjne, również do krajów europejskich.

To tylko jeden z wielu powodów, dla których utrzymanie bezpieczeństwa żywnościowego w krajach rozwijających się leży tak naprawdę w interesie wszystkich na planecie. Są powody moralne, ale też pragmatyczne. Znów skupmy się na Indiach, największej przecież demokracji świata. W tym roku odbędą się tam wybory

źródło ma podobne – Emiraty importują 90% wszystkich produktów żywnościowych, większe wahania rynkowe są tu więc szczególnie mocno odczuwalne. Takie kroki rozważają też inne kraje Zatoki Perskiej, bo ceny żywności w regionie rosną nieprzerwanie od września 2022 r. W skali globalnej trend protekcyjizmu gospodarczego przyjmuje już niepokojące rozmiary. Jak wynika z opublikowanych w lutym danych Banku Światowego, w ciągu roku od rozpoczęcia pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę na świecie wprowadzono 101 nowych ograniczeń w międzynarodowym handlu żywnością, które naruszają zasady Światowej Organizacji Handlu (WTO). Łącznie obejmują

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Marie Magda Ruta

Jest takie francuskie słowo oznaczające wzruszenie ramion, coś pomiędzy „cóż” a „pff”, słynne *bah* (czyt. ba). Usłyszysz je często z ust Francuzów. Biurokracja też jest na b i gdy w rozmowie poruszysz jej temat, niemal każdy zareaguje: – *Bah*, nie mów mi nawet! Szkoda słów. To g... (*c'est d'la merde*). *Eh bah*.

Ale, co gorsza, dokończy: – Tak to jest, co można zrobić?

Batalia ze skarbówką

Głównym strojem we Francji są koperty. W kopercie dostaniesz klucz do wynajmowanego mieszkania czy zaproszenie od mera na powitalne przyjęcie nowo przybyłych mieszkańców miasta w ogrodowej części ratusza. Poczujesz się więc arystokratycznie. Poczta też w ostemplowanych kopertach z symbolem Marianny przyjdą do ciebie tajemnicze listy. Pierwszy od Direction générale des Finances publiques – Generalnej Dyrekcji Finansów Publicznych, której podlegają podatki (*impôts*). Jest miły wieczór, otwierasz kopertę. To wezwanie z wyliczeniem bliżej nieokreślonych składek.

Rano ubierasz się odświętnie i jedziesz pod wskazany adres. Już samo dojechanie do odpowiedniego urzędu jest nie lada osiągnięciem. W owych Finances publiques do twojej sprawy przypisany jest jeden pan na całe miasto. On i nikt inny. W ten sposób pan ten zyskuje monopol na wiedzę, która myli mu się z władzą. Dlatego odpowiada ci bez ogródek, że nie objaśni dokumentów, które otrzymałeś. Od wyjaśniania jest internet, masz wrócić do domu i poczytać sobie w sieci.

Przymuszony twoim gniewem coś ci ostatecznie tłumaczy – często we Francji jedynym skutecznym argumentem jest niestety siła werbalna i emocjonalna. Ale to tylko szczątki informacji. I tak musisz w internecie doczytać resztę. A gdy potem znów dzwonicz do urzędu, by domówić szczegóły, ten sam monsieur, po króciutkiej rozmowie i najwyraźniej zbyt



Batalia z francuską biurokracją

Francja pięknie się ubiera.
A nadrzędnym jej strojem są koperty

wielu twoich pytaniach, elegancko, jak tylko można we Francji, odkłada słuchawkę.

Batalia z bankiem i składkami społecznymi

Jeśli np. prowadzisz własną firmę, do końca miesiąca musisz zadeklarować kwotę zarobku za miesiąc poprzedni. Możesz to zrobić tylko przez konto internetowe. Klikasz „zatwierdź” i system wylicza ci kwotę do zapłaty. Kolejnym kliknięciem zgadzasz się na pobór płatności – należności nie możesz opłacić gotówką ani nawet wciąż cieszącym się zadziwiającą popularnością czekiem, musisz się zgodzić na pobranie pieniędzy z konta. I byłoby to w miarę w porządku, gdyby nie fakt, że pobór ten (*prélèvement*) zostanie dokonany w nieznanym ci czasie. Po zatwierdzeniu zgody na pobranie podatku każdego dnia sprawdzasz więc na koncie, czy państwo francuskie już wzięło sobie należność, czy jeszcze nie wzięło. I tak przez kolejne dni, bo

czasem pobiera po trzech dniach, a czasem dopiero po 15.

Trzeba przy tym wiedzieć, że Republika lubuje się w przeróżnych świętach (mimo rozdzielności z Kościołem wiele z nich to święta katolickie), a także „zwykłych” wakacjach, czyli przypadających mniej więcej co dwa miesiące przerwach. Do tego dochodzą niedziele i wolne dla banków poniedziałki. I często jeden z tych dni przypada na moment, kiedy chcesz lub musisz wysłać przelew lub zatwierdzić pobranie płatności z twojego konta. Summa summarum, jesteś w d... bo jeśli z płatnością twoich podatków spóźni się bank lub urząd, winny będziesz ty. I to ty zapłacisz odsetki za spóźnienie. Co więcej, nie zostaniesz o tym w żaden sposób poinformowany. Ani pocztą tradycyjną, ani mejlem, ani na koncie w zakładce „zapłaty i zaległości”. O długu dowiesz się zupełnie przypadkiem, odwiedzając przy kolejnej okazji urząd. Dobrze wychowana pani poinformuje cię na odchodne: – A, i jeszcze jedno, bo

pan/pani może nie wie, że ma u nas małą niedopłatę. Nie, ależ nie, nie widnieje ona na pana/pani koncie, ale mogę podyktować, notuje pan/pani? I proszę w tej sprawie napisać do nas prośbę o anulowanie długu.

Piszesz do nich tę prośbę, mijają trzy miesiące, cztery, pięć, nie otrzymujesz żadnej odpowiedzi, bilans – przynajmniej ten widoczny dla ciebie – nadal wskazuje zero długu. O tym, co dzieje się w podziemiach Matriksa, dowiesz się co najwyżej przy kolejnej okazji.

Problem polega bowiem na tym, że to, co się dzieje we Francji, właściwie nie jest biurokracją. Ta, jako rządy (gr. *kratos* = władza) biura, powinna być logiczna i klarowna. Francuska biurokracja nie jest ani klarowna, ani logiczna. Jest na tyle dzika, że nie wiadomo, jak się po niej poruszać. Człowiek, choć bardzo się stara być uczciwym podatnikiem, nie może się dowiedzieć, jaki ma obowiązek wobec państwa i w jaki sposób może go wypełnić. Ani jakie ma prawa i jak może je zrealizować.

Batalia z ubezpieczeniem

Bo mimo że płacisz wysokie podatki, państwo francuskie z twoich składek tylko w 70% (a czasem w dużo mniejszym stopniu) pokrywa koszty twojego leczenia i leków, jeśli wykupujesz je na receptę od lekarza (lekarzy zaś wyraźny deficyt). O pozostałe 30% ubezpieczenia musisz

Francuska biurokracja jest na tyle dzika, że nie wiadomo, jak się po niej poruszać.

zadbać na rynku prywatnym, wykupując tzw. *mutuelle*, co literalnie oznacza wzajemną pomoc. A jest ona droga lub bardzo droga, średnio od 40 do 200 euro miesięcznie w zależności od twojego wieku i chorób przewlekłych.

Państwo jednak troszczy się o najmniej zarabiających i oferuje im pokrycie brakujących 30% ubezpieczenia. Ta pomoc od państwa nazywa się *mutuelle solidaire*. Jako że zarabiasz na styk, postanawiasz z niej skorzystać. Wypełniasz odpowiednie

dokumenty, dołączasz wiele innych i wrzucasz całość w jednej kopercie do specjalnej skrzynki podawczej w urzędzie odpowiadającym polskiemu Narodowemu Funduszowi Zdrowia (Assurance Maladie, czyli instytucji Ubezpieczenia Chorobowego). Wrzucając do skrzynki, oczywiście nie otrzymujesz żadnego potwierdzenia, że dany wniosek złożyłeś.

Czekasz. Mijają trzy miesiące bez odpowiedzi. Idziesz więc osobiście do Assurance Maladie, odczekujesz swoje w kolejce wyznaczonej specjalną taśmą i strzałkami na ziemi

To, co się dzieje we Francji, właściwie nie jest biurokracją. Biurokracja powinna być logiczna i klarowna.

(w kolejce trzeba się grzecznie zachowywać, nie wolno używać telefonów, pilnuje tego strażnik). Gdy nareszcie przyjmuje cię urzędnik, dowiadujesz się, że tu niczego się nie dowiesz, masz wrócić do domu i zadzwonić na centralę urzędu.

Wracasz zatem i dzwonisz. Po długiej i niesmacznej rozmowie (wpytują cię o wiele szczegółów, chociaż już widniesz w bazie danych) oznajmniają, że twojego wniosku w sprawie otrzymania ubezpieczenia solidarnego nie mają. Jak to nie mają? – Nie mamy, monsieur/madame. – Ale przecież go złożyłem/am. – Ale nie ma. – Dobrze zatem, czy mogą państwo chociaż poświadczyć, że mój wniosek zgubili? W ten sposób będę mógł/mogła ubiegać się o zwrot kosztów za wizytę lekarską odbytą po

złożeniu wniosku i nie będę musiał/a rozpocząć całego procesu od nowa. – Nie możemy wydać takiego pisma. Bo nie mamy pani/pana wniosku. – I właśnie proszę, abyście odnotowali jego zagubienie. Chociaż taka rekompensata dla mnie. – Nie wystawimy takiego dokumentu. Ponieważ dowód na to, że pan/pani złożył/a wniosek, jest... żaden.

Nie dość, że tracisz trzy miesiące próżnych oczekiwań i twój wniosek zostaje zagubiony przez urząd, to na koniec jeszcze usiłują zrobić z ciebie

wariata, używając chwytu w stylu „udowodnij niezaistnienie”.

Idziesz tam jeszcze raz, już nie sam, bo wiesz, że nie wytrzymasz więcej bycia miłym po francusku. Żeby uniknąć awantury *à la polonaise* oraz by wzmocnić swoją pozycję, wzywasz posiłki. Twój francuski znajomy załatwia sprawę na tyle skutecznie, że proszą was do osobnego pokoju, w którym wniosek składasz ponownie na oczach urzędników. Ta wklepuje go w system, w kratce „narodowość” wpisując z błędem *polognaise*. Taka narodowość nie

istnieje, mimo to wniosek przechodzi, a ty tydzień później otrzymujesz zawiadomienie – i to zarówno pocztą tradycyjną, jak i elektroniczną – że przyznano ci ubezpieczenie solidarne. Oddychasz z ulgą, jak nigdy dotąd.

Batalia z usługami

Korytarz. Trzech mężczyzn: technik sieci komórkowej, dozorca budynku i właściciel mieszkania. Debata od ponad pół godziny, i to po raz drugi, jak przeciągnąć kabel internetowy z pierwszego piętra na drugie. Żaden z panów nie wie, jak to zrobić. Jeden radzi się drugiego, wygląda to bardziej na debatę filozoficzną niż działanie techników.

Wszystko dlatego, że podpisałeś z operatorem umowę na dostarczenie ponoć najlepszego stacjonarnego internetu w kraju, abonament łącznie z opłatą za telefon komórkowy kosztuje ok. 50 euro. Usługodawca obiecał zainstalować odpowiedni kabel u ciebie, a właściciele budynku i mieszkania wyrazili na to zgodę.

Niestety, kabla na razie nie będzie; panowie potrzebują więcej czasu. Najpierw od wiosny do lata będą się przygotowywać. Dopiero wtedy rozpoczną pracę nad jego przeciągnięciem. Z całym szacunkiem, ale pan Mirek w Polsce przeciągnąłby go w godzinę. We Francji panom Laurentom potrzeba na to dwóch sezonów. ►

► Nie masz więc internetu, za który płacisz duże pieniądze, wielokrotnie przychodzisz do salonu operatora, czasem z agentem od mieszkania (bo w pojedynkę cię nie słuchają), by uzyskać router zastępczy, działający inaczej niż ten na kablu. Po dłuższej walce otrzymujesz sprzęt, ale on z kolei często przerywa połączenie.

Znowu idziesz do salonu operatora, mówią ci, że trzeba to zgłosić na infolinię. Stawiasz się, informując, że na infolinii jeszcze bardziej cię lekceważą. Prosisz, żeby zadzwonili na nią

się nazajutrz. Nazajutrz też nie przychodzi. Oddzwaniaasz na numer, z którego dzwonił dzień wcześniej. Okazuje się, że to numer centrali. I nie można ustalić, który pracownik dzwonił dzień wcześniej i który ma twoją paczkę.

Wychodzisz na ulicę, idziesz w stronę urzędu zrobić awanturę, kiedy nagle dostrzegasz żółtą furgonetkę poczty francuskiej z charakterystycznym niebieskim logo. Właśnie rusza na światłach, ale gonisz ją, machasz i pojazd się zatrzymuje. Co

Jedną z rzeczy, które mogą zdziałać cuda w kontakcie z przedstawicielami administracji i usług, jest wcale nie francuska grzeczność, lecz pokazanie siły petenta.

w twoim imieniu. Nie chcą. W końcu mówisz stanowczo: – Nie wyjdę stąd, dopóki nie załatwię sprawy! Sięgasz po słuchawkę, wystukujesz numer infolinii, a potem podkładasz tę słuchawkę pod ucho pracownikowi salonu.

I o dziwo... to właśnie działa! Pracownik zaczyna wykonywać swoją pracę: rozmawia z głosem na infolinii, ciebie zaprasza coraz miłszym gestem do kąci sali, gdzie jeszcze milej zagaduje cię inny pracownik. Potem już obydwaj nagle wiedzą, jak rozwiązać problem, w ciągu kwadransa coś przeklikują w komputerze, wręczają ci pudełko z nowym routerem, instruują, jak obsłużyć, i zapewniają, że gdyby był znów problem, możesz się do nich zgłosić bez obaw.

To zdarzenie, jak wiele podobnych, pokazuje, że jedną z rzeczy, które mogą zdziałać cuda w bezpośrednim kontakcie z przedstawicielami administracji i usług, jest wcale nie rozślawiona francuska grzeczność, tylko pokazanie siły petenta.

Batalia z pocztą

Dzwoni do ciebie listonosz. Nie dzwoniem przy drzwiach, tylko przez telefon. (Skąd ma twój numer? Ty jego numeru nie masz). Bo miał przyjść, ale nie przychodzi. Krąży po okolicy, będzie później. Później to ciebie już nie będzie, więc umawiasz

więcej, udaje ci się dogadać przez szybką z listonoszem-kierowcą, a ten wyskakuje z auta, otwiera bagażnik i odnajduje zaadresowaną do ciebie paczkę. Przy czym nawet cię nie legitymuje – partyzantka w pełnym słońcu. Dobrze i to. Ale przecież nie tak to powinno wyglądać.

Innym razem chcesz jedynie nadać list. Ale pytasz, jaka jest różnica między listem zwykłym a poleconym. Grzeczni urzędnicy na pocztę odpowiadają, że każdy z nich może nie dojść. – Jesteśmy tylko ludźmi i mylić się to ludzka rzecz.

Najgorzej jest z listami, które nigdy do ciebie nie docierają, i musisz zgadywać, od kogo listu nie dostaniesz. Na przykład z urzędu podatkowego, gdy przychodzi maj i ostateczny termin rozliczeń rocznych, obowiązujących absolutnie wszystkich. Na ślepo pytasz znajomych, dokąd masz się udać. Każdy odpowie ci trochę inaczej, więc w końcu udajesz się do centrali podatków, w której stoisz w długiej kolejce. Dyryguje nią miły urzędnik z wielkim słownikiem języka angielskiego, ale na niewiele twoich pytań, również po francusku, jest w stanie odpowiedzieć.

W końcu przy okienku odsyłają cię do filii na drugim końcu miasta i zarazem na drugie piętro centrali, a stamtąd wypraszają, bo to jednak nie tutaj.

Wracasz do domu. Płacisz księgową z internetu i tak to się kończy.

Przy czym mówimy o zwykłym rozliczeniu rocznym, które z natury rzeczy powinno być klarowne i dostępne ogółowi, który wszak nie ma funduszy na opłacanie księgowych.

Pokój

Po ośmiu miesiącach udaje ci się uregulować większość spraw administracyjnych. Gdy wreszcie dostajesz dostęp do pełnych świadczeń medycznych, otrzymujesz dodatek socjalny do mieszkania, twój adres prywatny znika z domeny publicznej, udaje ci się opłacić wszystkie podatki, czujesz niewystawioną radość, dziękujesz sobie, państwu i znajomym, którzy ci pomogli, ale... oto właśnie niebezpieczeństwo. Czy to wyszarpanie, wywalczenie, wyłaganie, wychodzenie, wystanie swoich praw zakończone zwycięstwem jest w porządku?

Bo naprawdę na każdym szczeblu społecznym spotkasz ludzi, którzy narzekają na biurokrację. Czy da się coś z tym wszystkim zrobić? Rozmawiasz z byłą pracowniczką banku w Paryżu. Z piekarzem. Z małżeństwem nauczycieli. Wszyscy zgodnie, choć niezależnie od siebie twierdzą, że (kolejna) rewolucja byłaby działaniem za ostrym. – Wszystko, co uczynione siłą – mówi bankierka – nie może być dobre.

A ty przecież już wiesz, że właśnie argument siły jest skuteczny. Bo oto pewnego razu przyjeżdżasz do urzędu pracy. Jest zamknięty, trwa przerwa obiadowa, ale ty akurat tylko w przerwie obiadowej mogłeś przyjechać. Dzwonisz dzwoneczkiem, przepytuje cię pan urzędnik. I, co ciekawe, wpuszcza cię do środka, bo udaje ci się go przekonać serią argumentów, lamentów, karabinem zdań.

W kraju, w którym wskazane są najbardziej perwersyjne formy grzeczności, od dziesięć razy *oui madame, merci monsieur* po cierpliwe relacjonowanie urzędnikom twojej sytuacji życiowej z podawaniem szczegółów wręcz intymnych, twoim zadaniem jest czekać. Czekać, gdyż każdy niecierpliwy ruch odeśle cię na nowo na koniec kolejki.

Marie Magda Ruta

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Króliki z kapelusza

PiS jest współczesną endecją, to są ich korzenie, czuć chemię psychiczną z faszyzującą przedwojenną prawicą narodową. W dokumentalnej książce Miłosza „Wyprawa w dwudziestolecie” czytam, co wrogowie Piłsudskiego mówili o nim. W roku 1921 w piśmie „Myśl Narodowa” poseł mazowiecko-podlaski ks. dr Kazimierz Lutosławski twierdził: „Piłsudski nie od dziś jest narzędziem międzynarodowego żydostwa dla walki z Narodem Polskim, aby go do niepodległości nie dopuścić. Już w 1905 r., kiedy po wojnie japońskiej zaczęły się rysować i pękać okowy, które skuty Polskę z Rosją, międzynarodówka użyła Piłsudskiego w Polsce, aby tu robił rosyjską rewolucję...”. To nie był jakiś głos odosobniony, wybryk. Tak lub podobnie powszechnie pisano o Piłsudskim w prasie prawicowej. I to kiedy? Trzy lata po wywalczeniu przez niego niepodległej Polski, ledwie miesiące po wielkim zwycięstwie 1920 r.

Dzisiaj zamiast międzynarodówki komunistycznej czy żydowskiej jest liberalna, zamiast Piłsudskiego wrogiem prawicy jest Tusk, który został przysłany do Polski przez międzynarodówkę europejską, by robić tu rewolucję obyczajową, jest agentem niemieckim, dbającym tylko o interes Niemiec. Ostatni wybryk prezesa. Oto ogłosił z zaciętą miną, że „Tusk jest personifikacją zła” i że jeśli PiS przegra wybory, to w Polsce będzie wojna domowa. Mówił to na pikniku wojskowym, scenografią byli oficerowie w mundurach.

•
Już znamy pytania referendalne, miało być tylko jedno, ale się rozmnażają. A co nam prezes będzie żałować. On, hojny pan. Pytanie pierwsze brzmiało pierwotnie: „Czy popierasz wyprzedaż państwowych przedsiębiorstw?”. Później zaś: „Czy popierasz wyprzedaż majątku państwowego podmiotom zagranicznym, prowadzącą do utraty kontroli Polek i Polaków nad strategicznymi sektorami gospodarki?”. A prezes, szykując grunt do tego pytania, naucza: „Niemcy chcą osadzić Tuska w Polsce, aby wyprzedawać wspólny majątek”. A nie można by zapytać prostolinijnie? „Czy popierasz sprzedaż Polski Niemcom?”.

Potem jak króliki z kapelusza prezes wyjmuje następne pytania, wszystkie do siebie podobne, odpowiedź jest oczywista. Można kpić z tych pytań, ale jest w nich populistyczna ludowa przebiegłość. Mam krewniaka w małym miasteczku. On i wielu jego znajomych do dzisiaj nie mogą przeboleć, że upadła miejscowa cukrownia, teraz w odrestaurowanych murach są sklepy, siłownia, ale cukrowni nie ma. Krewniak ze znajomymi uważają, że to był rozbój. Cała Polska jest usiana takimi miasteczkami, gdzie

coś upadło, bo było nierentowne, zdarzały się też pewnie gangsterskie przejęcia majątku. A ludzie cierpią, bo te przedsiębiorstwa to był często przedmiot dumy mieszczyzny. To oczywiście dotyczy ludzi starszych, wychowanych w PRL. Oni winą za różne niedogodności swojego późniejszego życia obarczają prywatyzację.

Kuriozalne jest też pytanie wyrecytowane przez Morawieckiego jako trzecie: „Czy popierasz przyjęcie tysięcy nielegalnych imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki, zgodnie z przymusowym mechanizmem relokacji narzucanym przez biurokrację europejską?”. W tym pytaniu jest jawny atak na Unię, że biurokratyczna.

Mądrzy ludzie mówią, że to referendum to takie nadużycie, taki populizm, taki idiotyzm, że mądrzy Polacy tego nie kupią. Połowa Polaków pewnie nie jest głupia, a połowa głupia, nie inaczej niż gdzie indziej. Wszystko zależy od tego, jak populiści potrafią żerować na tych głupich. Trump, Netanjahu są w tym mistrzami – i jest prezes.

Można kpić z pytań referendalnych, ale jest w nich populistyczna przebiegłość.

•
Pisałem niedawno o Andrzej Bieńkowskim i jego niezwykłej książce o polskiej wsi, o wiejskiej muzyce, „Trzymałem węży w garści”. Teraz dopiero ją skończyłem. Andrzej poprzez ludową muzykę opisał w niezwykły sposób polską wieś. Ta książka to literacki dokument o świecie, który odszedł, ale naznaczył sobą naszą prowincję. Jeszcze nie tak dawno przodkowie obecnych chłopów, którzy na naszych oczach zmieniają się w farmerów, byli ludem pańszczyźnianym, więc byli niewolnikami. Co zapisane zostało w duszy kolejnych pokoleń. Andrzej ma też taką refleksję ze swoich etnograficznych podróży: „Ciągle mnie zdumiewa ten odradzający się antysemityzm, który jest kompletną abstrakcją, a jednocześnie czymś utrwalo-nym wielowiekową tradycją”. Ta wieś często w ogóle nie głosuje, kiedyś czasami głosowała na PSL, teraz PiS przejęło tych głosujących. Nie da się bez pańszczyzny, tak jak bez czubów szlacheckich, zrozumieć współczesnej Polski i jej wyborów. Ważne, że powstały trzy niezwykłe książki o dawnej polskiej wsi, o chłopach, a niedawno ukazała się książka „Warcholstwo. Prawdziwa historia polskiej szlachty” Kamila Janickiego, autora książki o pańszczyźnie. Kiedyś do tej pozycji o szlachcie powrócę. ■

Zaolzie, czyli początek katastrofy

Dlaczego przed wrześniem 1939 r.
sanacja nie chciała sojuszu z Czechosłowacją

Paweł Sergiejczyk

Jak co roku 1 i 17 września usłyszymy wiele słów o polskiej niewinności – o tym, że Polska padła ofiarą „diabelskiego paktu” Niemiec i Rosji. Taki jest właściwie jedyny przekaz polskiej polityki historycznej 84 lata po tamtych wydarzeniach. Przekaz tyleż prostacki, co operujący półprawdami albo wręcz fałszami. Bo nie jest prawdą, że II Rzeczpospolita była uosobieniem niewinności w międzywojennej Europie. Prawdą jest za to, że na wrześniową klęskę zapracowała sobie sama, o czym najdobitniej świadczy polityka władz polskich wobec Czechosłowacji.

„Źródłem katastrofy, która powaliła Polskę w roku 1939, jest to, co się stało w roku 1938” – takim zdaniem rozpoczął swoją relację pamiętnikarską Jędrzej Giertych, jeden z przywódców Stronnictwa Narodowego w latach 30., po wojnie czołowy wyraziciel myśli endeckiej na emigracji. Giertych należał do nielicznych przedstawicieli przedwojennych elit zwracających uwagę na fatalną politykę Warszawy wobec Czechosłowacji, której punktem kulminacyjnym był udział II RP w rozbiórce tego państwa jesienią 1938 r.

Tak, właśnie w rozbiórce! W polskim myśleniu historycznym słowo rozbiór zarezerwowane jest dla tragicznego losu naszego kraju, podzielonego między trzech sąsiadów w końcu XVIII w. Mówi się także o „czwartym rozbiórce Polski”, którym miał być układ niemiecko-radziecki z 23 sierpnia 1939 r. Nigdy jednak nie słyszymy o tym, by sama Polska występowała w roli kraju dopuszczającego się rozbioru ziem innego państwa. A przecież właśnie tak się stało niespełna rok przed niemieckim najazdem na Polskę!

Teoretycznie Polaków, Czechów i Słowaków nie powinno nic dzielić, sporo za to powinno łączyć, począwszy od pokrewieństwa językowego i kulturowego oraz wielowiekowych związków historycznych. Dlatego atmosferę, która panowała między naszymi krajami przez całe 20-lecie międzywojenne, należy uznać za absurd niemający żadnego uzasadnienia. Niepodległa Polska i Czechosłowacja były rówieśniczkami: obie powstały jesienią 1918 r., gdy rozpadały się cesarstwa Habsburgów i Hohenzollernów, jako demokratyczne republiki kierowane przez ludzi o bardzo postępowych – jak na tamte czasy – przekonaniach. Obie szybko stały się sojusznikami zwycięskiej Francji, zastępując w roli antyniemieckiego zabezpieczenia na wschodzie Rosję, którą opanowali nieprzewidywalni bolszewicy.

Upokarzające warunki

Co zatem poróżniło polskie i czechosłowackie elity polityczne po 1918 r.? Kością niezgody okazało się Zaolzie, czyli część Śląska Cieszyńskiego leżąca na zachód od rzeki Olzy.

czeskie opuściły część opanowanego terytorium. Jednak w lipcu 1920 r. podczas konferencji międzynarodowej w belgijskim Spa premier Władysław Grabski przyjął upokarzające warunki narzucone głównie przez Wielką Brytanię, m.in. akceptację tzw. linii Curzona jako wschodniej granicy Polski i uznanie granicy polsko-czechosłowackiej na Olzie. Taka miała być cena za brytyjskie pośrednictwo w rozmowach rozejmowych z Rosją radziecką, której wojska szły na Warszawę. Dzięki zwycięskiej ofensywie armii polskiej już miesiąc później pośrednictwo Anglików okazało się niepotrzebne, powszechnie krytykowany za uległość Grabski stracił stanowisko, ale narzucone wówczas decyzje dotyczące Zaolzia pozostały w mocy przez 18 lat.

Na pewno narodowy wyrzut sumienia stanowiło ok. 150 tys. Polaków, którzy pozostali w granicach Czechosłowacji. Ale przecież nie była to ani jedyna, ani nawet największa polska społeczność, która nie zmieściła się w granicach II RP. Właściwie w każdym z państw graniczących z Polską żyły duże grupy naszych rodaków i rządzącym nie

Przez całe 20-lecie elity polityczne Warszawy traktowały Pragę niemal jak państwo wrogie.

Już w listopadzie 1918 r. polska Rada Narodowa Śląska Cieszyńskiego zawarła umowę ze swoją czeską odpowiedniczką, dzieląc dawne księstwo cieszyńskie na strefy wpływów polską i czeską. Ale w drugiej połowie stycznia 1919 r. Czesi złamali te ustalenia i znaczna część Śląska Cieszyńskiego została zajęta przez ich wojska. Na początku lutego 1919 r. z inicjatywy zwycięskich mocarstw zachodnich zawarto prowizoryczny układ między Polską a Czechosłowacją i wojska

przychodziło do głowy, by miał to być główny wyznacznik stosunku Rzeczypospolitej do sąsiadów. Z jednym wyjątkiem – Czechosłowacji właśnie. Utrata Zaolzia spowodowała, że przez całe 20-lecie elity polityczne Warszawy traktowały Pragę niemal jak wroga. Jedyną próbę ocieplenia stosunków podjęto w połowie lat 20., po konferencji w Locarno, na której Niemcy zagwarantowały nienaruszalność swoich granic z Francją i Belgią, ale już nie z Polską



Polskie czołgi TP 7 witane przez Polaków w Czeskim Cieszynie, październik 1938 r.

i Czechosłowacją, choć te ostatnie domagały się tego samego.

Jednak w maju 1926 r. władzę w Polsce przejęli piłsudczycy i od tej pory stosunki polsko-czechosłowackie były coraz gorsze. Oczywiście nie tylko z polskiej winy. Jak stwierdził czeski historyk Petr Jokeš: „W Pradze, tak samo jak w Warszawie, ulegano iluzjom o własnym znaczeniu i jednocześnie postrzegano sąsiada jako »państwo sezonowe«, z którym nie warto nawiązywać bliższych stosunków – co zresztą przyczyniło się do tego, że ostatecznie sezonowymi okazały się oba państwa. Nie dostrzegano również wspólnego interesu Polski i Czechosłowacji, jakim było utrzymanie wersalskiego status quo, dzięki któremu mogły one powstać i istnieć”.

O tym, że w Warszawie traktowano południowego sąsiada jako „państwo sezonowe”, świadczy szeroko zakrojona akcja dywersyjna na Zaolziu, organizowana przez polski wywiad wojskowy od połowy lat 30. Nielegalnie wysyłane na Zaolzie grupy bojowe (werbowano również tamtejszych Polaków), kierowane przez oficerów Wojska Polskiego, przeprowadzały działania terrorystyczne, choć głównie przeciwko budynkom, bez ofiar w ludziach. Chodziło o wydzwiek

propagandowy i wywołanie atmosfery chaosu po stronie czeskiej. Charakterystyczne, że pierwsze decyzje o rozpoczęciu przygotowań do takiej akcji podjęto na początku 1934 r., czyli w momencie, gdy władze sanacyjne podpisywały układ o nieagresji w Niemciami.

Węgierska fascynacja

Trudno uznać to za przypadek. Radykalna poprawa stosunków polsko-niemieckich rozbudziła w sanacyjnych elitach marzenia o likwidacji państwa czechosłowackiego i uzyskaniu granicy polsko-węgierskiej (przez Ruś Zakarpacką lub Słowację). Ówczesne zafascynowanie sanacji Węgrami do złudzenia przypomina obecną fascynację pisowców tym krajem, choć trudno byłoby doszukać się tu wspólnych interesów. Co więcej, dzisiejsze Węgry są czarną owcą w Unii Europejskiej i tak samo w okresie międzywojennym zarówno państwa zachodnie, jak i sąsiedzi Węgier traktowali to państwo z ogromną nieufnością, gdyż nie ukrywało ono swoich rewizjonistycznych zapędów wobec sąsiadów, na rzecz których po I wojnie światowej straciło większość terytorium. Dlatego owi sąsiedzi, czyli Czechosłowacja, Rumunia

i Jugosławia, stworzyli jawnie antywęgierskie porozumienie zwane Małą Ententą i cieszyli się poparciem Paryża.

Owo sanacyjne zafascynowanie Węgrami nie miało więc żadnego uzasadnienia, za to niosło fatalne skutki: konflikt z Czechosłowacją i osłabienie sojuszu wojskowego z Rumunią, którą polska dyplomacja próbowała na siłę pojednać z Węgrami. Przede wszystkim jednak wspieranie Budapesztu jawnie wskazywało, że II RP kwestionuje europejski porządek ustanowiony traktatem wersalskim, a więc porządek, którego celem było trzymanie Niemiec w ryzach przez zwycięzców I wojny światowej. Owszem, porządek wersalski stawał się coraz bardziej niestabilny także wskutek niekonsekwentnej postawy Anglików i Francuzów. Ale czy w interesie Polski leżało dalsze podkopywanie go, a więc umacnianie nie tyle przecież Węgier, ile faktycznie Niemiec? Tych Niemiec, którymi rządził już wtedy Hitler, niekryjący swoich apetytów mocarstwowych i terytorialnych.

Pierwszą ofiarą tych apetytów padła Austria – rodzinny kraj Hitlera. Jej przyłączenie do Rzeszy w marcu 1938 r. nie wywołało oporu ani samych Austriaków, ani mocarstw

europczyjskich. Ale zaraz potem III Rzesza wysunęła żądania wobec Czechosłowacji, domagając się najpierw autonomii, a z czasem po prostu przyłączenia do Rzeszy Sudetów, czyli tej części Czech, w której dominowała ludność niemiecka. Od kwietnia do września 1938 r. toczyła się wokół tego regionu ostra gra, w której Hitler wykorzystywał sudeckich Niemców, grożąc Czechosłowacji wojną. Mocarstwa zachodnie, które układami sojuszniczymi gwarantowały niepodległość tego państwa, za wszelką cenę chciały takiej wojny uniknąć. Można wskazywać

Bortnowskiego wkroczyła na Zaolzie, zajmując ten obszar.

Stanisław Cat-Mackiewicz, publicysta związany z obozem sanacyjnym, lecz krytyczny wobec Becka, napisał: „Powiększenie terytorium zawsze skutkuje i wskazuje na wzrost siły politycznej państwa. Powiększenie terytorium państwowego Polski o Śląsk Cieszyński na jesieni 1938 r. skutkowało ogromnym osłabieniem państwa”. Dlaczego tak się stało? Otóż decyzja władz w Warszawie o wymuszeniu na upokorzonej w Monachium Czechosłowacji oddania Zaolzia skonfliktowała

Od połowy lat 30. polski wywiad wojskowy prowadził na Zaolziu szeroko zakrojoną akcję dywersyjną, nielegalnie wysyłało tam grupy bojowe.

jako powód dominujący zwłaszcza wśród Francuzów pacyfizm czy zwyczajny strach przed Niemcami, trzeba też zauważyć, że III Rzesza od kilku lat prowadziła forsowne zbrojenia, za którymi ani Francja, ani tym bardziej Wielka Brytania nie nadążały.

Taka jest geneza owej niechlubnej umowy monachijskiej z 29 września 1938 r. Przywódcy Wielkiej Brytanii, Francji i Włoch wymusili wtedy na Czechosłowacji zrzeczenie się Sudetów na rzecz Niemiec, uniemożliwiając w ten sposób Hitlerowi wypróbowanie świeżego arsenału wojskowego na małym sąsiedzie. Polski nie zaproszono na tę konferencję, choć bardzo liczył na to ówczesny minister spraw zagranicznych Józef Beck. Polskie i węgierskie roszczenia terytorialne wobec Czechosłowacji odłożono do późniejszego arbitrażu międzynarodowego. Ale Beck nie chciał czekać. 27 września wystosował do Pragi notę żądającą natychmiastowego rozwiązania problemu Śląska Cieszyńskiego poprzez przyłączenie do Polski terenów w większości zamieszkałych przez ludność polską, a trzy dni później ponowił to żądanie w formie ultimatum. Rząd czechosłowacki nie miał innego wyjścia i ultimatum przyjął. 2 października 1938 r. Samodzielna Grupa Operacyjna „Śląsk” pod dowództwem gen. Władysława

Polskę praktycznie ze wszystkimi: z Francją (która od 1921 r. była naszą główną sojuszniczką), z Wielką Brytanią, ze Związkiem Radzieckim, który kilka lat wcześniej zawarł sojusz z Pragą, a nawet z Niemcami, bo wśród miejscowości zajętych przez polską armię znalazł się Bogumin, który Hitler sam zamierzał zająć. Jak złośliwie, lecz niestety trafnie zauważył Cat-Mackiewicz, „Beck w czasie Monachium oburzył na siebie obie strony. Tego jeszcze żaden minister spraw zagranicznych nie potrafił dokonać”.

Jeden z najwybitniejszych historyków dyplomacji, prof. Henryk Batowski, również nie miał wątpliwości, jak należy oceniać postępowanie ministra Becka: „Ówczesna polityka rządu polskiego wobec zagrożonej przez Niemcy Czechosłowacji była nie tylko błędna, ale i w najwyższym stopniu szkodliwa dla interesów Polski. Odpowiedzialność za to ponosi ówczesny szef dyplomacji polskiej, Józef Beck, jakkolwiek nie mało błędów poczyniono w okresach poprzedzających także po stronie czeskiej. Polityka Becka była bardzo krótkowzroczna. W sprawie Czechosłowacji jeszcze bardziej niż w wypadku aneksji Austrii winien on być rozumieć, że dalsze wzmacnianie potencjału Niemiec jest równoznaczne ze zmniejszaniem możliwości obronnych Polski”.

Tego Beck nie rozumiał. Podobnie jak prezydent Mościcki i marszałek Rydz-Śmigły. Ale byli w Polsce ludzie, którzy zdawali sobie sprawę z narastającego zagrożenia niemieckiego i widzieli w Czechosłowacji naturalnego sojusznika naszego kraju. Wspomniany Jędrzej Giertych szczegółowo opisał po wojnie swoje działania na forum władz Stronnictwa Narodowego (jednej z najsilniejszych partii opozycji antysanacyjnej), by w czerwcu 1938 r. zorganizować falę masowych demonstracji domagających się poparcia polskiego rządu dla władz w Pradze przeciwko żądaniom niemieckim. Takiej akcji nie udało się przeprowadzić, gdyż nie zdobyła akceptacji większości członków władz SN, a Giertych i jego zwolennicy nie mogli już się podeprzeć autorytetem dogorywającego Romana Dmowskiego. Pomysł, na który nie zdecydowała się endecja, wkrótce zresztą zrealizowała sanacja, tyle że na odwrót – latem 1938 r. rozpoczęły się w kraju prorzadowe i antyczeskie demonstracje żądające powrotu Zaolzia do ojczyzny.

Głosy sprzeciwu

Przeciwnikami polityki Becka byli także niektórzy wybitni wojskowi. Gen. Kazimierz Sosnkowski opowiadał się za sojuszem wojskowym i politycznym z Czechosłowacją jako naturalnym sprzymierzeńcem w ewentualnej wojnie z Niemcami. Tak wspominał rozmowę z prezydentem Mościckim w marcu 1938 r.: „Prezydent (...) podczas rozmowy w cztery oczy odsłonił przede mną zamiar rządu polskiego rewindykowania nam militarnych naszych roszczeń terytorialnych wobec Czechosłowacji z okazji operacji Hitlera, który planuje przyłączenie Sudetów do Niemiec. Byłem oszołomiony tą wiadomością i reagowałem na nią raczej gwałtownie. Wymiana zdań z prezydentem o burzliwym nierzaz przebiegu trwała parę godzin”.

Zdecydowanym przeciwnikiem sanacyjnej polityki zagranicznej był gen. Władysław Sikorski, który 26 września 1938 r. odbył potajemne spotkanie z czechosłowackim posłem w Warszawie Jurajem Slávikiem.

Sikorski miał zapewnić dyplomatę, że „opozycja, która odgrywa wielką rolę, robi wszystko, co możliwe, aby unie-możliwić Beckowi jego manewry”. Sikorski stwierdził również, że szef polskiego MSZ „zmontował polsko-niemiecko-węgierski front przeciwko Czechosłowacji oraz pcha wszelkimi środkami Polskę do udziału w wojnie po stronie Niemiec”.

W tej ostatniej kwestii generał nie-co przesadził. Józef Beck nie chciał, by Polska stała się oficjalnym sojusznikiem Hitlera. Ale niestety swoją polityką ułatwił Hitlerowi dalszą ekspansję w Europie. Ustalenia monachijskie nie przetrwały nawet pół roku, bo już w marcu 1939 r. III Rzesza bez trudu rozbiła Czechosłowację na podporządkowany sobie bezpośrednio Protektorat Czech i Moraw oraz „nie-podległą” Słowację, która stała się sojusznikiem Niemiec. W ten sposób Polska została otoczona przez potęgę niemiecką z trzech stron: od północy, zachodu i południa, co radykalnie pogorszyło naszą sytuację strategiczną i umożliwiło armii niemieckiej szybkie zajęcie większości terytorium II RP we wrześniu 1939 r. Niemcy przejęły też

wielkie czeskie zakłady, które produkowały uzbrojenie wykorzystane w 1939 r. i później.

Czy tego czarnego scenariusza można było uniknąć? Oczywiście najważniejsza była wówczas postawa Paryża i Londynu, które starały się wojnę z Hitlerem odsunąć w czasie. Ale był jeszcze Związek Radziecki, który aż do wiosny 1939 r. zdecydowanie wrogo odnosił się do III Rzeszy, za to wspierał Czechosłowację. We wrześniu 1938 r. Moskwa ostrzegła Warszawę przed akcją zbrojną na Zaolziu, grożąc wypowiedzeniem polsko-radzieckiego układu o nieagresji z 1932 r.

Władze polskie za nic jednak miały swoich sojuszników i sąsiadów. Liczyło się odniesienie spektakularnego sukcesu kosztem słabszego państwa. Sukcesu o wymiarze czysto propagandowym, potwierdzającym tezę o rzekomej „mocarstwowości Polski”, ale także na użytek wewnętrzny ekipy sanacyjnej. Otóż warto przypomnieć, że zajęcie Zaolzia stało się elementem... kampanii wyborczej obozu rządzącego. 13 września 1938 r. prezydent Mościcki rozwiązał Sejm i Senat,

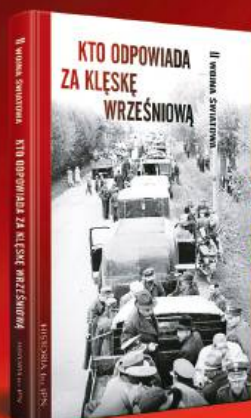
ogłaszając nowe wybory parlamentarne. Głosowanie odbyło się 6 listopada i okazało triumfem sanacyjnego Obozu Zjednoczenia Narodowego: frekwencja wyniosła ponad 67% (trzy lata wcześniej zaledwie 46%), co oznaczało, że apele całej opozycji o kolejny bojkot wyborów tym razem nie przyniosły znaczących rezultatów.

Nie ma żadnej pewności, że w 1938 r. udałooby się zmienić bieg historii i skutecznie powstrzymać Hitlera, gdyby polityka polska wobec południowego sąsiada była inna. Ale najgorsze jest to, że w Warszawie nie podjęto nawet próby zbudowania wspólnego antyniemieckiego frontu z Pragą, za to konsekwentnie planowano zadanie Czechom ciosu w plecy, wtedy gdy stanęli wobec żądań Hitlera. Mało jest w polskiej historii decyzji równie haniebnych i głupich zarazem, a przy tym szkodliwych zarówno dla kraju, jak i dla samych jej autorów, którzy już rok później z prezydentów, marszałków i ministrów stali się grupą tułaczy pogardzanych przez całą Europę i własnych rodaków.

Paweł Siergiejczyk

Trzy książki autorów PRZEGLĄDU

Jak klęska we wrześniu 1939 r. wpłynęła na kształt Polski



**DOKUMENTY Z KRAJU I EMIGRACJI
OBNAŻAJĄ NIEUDOLNOŚĆ
RZĄDÓW SANACYJNEJ ELITY**

**OBIETNICE PARTII
I ŚRODOWISK POLITYCZNYCH
W OKUPOWANYM KRAJU I LONDYNIE**



**PAKIET
135 zł
99 zł**



**GDY POLACY SIĘ KŁÓCILI,
STALIN Z CHURCHILLEM
ZADECYDOWALI O LOSACH POLSKI**

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. **Darmowa wysyłka** listem nierejestrowanym Poczta Polska.

SZLACHECKIE KARY

Warcholstwo – przestępczość, anarchia i pogarda dla prawa

Kamil Janicki

W czasach średniowiecznych oraz nowożytnych wierzone, że porządek i spokój da się zagwarantować tylko dzięki bezwzględnej surowości kar. Tak było w każdym razie w miastach. Przestępców nie pozbawiano wolności, bo przecież utrzymywanie więzień generowałoby koszty dla władz. Poza tym nie zrodziły się jeszcze pomysły na resocjalizowanie zbrodniarzy. Areszt trwał zwykle do czasu procesu. Jeśli doszło do skazania, przestępca tracił jakąś część ciała: rękę, nos albo uszy. Ewentualnie wypalano mu piętno w widocznym miejscu, tak by dla każdego było jasne, że ma do czynienia z odstępcą. W wypadkach recydywy lub wyjątkowo ciężkich przestępstw stosowano karę śmierci – nawet wymyślną, połączoną z szarpaniem ciała, ćwiartowaniem. Wszystko po to, by przestrzec innych rzezimieszków czy bandytów oraz by zapewnić makabryczną rozrywkę gawiedzi.

Plebejusz, którego posądzono o kradzież, zwłaszcza nocną, o napad albo morderstwo, miał wszelkie powody, by się obawiać o swoje ciało i życie. W świecie szlacheckim rzecz postrzegano jednak zupełnie inaczej. Nawet wyjątkowo obmierzłe czyny, o ile nie zaburzały ogólnego porządku i nie były wymierzone przeciw państwu lub zwłaszcza przeciw Bogu, były oceniane z perspektywy pieniężnej. Jeśli szlachcic okradł, pobił, zranił albo zabił drugiego szlachcica, to ten lub jego krewni ponieśli stratę, którą należało wynagrodzić. Nie obowiązywała reguła „oko za oko, ząb za ząb”. Jeśli już, to: grzywna za oko, grzywna za ząb.

Szlachciców niemal nigdy nie karano cieleśnie, a przypadki orzekania wobec nich kary śmierci należały

do ewenementów. Jeszcze radsze były faktyczne egzekucje herbowników. Kara miecza – nazywana tak, bo szlachciców tracono w sposób „honorowy”, właśnie mieczem, a nie poprzez powieszenie, spalenie lub utopienie – była stosowana w razie schwywania na gorącym uczynku, w sytuacji niewątpliwej umyślności czynu, gdy oskarżony nie wykazał skruchy, gdy wreszcie nie miał nic na swoją obronę, a może przede wszystkim wtedy, gdy nie miał odpowiednich powiązań rodzinnych ani silnych patronów zdolnych się za nim wstawić. Przykładowo w roku 1596 w Trembowli szlachcic Paweł Ciemierzyński podał do sądu grodzkiego innego szlachcica, Stanisława Łoboskiego, za to, że ten jego krewniaka „gwałtownie, umyślnie, nie mając żadnego zajścia i przyczyny”, zamordował. Trybunał przychylił się do jego wniosku o karę śmierci. W przytłaczającej większości przypadków rzecz załatwiano jednak inaczej.

Najbardziej kryminogenne okazywały się środowiska szlachty drobnej, cząstkowej, zagrodowej.

Obowiązywały konkretne stawki główsszczyzny, a więc pieniężnej grzywny za zabójstwo. U schyłku XVI stulecia za zgładzenie szlachcica przez szlachcica płacono standardowo 384 zł polskie, a więc równowartość ok. 160 tys. zł w dzisiejszej walucie. Właśnie o te pieniądze toczyły się procesy. Poza tym szlacheckich morderców skazywano na pozbawienie wolności, ale to była kara dodatkowa i niekoniecznie dotkliwa. Standardowo odsiadka trwała zaledwie rok i 6 tygodni. W razie zabójstwa z użyciem broni palnej – 2 lata i 12 tygodni, wtedy też orzekano dwa razy wyższą główsszczyznę.

Szlachcice byli osadzani w wieży przy siedzibie starostwa. Każdy gród musiał ją obowiązkowo posiadać, wiele z tych konstrukcji istnieje zresztą do dzisiaj. Na przykład na wzgórzu wawelskim w Krakowie złoczyńców skazanych przez sąd grodzki trzymano w baszcie wciąż nazywanej Żłodzijską. Każda taka wieża dzieliła się co do zasady na dwie części. Sprawcy drobniejszych przestępstw trafiali do wieży górnej – do pomieszczeń ogrzewanych, wyposażonych w okna, zabezpieczonych przed wilgocią. Morderców sadzano z kolei w wieży dolnej, pod ziemią, na głębokości przynajmniej 12 stóp i obowiązkowo na samym dnie lochu – *in fundo*. Tam było zimno, mokro, ciemno i ciasno. Łukasz Górnicki komentował, że trudno było w takich warunkach przetrwać rok, a co dopiero dłużej. Teoria rozmięła się jednak nieraz z praktyką, przynajmniej gdy chodziło o szlachtę. Jak zwykle pieniądze i układy towarzyskie okazywały się ważniejsze od wyroków.



Jan Czesław Moniuszko, „Pojedynek w karczmie”.

zasadniczo za guzy i siniaki, a nie zranienia, wynosiła niespełna 10 zł polskich, równowartość dzisiejszych 4 tys. zł. Za „ranę krwawiącą” 32 zł polskich, za wybite zęba podobnie, ale już za ucięcie palca lub „dużą ranę krwawą na twarzy” 48 zł polskich. Były to sumy odpowiadające nawet niemal 20 tys. w naszych pieniądzach. Gdy zaś doszło do „ochromienia” kończyny, utraty wzroku, nosa, ręki lub nogi, zasądzano aż połowę głównoszczyzny obowiązującej przy morderstwie. Walka sądowa była ogółem warta świeczki, chodziło o kwoty, które nawet w budżetach właścicieli folwarków mogły zrobić zauważalną różnicę.

Typowy awanturник szlachecki czy też nawet typowy szlachcic z pewnością liczył się z tym, że od czasu do czasu przyjdzie mu przełknąć porażkę sądową i zapłacić grzywnę. To nie takich kar się obawiano. O ile plebeje bali się o życie, o tyle panowie folwarczni, którzy w skrajnym stopniu naruszyli mir lub zaszli za skórę społeczności – drżeli na myśl o utracie tego, co było im najbliższe i co decydowało o ich statusie. A więc nie głowy, lecz majątku ziemskiego. Za

najcięższe przestępstwa publiczne, a także za ignorowanie wyroków i niepłacenie zasądzonych grzywnien oraz głównoszczyzn, sądy orzekały wobec herbowników kary konfiskaty majątku, banicji, czyli wygnania z kraju, oraz infamii. Sankcje te były, przynajmniej oficjalnie, najgorszym, co mogło spotkać waćpana. Infamis tracił cześć i prawa publiczne, w skrajnych przypadkach uważano go wprost za martwego, a jego żonę za wdowę. Każdy inny szlachcic miał poza tym prawo bezkarnie zabić infamisa, mógł też oczekiwać w zamian udziału w jego majątnościach. W praktyce wszystko jednak zależało od pozycji skazanego. (...)

Czy przestępczość oraz przemoc wśród szlachty była zjawiskiem rzadkim i nietypowym, czy wprost przeciwnie – zupełnie powszechnym? Do niedawna na takie pytanie brakowało jednoznacznej odpowiedzi, a temat budził w nauce spore kontrowersje. Przytaczano wyrywkowe źródła i komentarze, nie było jednak ścisłych liczb, pozwalających wyciągnąć miarodajne wnioski.

Oczywiście w powszechnej wyobraźni zdomował się obraz szla-

checkich zajazdów, awantur oraz walk w obronie splamionego honoru. Dla jego ugruntowania bardzo wiele zrobili pisarze XIX stulecia, zresztą zwykle o ziemiańskim pochodzeniu. Na samym początku XX w. ukazała się też popularnonaukowa praca Władysława Łozińskiego „Prawem i lewem”, demaskująca niezwykle nasilenie wojen wewnętrznych, zbrodni, napadów, zemst rodowych i waśni sąsiedzkich na XVII-wiecznej Rusi Czerwonej. Przez długi czas była to jedyna zwarta publikacja rzucająca światło na przestępcze skłonności polskich herbowników. Historycy podchodzili do niej jednak z rezerwą. Wielu starało się podważyć może nie rzetelność autora, ale na pewno kompletność ujęcia, jakie zaprezentował. (...)

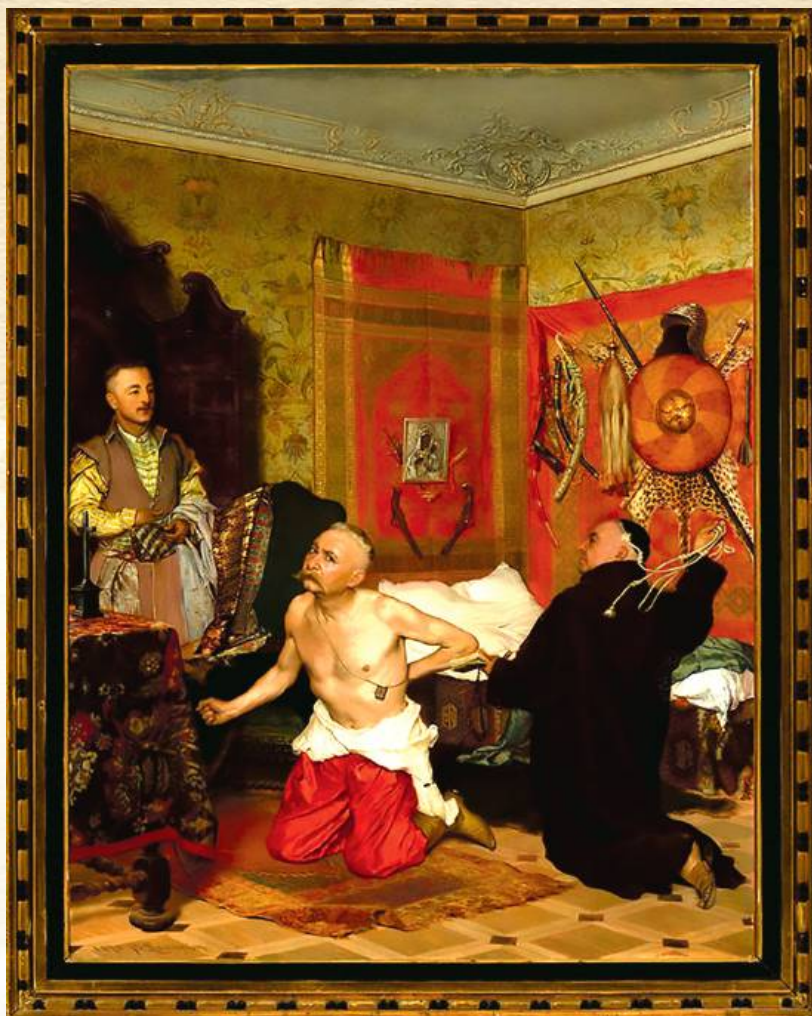
Faktyczny obraz rzeczy udało się ustalić dopiero na początku XXI w. dzięki szczegółowym badaniom ksiąg sądowych, zwłaszcza grodzkich. Prowadził je bodaj najlepszy znawca staropolskiej przestępczości, dr Marcin Kamler – najpierw w aktach z ziemi sieradzkiej, położonej w centrum kraju i cechującej się podobnymi układami społecznymi co głównie ▶

► prowincje, potem też w materiałach z Poznania, Krakowa, Lublina, Wielunia czy Brześcia Kujawskiego. Wnioski, jak sam przyznawał, okazały się „zdumiewające”.

Kamler badał księgi wyrywkowo, cokolwiek innego wymagałoby bowiem pracy nie jednego historyka, ale całego zespołu. Mimo to odnalazł imponującą liczbę wzmianek o przeróżnych szlacheckich aktach przemocy. Przykładowo w grodzie sieradzkim tylko w ciągu niespełna trzech dekad XVII stulecia złożono niemal 3 tys. skarg na zranienia, których dokonali herbownicy. Daje to, bagatela, ponad 100 spraw rocznie. Miejscowi waćpanowie dopuścili się też 168 odnotowanych zabójstw – średnio sześciu na rok, tylko w jurysdykcji tego jednego urzędu grodzkiego (...).

Co najważniejsze, kwerendy prowadzone w innych regionach przyniosły bardzo podobne rezultaty. W grodzie krakowskim czy poznańskim natężenie spraw było mniejsze niż w Sieradzu, ale już w ziemi łęczyckiej wyraźnie większe. Ogółem, jak oceniał Kamler, niemal wszędzie przemoc szlachecka stanowiła „zjawisko masowe”. Średnio w jednym sądzie grodzkim rozpatrywano rocznie jakieś trzy, cztery sprawy o morderstwa popełnione przez szlachciców. Faktycznych zbrodni było oczywiście więcej: postępowania wdrażano przecież tylko po wniesieniu prywatnej skargi, nie zawsze winny był znany i dało się mu wytoczyć proces, zdarzały się też, chyba dość często, przypadki pozasądowych, nieformalnych ugód między sprawcami i rodzinami zabitych. Co więcej, mordowanie własnych poddanych nie było czynem zabronionym, więc takich zbrodni w ogóle nie odnotowywano ani nie piętnowano.

Tak czy owak, można spokojnie szacować, że w skali kraju w sądach grodzkich i ziemskich prowadzono przynajmniej 300-400 procesów o morderstwa dokonane przez szlachciców w ciągu każdego roku. W ciągu dekady – 3-4 tys. Liczba porażająca, jeśli wziąć pod uwagę, że odnosi się do względnie wąskiego stanu, który liczył w tym czasie nie więcej niż jakieś 200 tys. dorosłych mężczyzn. (...)



Bolesław Łaszczyński, „Biczowanie szlachcica”.

„Szlachta raniła się i zabijała głównie między sobą”, podsumowywał Kamler. W 66% procesy toczyły się o krzywdy, jakie jedni szlachcice wyrządzili drugim. W przypadku samych morderstw było to aż 75%. Reszta to morderstwa mieszczan albo cudzych chłopów.

Do krwawych zająć dochodziło najczęściej na wiejskich drogach, w odosobnieniu. Standardem nie były, wbrew temu, co mogłaby sugerować literatura piękna, honorowe pojedynki czy choćby jawne bójki, z otwartą przyłbicą i na równej stopie. Nagminnie zdarzały się napaści z ukrycia – szlachcic chował się wraz z pachołkami wśród drzew i z oddali strzelał do upatrzonej ofiary, np. z rusznicy. Poza tym organizowano ataki czysto bandyckie. Dla przykładu można przytoczyć historię Stanisława Roszczeskiego, który w 1607 r. wraz z krewniakami i sługami wystąpił przeciwko innemu

szlachcicowi, Janowi Piotrachowskiemu. Rzec miała miejsce w ziemi sieradzkiej, na drodze prowadzącej do miejscowości Otok. Piotrachowski, niczego nieświadomy, jechał na wózku z jednym tylko chłopcem. On spokojnie „spał i drzemał”, a jego towarzyszy powoził. Aby ich wypatrzeć i przechwycić, organizatorzy napadu wystali na trakt „dziewkę z psami”. Sami zasadzili się w borze, w dwóch grupach, tak by łatwo osaczyć ofiary i uniemożliwić im ucieczkę. Atak był ekspresowy – obeszło się bez gróźb, przemów, potajanek. Roszczeski wypadł na drogę i począł strzelać z rusznicy. Piotrachowski nawet chyba nie zdążył się obudzić, a już leżał na ziemi cały we krwi, ze śmiertelnymi ranami postrzałowymi. Szlacheccy bandyci „pieniędzy przy nim szukali i macali, a nie znalazłszy, szablę od niego odpasali i dwa pułhaki”, a więc dwie sztuki broni palnej, „wzięli”. Aby ukryć zająć, sprawcy zamierzali

zamordować także woźnicę. Zdzielili go po głowie i byli przekonani, że legł trupem. Chłopak tylko jednak udawał martwego. W efekcie sprawa mogła trafić na wokandę.

Wiele napadów, czy to w przyptywie emocji, czy też z premedytacją, urządzano także w gospodach i na targowiskach. Do niebezpiecznych bójek dochodziło poza tym w prywatnych dworach, np. przy okazji suto zakrapianych biesiad. Zdarzały się również liczne napaści na dwory – albo w celach czysto rabunkowych, albo pod płaszczykiem egzekwowania sprawiedliwości.

Jak podkreślał historyk Dominik Golec, „znakomita większość” szlacheckich zajazdów odbywała się bez dekretów sądowych, bez wsparcia urzędów. Były to zwyczajne rozboje, nawet jeśli sprawcy twierdzili, iż mają dobry powód, by dręczyć sąsiada. W ich toku ogałacano dwory, rano no mieszkańców, niszczone sprzęty, uprowadzano zwierzęta, palono zabudowania gospodarcze, niszczone plony, a często też mordowano, porywano albo chociaż grabiono chłopów, by tym sposobem dodatkowo uprzykrzyć się ich właścicielowi. O skali procederu dobrze świadczą dane z województwa brzesko-kujawskiego. W księgach grodzkich i ziemskich tego względnie niewielkiego regionu udało się namierzyć wzmianki o 420 zajazdach przeprowadzonych od schyłku XVI w. do upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej. W każdym roku dochodziło do średnio czterech takich zdarzeń. A w każdym razie o takiej liczbie wiadomo – należy pamiętać, że nie każda sprawa była zgłaszana, poza tym zaś akta sądowe sprzed stuleci nie zachowały się w komplecie, są dalece wyrywkowe. Na przykład w Sieradzkim zajazdy były nawet częstsze.

Na początku XVII stulecia tylko w księgach grodzkich notowano ich niemal osiem rocznie.

Dokładne motywacje sprawców krwawych przestępstw zwykle pozostają nierozpoznane. Niemal wszystkie szlacheckie skargi sądowe zawierały zapewnienie, że ofiara została napadnięta, poraniona, zelżona lub zabita „bez żadnej przyczyny i owszem niewinnie”. Historyk Paweł Klint

komentuje, że frazes stał się tak powszechny, iż zaczęto go wprost uważać za nieodłączny element formularza, bez którego trudno było sobie wyobrazić dokumenty procesowe.

Normą było poza tym, że oskarżeni sami czuli się ofiarami. W odpowiedzi na pozwy składano kontrpozwy zarzucające kłamstwa i przeinaczanie faktów, bo np. pan Skicki czuł, że to pan Kowalski napadł na niego, nie zaś że sam był napadającym, i to „bez żadnej przyczyny”.

W rzeczywistości do najbrutalniejszych sporów dochodziło zwykle na tle kłótni sąsiedzkich i rodzinnych. Najbardziej kryminogenne okazywały się środowiska szlachty drobnej, częściowej, zagrodowej. Im ciśniej mieszkano, im więcej zależało od przebiegu między i podziału praw

Niemal wszędzie przemoc szlachecka stanowiła „zjawisko masowe”.

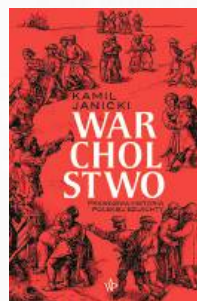
do lasów, stawów czy pastwisk, tym większa była gotowość, by niesnaski załatwiać z szablą w dłoni. Krew gotowała się w szlachcicach, gdy nie spłacano im udzielonych pożyczek, gdy pazerny sąsiad kradł chrust z nie swojego kawałka lasu czy wreszcie gdy, niby to przypadkiem, przesuwiał kamienie graniczne i przyorywał krawędź zagarniętego pola. Nie puszczano płazem także decyzji spadkowych, jeśli te były nie po myśli danego syna czy brata.

Nie znaczy to oczywiście, że szlachta średnia albo zamożna pozostawała bez winy. Przestępstwa panów na pełnoprawnych folwarkach miały jednak inną skalę i charakter. Nie wynikały z desperacji i przesadnej bliskości człowieka, do którego odczuwało się szczególną antypatię. Były o wiele bardziej cyniczne, a często też szerszej zakrojone. Na przykład łowczyzna tęczycka Anna Stokowska w 1603 r. złożyła skargę na dwóch panów, którzy najechali należący do niej bór, wyrabali, bagatela, kilkaset drzew, i wywieźli je do swoich majątków. Z kolei starosta grabowski Marcin Zaremba wprawdzie sam nie brudził

sobie rąk krwią, ale w 1606 r. zarzucano mu, chyba słusznie, że zlecił morderstwo pewnego herbownika, który zalał mu za skórę. (...)

Spory nieraz ciągnęły się przez lata, wręcz pokolenia. Na wrogie napaści i zamachy odpowiadano tym samym, spirala przemocy tylko się nakręcała. W każdym regionie były też rodziny szczególnie agresywne, których członkowie raz po raz stawali przed sądem w krwawych sprawach. W ziemi sieradzkiej Marcin Kamler zidentyfikował kilkadziesiąt rozjątrzonych familli. Chociażby Wężykowie herbu Wąż pojawiają się w aktach jako sprawcy i ofiary 70 razy, Zalescy herbu Dołęga – 59 razy, a Zabłoccy herbu Białynia – 53 razy. Zarazem jednak nie brakowało i zbrodni przypadkowych,

pozbawionych jakiegokolwiek uzasadnienia, zasadzających się tylko na rozpiekaniu szlachciców, ich pysze i poczuciu bezkarności. Wiele odnotował ich i pochwalił Walerian Nekanda Trepka w swojej „Księdze chamów”. Konkretnie historie były zapewne zmyślane i przeinaczane, jak to u Treпки. Ogólny obraz musiał jednak odpowiadać rzeczywistości. Autor opowiadał natomiast z rozmiłowaniem chociażby o nieudanych powitaniach na traktach, gdy jeden szlachcic kłaniał się drugiemu, ten zaś odczuwał zniewagę albo nabierał podejrzeń, że ma do czynienia z uzurpatorem tylko udającym herbownika. Dajmy na to jakiś pan Kozik, napotkawszy krewkiego pana Pieczonkę, nie zachował się z właściwą godnością, a na widok gniewnej miny rozmówcy rzucił zbyt swobodnie: „Przecież mnie nie będziesz krajał”. Chwilę później leżał już bez życia, zarąbany szablą. (...)



Fragmenty książki Kamila Janickiego *Warcholstwo. Prawdziwa historia polskiej szlachty*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2023

Krzysztof Pilawski

Róża Luksemburg wraca do Warszawy

Plac Centralny przywróci Złotą 16
– najbardziej znany warszawski adres
kojarzony z rewolucjonistką

Fragmenty bruku i budynków przy nieistniejącym odcinku ulicy Złotej odkryto w trakcie prac ziemnych w środkowej części placu Defilad, między Muzeum Sztuki Nowoczesnej a Pałacem Kultury. Powstanie tu nowy plac, Centralny, z oznaczeniem układu dawnych ulic, obrysem zabudowy i dziedziców kamienic. Na jednym z nich ostatniego dnia lutego 1895 r. poślizgnęła się i złamała lewą rękę matka Róży Luksemburg.

Plac Centralny przywróci Złotą 16 – najbardziej znany warszawski adres kojarzony z Różą. Tu w 1879 r. – na miejscu drewnianych domów – wzniesiono kamienicę czynszową. Zachwyił się nią „Kurier Warszawski”: „Do największych i najokazalszych nowych budowli w r. b. w Warszawie wykończonych zaliczyć należy, jak napis przy sieni umieszczony informuje, »Pałac Vestvali«. Jest to pysznie przedstawiająca się budowla wzniesiona na rogu trzech ulic: to jest Zielnej, Złotej i Wielkiej, o trzech piętrach i 40 oknach frontu”.

Nazwę kamienicy dała oklaskiwana przez Napoleona III i Abrahama Lincolna śpiewaczka operowa Felicita Vestvali, urodzona w Szczecinie obywatelka USA. Określenie „pałac” podkreślało luksusowy charakter budynku: przestronne, nawet sześciopokojowe mieszkania wyposażono w wodociąg, łazienki i rzadkie wówczas waterklozety.

Wspólnikiem Vestvali był niemiecki budowniczy Heinrich Meske. Nie wiadomo, co sprowadziło obydwoje do rosyjskiej Warszawy, w każdym razie stali się właścicielami nieruchomości o numerze hipotecznym 1420. Na budowę pożyczili 70 tys. rubli w Towarzystwie Kredytowym Miasta Warszawy. Gmach podzielili na dwie części – jedna dochodziła do Zielnej, druga do Wielkiej.

Vestvali zmarła 3 kwietnia 1880 r. Wraz z nią odeszła nazwa kamienicy. Obie jej części kupił Wiktor Maringe, syn francuskiego żołnierza wojsk Napoleona, właściciel hotelu Maringe’a przy obecnym placu Dąbrowskiego. To jego kieszeń zasilał czynsz płacony przez rodziców Róży



Fragmenty bruku i budynków przy nieistniejącym odcinku ulicy Złotej odkryto w trakcie prac ziemnych w środkowej części placu Defilad, między Muzeum Sztuki Nowoczesnej a Pałacem Kultury.

Luksemburg za trzypokojowe mieszkanie z balkonem przy Złotej 16 – w części dawnego „Pałacu Vestvali” od strony Zielnej.

Ten adres nawet biografowie Róży utożsamiają z miejscem jej zamieszkania w okresie warszawskim, czyli od ok. 1873 r. do końca 1888 r., gdy wyjechała do Szwajcarii. To jednak niemożliwe: kamienicę wybudowano w 1879 r., adres Złota 16 pojawił się zaś dopiero w 1885 r., po zmianie numerów policyjnych budynków. Wcześniej adresy tego domu były inne: Zielna 5 i Złota 6. Niezmienny pozostawał jedynie numer hipoteczny.

Rodzina Róży po przeniesieniu się z Zamościa do Warszawy co najmniej kilkakrotnie zmieniała miejsca zamieszkania. W ostatnich latach nauki Róży w gimnazjum – ukończyła je w czerwcu 1887 r. – rodzice, Lina

i Edward, wynajmowali mieszkanie przy Ogrodowej. W 1890 r., gdy Róża studiowała już w Zurychu, mieszkali przy ulicy Nowolipie. Dopiero później przeprowadzili się wraz ze starszą córką Anną na Złotą 16.

To wcale nie umniejsza znaczenia, jakie ten adres miał dla Róży. W listach do swojego partnera Leona Jogichesa (Jana Tyszkii) nazywała to miejsce domem, słała tam karty pocztowe, listy i upominki, otrzymywała z domu – pocztą lub tzw. okazją – paczki i korespondencję, którą pieczętowała przechoowywała i do której ze wzruszeniem wracała po latach. Jej zachowana część znajduje się w Archiwum Instytutu Hoovera.

Na wynajem mieszkania w tak prestiżowym miejscu rodziców Róży nie było stać. Edward jeszcze w Zamościu popadł w tarapaty

finansowe, z których nie wygrzebał się do końca życia. Choć znał osobie co najmniej setki zamożnych i wpływowych osób w Warszawie, pozostawał bez stałego źródła dochodów, żył z groszowych interesów i wsparcia krewnych. Gdy w mieszkaniu przy Złotej brakowało pieniędzy, wartościowsze przedmioty z mieszkania przepadały w lombardzie. Tak stało się z zegarkiem Anny, której zmarła Róża wysłała własny.

Dla podupadłego kupca adres Złota 16 był drugim, obok kapitału kulturowego, dowodem przynależności jego rodziny do klasy mieszczańskiej. Okazała kamienica w bezpośrednim sąsiedztwie Marszałkowskiej, kilka minut spacerem od Dworca Wiedeńskiego i nazywanego salonem

podnajmowali jeden pokój. Do dyspozycji trojga lokatorów pozostawiały dwa. W sypialni Liny i Edwarda naprzeciwko siebie stały łóżka, pod oknem zaś stolik z fotografią Róży. Przy tym stoliku jej matka siedziała całymi dniami z książką w ręku. Znała niemal na pamięć „Pana Tadeusza” Mickiewicza, którego – jak pisała w liście do Róży Anna – matka ceniła „i dla jego poezji, i poczyną”. Podstawową lekturą Liny pozostawały księgi religijne. Była nie tylko siostrą postępowego rabina lwowskiego, ale też potomkinią wielu pokoleń rabinów i talmudystów, w tym Jakóba Jozuego Falka, rabina we Lwowie, w Metz i we Frankfurcie nad Menem. Wieczorami matka przechodziła do pełniacej funkcję salonu jadalni, siadała na

informowała Róża Jogichesa. Ojca gnębił fakt, że żadna z jego córek nie wyszła za mąż. Ponaglał Różę do małżeństwa z Jogichesem, krewni pracujący w gminie żydowskiej podsunęli kandydata na męża dla 45-letniej Anny, który jednak zażądał wniesienia przez pannę młodą posagu. Pieniądzy na posag odmówił Edwardowi szwagier – Natan Löwenstein z Zawiercia. Podobnie postąpiła przyrodnia siostra Edwarda – Róża Danielowa, wdowa po bankierze z Jass (obecnie miasto na terytorium Rumunii). Zrozpaczony zwrócił się do Róży, by nakłoniła do wyłożenia pieniędzy Jogichesa. Odpowiedź nie nadeszła. Zrezygnowany Edward napisał do córki 20 kwietnia 1900 r.: „Kiedyś czytałem, iż orzeł wysoko się wznosi, przeto nie widzi, co się na ziemi dzieje. Jesteś zajęta sprawami społecznymi, a sprawy domowo-rodzinne zeszyły nawet z drugiego planu, no co robić! Muszę i to przyjąć, bo widać, że brakowała jeszcze kropelka do kielicha goryczy”.

Kilka miesięcy później, 28 września, w „Kurierze Warszawskim” ukazał się nekrolog Edwarda. Podobnie jak Lina zmarł przy Złotej 16, stąd zwłoki obydwojga wyprowadzono na cmentarz żydowski przy Okopowej. Groby rodziców Róży zachowały się do dziś.

Anna, kustoszka rodzinnej pamięci, trwała na Złotej. Traktowała mieszkanie jak relikwię, nie chciała w nim nic zmieniać. Róża z pewnością była tam w czasie nielegalnego pobytu w ogarniętej rewolucją Warszawie – mieszkała w pobliskim pensjonacie. Po aresztowaniu 4 marca 1906 r. nie chciała ujawnić swojej prawdziwej tożsamości, posługiwała się paszportem innej osoby. Tymczasem policja nie miała ani jej odcisków palców, ani zdjęć. Tych ostatnich szukano w czasie rewizji w mieszkaniach warszawskiego rodu, w tym Anny.

Anna zmarła 13 lutego 1935 r. Wraz z jej śmiercią zamknął się rozdział Złotej 16 w życiu rodziny Róży Luksemburg. Sam adres zniknął, gdy w związku z budową Pałacu Kultury rozebrano zniszczone kamienice.

Dzięki placowi Centralnemu Róża Luksemburg może wrócić do swojego miasta. ■

Czynsz płacony przez rodziców Róży za mieszkanie przy Złotej 16 zasilał kieszeń Wiktora Maringe’a, syna żołnierza wojsk napoleońskich, właściciela hotelu Maringe’a.

Warszawy Ogrodu Saskiego przyciągała gości. Przy Złotej 16 bywało rodzeństwo Edwarda, m.in. właściciel wielkiej firmy spedycyjnej, wyłączny ekspedytor towarów z Królestwa Polskiego na wystawę światową w Paryżu w 1889 r., kawaler francuskiej Legii Honorowej Maurycy oraz agent przysięgły Giełdy Warszawskiej Julian. Ten adres dobrze znali córka Maurycego Róża, którą z powodu zbieżności imienia, nazwiska i wieku carska ochrona wzięta za rewolucjonistkę, i syn Juliana Jerzy – w okresie międzywojennym sędzia śledczy do zadań specjalnych zaciekle tropiący działalność komunistyczną – doprowadził m.in. do aresztowania ojca Krzysztofa Teodora Toeplitza.

Na Złotej 16 gościł, jak go nazywano, „wujaszek Natan z Zawiercia” – właściciel kopalń węgla i rudy żelaza Natan Löwenstein, brat Liny. Przychodziła tu Róża Weltowa, bratanica Liny, córka lwowskiego rabina postępowego Bernarda Löwensteina, która wyszła za mąż za bajecznie bogatego warszawskiego fabrykanta, właściciela sieci aptek Henryka Welta.

Pozostawanie przy Złotej 16 wymagało wyrzeczeń. Rodzice, zgodnie z częstym warszawskim zwyczajem,

kanapie, piła herbatę, rozmawiała ze starszą córką, podobnie jak ona domatorką. W przeciwieństwie do nich stale spragniony kontaktów Edward większość dnia spędzał poza domem.

Największą radość rodzinie sprawiała Róża w maju 1897 r. informacją o obronie doktoratu. Ojciec wychodził codziennie z domu z listem córki w portfelu, czytał go wszystkim napotkanym krewnym i znajomym. Uszczęśliwiona matka, już wtedy śmiertelnie chora, nie posiadała się z dumy, że urodziła dwoje doktorów – brat Róży, Józef, był doktorem medycyny. Wysłała córce pięć rubli, marzyła o wyjeździe za granicę na spotkanie z nią. Była na to jednak zbyt słaba, zmarła 29 września 1897 r.

Rok później Anna przywiozła mieszkającą w Berlinie siostrze prezenty, wśród nich, zgodnie z opisem Róży, „pierścionek śliczny złoty z niezapominajką z 6 perełek, z ametystami w środku. Wewnątrz jest wryte: »Tatko i Mama 1.VI.1897«”.

Sytuacja finansowa ojca i siostry stawiała się coraz bardziej dramatyczna. W listopadzie 1899 r. Anna poprosiła Różę o przesłanie pieniędzy na czynsz – 25 rubli. „Skoro siostra pisała, musiało już być b. krucho”,

To nie jest miasto dla ludzi

Żyjemy w XXI w., a tysiące łodzian muszą korzystać z wychodka na korytarzu lub w podwórku

Rozmawia Michał Sobczyk

Łódź przestała być biednym miastem? Swoje 600. urodziny świętowała „na bogato”, wcześniej wydała duże kwoty m.in. na nowoczesne obiekty sportowe czy rozbudowę ogrodu zoologicznego i aquaparku.

– Na pomniki władz pieniądze zawsze się znajdują. I jest to jakoś akceptowalne w rozumowaniu przeciętnego samorządowego wyborcy, który widzi, że coś tam budują, remontują i ogólnie jest coraz ładniej. I do zoo można pójść... Tylko chyba zbyt często zapominamy, że samorząd odpowiada nie za same parki, szkoły i chodniki, ale także za politykę społeczną. Niestety, duże polskie miasta opanowane są przez neoliberalistów, którzy tę sferę lekce sobie ważą. W efekcie mamy te fajne obchody 600-lecia miasta, a w ich ramach darmowe loty balonem czy koncerty, a w tym samym czasie społecznicy muszą chodzić do sądu, bo urzędnicy nie chcą zamienić albo chociaż odgrzybić mieszkania emerytce chorującej na raka.

Spośród 39,5 tys. mieszkań w łódzkim zasobie komunalnym aż 14,3 tys. nie ma toalety, ponad 2,9 tys. bezpośredniego podłączenia do ujęcia wody, a tylko w 9,8 tys. jest centralne ogrzewanie. Żyjemy w XXI w., ale tysiące łodzian muszą korzystać z wychodka na korytarzu lub w podwórku. Na lokal komunalny czeka się tutaj nawet dziewięć lat. Ktoś pomylił priorytety.

Łodzią współrządzi Lewica.

Jakie inicjatywy przeforsowali jej samorządowcy?

– Ostatnio miejscowa Nowa Lewica chwaliła się doprowadzeniem do przyjęcia uchwały nadającej jednemu ze skwerów imię Daszyńskiego. Uważam, że to świetnie, szkoda tylko, że działania tego



ugrupowania nie wykraczają poza sferę symboliczną.

Kiedy protestujemy przeciwko wyrzucaniu ludzi na bruk, domagamy się dbałości o transport publiczny w mieście czy rozwoju taniego mieszkalnictwa, od przedstawicieli Lewicy słyszymy te same argumenty, co od ich koalicjantów z Platformy Obywatelskiej. Być może w koalicji ludzie zbliżają się do siebie poglądami, szkoda, że w tym przypadku działa to w jedną stronę.

Jak już wspomniałeś, miasto jest właścicielem tysięcy mieszkań, a do tego ma sporo gruntów. To potencjalnie świetny punkt wyjścia do różnego rodzaju działań prospołecznych.

Damian Duszczenko – społecznik i publicysta, przewodniczący Stowarzyszenia Łódź dla ludzi. Wcześniej mieszkał w Warszawie i działał na rzecz jej mieszkańców w Kancelarii Sprawiedliwości Społecznej.

– Rządzący Łodzią często powtarzają, że jest ona największym kamienicznikiem w Polsce i dlatego muszą wyprzedawać lokale czy całe budynki. Zamiast potraktować posiadane zasoby jako szansę na rozwój taniego mieszkalnictwa, na czym skorzystaliby m.in. młodzi ludzie borykający się z absurdalnymi cenami najmu, wspierają deweloperkę. Co gorsza, nie stawiają inwestorom żadnych wymagań, choćby dotyczących oddawania pojedynczych lokali na cele społeczne. Zdarza się ponadto, że sprzedają samorządowe kamienice razem z ich mieszkańcami, jako tzw. wkładką mięsną. Ci ludzie potem lądują na bruku, a miasto umywa ręce, argumentując, że byli już lokatorami prywatnych nieruchomości.

Do naszego stowarzyszenia często przychodzą osoby, które mieszkają w walących się budynkach. Miasto nie ma zamiaru ich remontować, chce je możliwie szybko zburzyć, a działki sprzedać deweloperom.

Samorząd podkreśla, że w realizowanym przez niego wieloletnim programie rewitalizacji śródmieścia chodzi o coś więcej niż odnowienie najbardziej zaniedbanych domów i ulic – równie ważny jest jego wymiar społeczny.

– Niestety, w praktyce rewitalizacja okazała się w dużej mierze

w budżecie, zostaliśmy zlekceważeni przez radnych rządzącej koalicji. Prawdziwy powód odrzucenia naszego projektu był oczywiście prosty. Otóż środki, które znaleźliśmy na zwiększenie dostępności komunikacji, pochodzić miały z obniżenia uposażeń członków zarządów miejskich spółek oraz rezygnacji z innych politycznych

niepedagogicznych pracowników szkół. Zarobiliśmy nawet po mandacie, bo wówczas protesty były nielegalne (*śmiech*). Niestety, panie – bo to głównie kobiety – i tak zostały zwolnione.

Wspieraliśmy również niezwykle długi i burzliwy strajk w łódzkim MOPS. Zarabiający w okolicach pensji minimalnej pracownicy socjalni domagali się podwyżek i reorganizacji niewydolnej instytucji. Oni także przegrali, ale chyba przegrało też miasto i łodzianie, bo większość tych osób – często wykonujących swoje obowiązki z pasją i zaangażowaniem – złożyła wypowiedzenia.

Padło niejedno gorzkie słowo pod adresem rządzących Łodzią, ale może jakieś ich działania zasługują na pochwałę?

– Na pewno znaczne są wszelkie inicjatywy związane z równością małżeńską, miejski program in vitro czy działania na rzecz praw kobiet. Sporo zrobiono w kwestii integracji Ukraińców, a przynajmniej

Na lokal komunalny czeka się w Łodzi nawet dziewięć lat.

gentryfikacją, czyli zmianą charakteru centrum Łodzi i wyrzuceniem z niego biednych. Owszem, ulica Włókiennicza, o której pisała Agnieszka Osiecka w „Kochankach z ulicy Kamiennej”, wygląda pięknie, jednak pozbyto się z niej większości dotychczasowych mieszkańców. Czasem pretekstem były zaległości w komornym czy brak tytułu prawnego do lokalu, czasem lokatorzy rezygnowali sami z powodu ogromnych podwyżek czynszu. Spowodowały one, że podczas rewitalizacji 150 budynków w centrum spośród 900 zamieszkujących je rodzin chęć powrotu wyraziło nieco ponad 200.

Już samo ustanowienie obszaru rewitalizacji ma pewne negatywne konsekwencje. Jest wiele projektów, które pomogłyby naszym podopiecznym, np. szkoleń, ale nie mogą oni wziąć w nich udziału, bo mieszkają np. 500 m za daleko.

Co powinny zrobić władze Łodzi, by w większym stopniu stała się ona „miastem dla ludzi”?

– Powinny się zająć choćby komunikacją zbiorową. Bo co otrzymaliśmy ostatnio? Podwyżkę cen biletów

wydatków. Nic dziwnego, że zaatakowano nas z niespotykaną furią.

Jeśli zaś chodzi o potrzeby osób z niepełnosprawnością, to zbyt wiele chodników i ulic jest w ruinie.

Na ich remontach władze nie oszczędzają – co rusz zaczyna się kolejny.

– Niestety, bywają one tak nieudolne, że w kolejnym roku znowu trzeba łątać dziury. A przecież da się to zrobić raz a porządnie. Trzecim obszarem wymagającym pilnych działań jest

Rządzący Łodzią, zamiast potraktować posiadane zasoby jako szansę na rozwój taniego mieszkalnictwa, wspierają deweloperkę.

oczywiście mieszkalnictwo. Miasto powinno jak najszybciej zrobić spis pustostanów i sprawdzić, które z nich da się zaadaptować na mieszkania komunalne, a potem rzecz jasna to zrobić i o nie dbać. Musi także – choćby wspólnie z Bankiem Gospodarstwa Krajowego, który finansuje do 80% kosztów takich inwestycji – zacząć budować mieszkania społeczne.

nie przeszkadzano organizacjom społecznym.

Opowiedz więcej o organizacji, którą współtworzysz, założonej w reakcji na najbardziej bolesne problemy miasta, takie jak bezdomność, ubóstwo mieszkaniowe czy łamanie praw lokatorów.

– Działamy doraźnie, m.in. udzielając porad prawnych oraz reprezentując ludzi w sądach, przed urzędami czy w sporach z landlordami (czyli wynajmującymi mieszkania – przyp. red.). Dzięki sporej sieci kontaktów możemy komuś załatwić dach nad głową, terapię czy wysłać do ośrodka w innym mieście, w którym pomogą wyjść z kryzysu bezdomności. Pomagamy kilkuset osobom rocznie, coraz częściej jednak zderzamy się ze ścianą. Nie jesteśmy cudotwórcami i przecież sami mieszkań nie wybudujemy.

W pandemii współprowadziliśmy łaźnię dla osób w kryzysie bezdomności, bo nie było miejsc, gdzie ▶

Duże polskie miasta opanowane są przez neoliberalistów, którzy lekceważą politykę społeczną.

i ograniczenie częstotliwości kursów. Mamy płacić więcej, choć miasto daje mniej od siebie. Jestem osobą z niepełnosprawnością i aby z mojego mieszkania dotrzeć gdzieś w sposób dla mnie możliwy, muszę zamać taksówkę.

Kiedy dwa lata temu zaproponowaliśmy obniżkę cen biletów, jasno wskazując, że są na to pieniądze

Sporo powiedziało o podejściu łódzkiego samorządu do mieszkańców. Jaką filozofią kieruje się on w odniesieniu do własnych pracowników – personelu szkół, ośrodków pomocy społecznej, bibliotekarzy czy muzealników?

– Filozofią twardej ręki. Pamiętam, jak jeszcze w pandemii zorganizowaliśmy protest przeciwko zwolnieniom

► mogłyby się wykąpać. Na początku samorząd dawał tylko bieżącą wodę, ale chyba w końcu poszedł po rozum do głowy i sam zaczął prowadzić dwa takie punkty.

życzliwych nam radnych, oczywiście z opozycji. Są także organizacje aktywne na różnych polach, ale popierające nasze działania: Tak dla Łodzi, Zieloni czy Czerwoni. Jest partia

rygor. Dobrym przykładem skuteczności tego podejścia jest Finlandia, ale też coraz więcej regionów w innych częściach Europy.

W jaki sposób można wspomóc walkę prowadzoną przez waszą organizację?

– Korzystając z okazji, chciałem zaapelować do łodzian oraz wszystkich, którzy posiadają jakąś nieruchomości lub mogą „po kosztach” ugościć osobę zmagającą się z problemami mieszkaniowymi, aby kontaktowali się z nami poprzez nasz profil na Facebooku (facebook.com/LodzDlaLudzi), e-mail: lodzdlaludzi@gmail.com lub pod numerem telefonu 518 550 505. Ciągłe zgłaszają się do nas pojedynczy ludzie, a nawet całe rodziny, które z przyczyn losowych nie mają gdzie się podziać,

Rewitalizacja śródmieścia okazała się w dużej mierze zmianą charakteru centrum Łodzi i wyrzuceniem z niego biednych.

Mimo trudnych doświadczeń cały czas próbujemy nawiązać dialog z miastem, zarówno w konkretnych sprawach naszych lokatorów, jak i w kwestii rozwiązań systemowych. Ostatnio mamy pewne pozytywne sygnały, ale czy ze strony władz naprawdę pojawi się dobra wola? Tego nie wiem.

Jesteście aktywni również na szczeblu ogólnopolskim.

– Tak, choćby biorąc udział w tzw. okrągłym stole lokatorskim Ministerstwa Rozwoju i Technologii. W ramach jego prac głównie oponujemy przeciwko pomysłom właścicieli mieszkań, którzy chcieliby ograniczyć prawa lokatorów – historyczną zdobycz lewicy – a nawet zdelegalizować organizacje lokatorskie.

Z kim współpracujecie?

– W Łodzi mamy mocnego sojusznika w postaci Łódzkiego Stowarzyszenia Lokatorów. Jest kilku

Razem i postanka Paulina Matysiak, na którą można liczyć, gdy trzeba zaatakować nielegalną eksmisję.

Obecnie apelujemy do komitetów wyborczych, aby zobowiązały się, że w przyszłym Sejmie poprą – a nawet przedstawią własne – projekty służące rozwiązywaniu problemu bezdomności zgodnie z modelem „Najpierw mieszkanie”. Chodzi o to,

Miasto powinno jak najszybciej zrobić spis pustostanów i sprawdzić, które da się zaadaptować na mieszkania komunalne, a potem to zrobić i o nie dbać.

żeby osoby w kryzysie bezdomności dostawały samodzielny dach nad głową oraz wsparcie sieci specjalistów, a nie, jak dotychczas w Polsce, były skazywane na pobyt w placówkach, w których panuje półwiezienny

a pomoc społeczna proponuje jedynie noclegownię czy ośrodek, tak naprawdę utrudniające poprawę sytuacji. W normalnych warunkach zwykle wystarczy kilka miesięcy, żeby takie osoby wyszły na prostą, jednak gdy trafią do istniejącego pseudosystemu, to być może już nigdy z niego nie wyjdą.

Utrzymujemy się praktycznie tylko z niewielkich darowizn od ludzi dobrej woli. Wszyscy w stowarzyszeniu to wolontariusze, więc nasze koszty ograniczają się do czynszu za biuro, papieru, sprzętu biurowego, internetu, telefonu, opłat sądowych, czasem podwozek do osób starszych lub niepełnosprawnych, które nie są w stanie wybrać się do nas same, niewielkiej pomocy rzeczowej czy finansowej. Nie są to jakieś ogromne wydatki, ale konieczne. Dlatego będę wdzięczny za wszelkie wpłaty na nasze konto: 33 1140 2004 0000 3702 8185 3102 (w tytule przelewu należy wpisać „darowizna na cele statutowe”).

Michał Sobczyk
m.sobczyk@tygodnikprzeglad.pl



mg

Fiodor Dostojewski

SKRZYDŁO I PONIŻENIE

mg

www.wydawnictwomg.pl



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Referendó!

Po ogłoszeniu pytań referendalnych mam dość. To już nie czas na bycie katastrofistą, pora na emigrację. Kampania wyborcza niby dopiero wystartowała, a mnie już się zbiera. Na wyjazd do Rygi. W rzeczy samej, profilaktycznie na październik załatwiłem sobie stypendium literackie na Łotwie. W razie czego będzie można poprosić o azyl. Warianty są dwa:

a) władza wygrywa wybory i narodowi socjaliści katoliccy z PiS tworzą koalicję z już jawnie faszystowską Konfederacją, a wtedy pozostanie w kraju będzie albo samobójcze, albo nieprzyzwoite;

b) władza nie uznaje wyniku wyborów pod pierwszym z tysiąca możliwych pretekstów i wobec nieuniknionych zamieszek zaprowadza skutecznie stan wojenny lub – jeśli skala protestów wykroczy poza opozycyjny „ciamajdan” – wybucha już zgoła niesymboliczna wojna domowa.

Jeśli ktokolwiek jeszcze liczy na to, że kaczym zakończy się aksamitnie, to ja mu współczuję naiwności – kaczym wszak zrodził się na zakwestionowaniu bezkrwawej zmiany ustroju, którą zapoczątkował Okrągły Stół. Kaczym ten założycielski cud polityczny III RP uważa za zdradę narodową i na nienasyconym pragnieniu zemsty, na niezaspokojonym głodzie krwi i wiecznie uwierającym nierozliczeniu komuchów buduje całą swoją toksyczną narrację. PiS nie bierze pod uwagę pokojowych rozwiązań; dopóki w ramach demokracji może się powoływać na wyrażaną głosami wolę narodu, będzie „strażnikiem demokracji”, jeśli tylko naród się znarowi i zagłasuje nie po myśli partii, demokracja przestanie być fetyszizowana. Mafia rządząca wymyśliła referendalny przekręt nie tylko po to, by bez ograniczeń finansować swoją propagandę z budżetu państwa, ale także by się zabezpieczyć na wypadek niepowodzenia i uznać wybory za nieważne z powodu regulaminowego chaosu.

Czai się tu zbyt wiele kruczków i pułapek – na czele z aresztowaniem za podarcie karty referendalnej – a przyznam, że taka ostentacja pierwsza przyszła mi do głowy. Boykot referendum musi być przeprowadzony precyzyjnie według ściśle określonych zasad – tylko „w chwili wręczania dowodu tożsamości członkowi obwodowej komisji wyborczej powinniśmy jednoznacznie poprosić o niewydawanie karty do referendum oraz odnotowanie

odmowy odbioru karty w spisie wyborczym obok naszych danych”. Mam przeczucie, że większość „naszej” strony i tak nie zdąży się o tym dowiedzieć, a nawet gdyby, trudno będzie zachować zimną krew i wykonać ten myk bezbłędnie. To trochę jak z apostazją – jako bezwolne niemowlę zostałeś wpisany w ewidencję sekty, a teraz musisz wedle sekciarskich reguł wyprosić usunięcie z grona wiernych; ktoś cię wbrew rozumowi i elementarnej etyce wmanipulował w hucpę, z której teraz musisz się wydobyć na jego zasadach. W pierwszym odruchu chciałbyś splunąć w twarz zarówno proboszczowi, który czyni ci złośliwe aluzje, jak i reprezentantom komisji wyborczej, którzy liczą na to, że się spalisz nerwowo i będą mogli uznać twój odmowny głos – nieważne, że nieważny, ale podbijający frekwencję referendalną.

Pytania, które mają dotyczyć spraw o szczególnej wadze dla państwa, zostały sformułowane na poziomie sondaży internetowej gadzinówki braci Karnowskich i obrażają inteligencję – w tym głosowaniu weźmie

Naczelnicy partyjni czynią stawką wyborów już nie tylko wolność państwa, ale i wolność kotleta schabowego, a nawet grzybobrań.

udział tylko najbardziej prostoduszna część elektoratu PiS lub cyniczny beton. Publicyści i felietoniści strony opozycyjnej prześcigają się w wisielczym humorze i tworzą listy ulubionych pytań, na które można odpowiedzieć „tak” lub „nie”, a które byłyby dla państwa polskiego nie mniej istotne od tych pisowskich. Ze swojej strony dołączam tu moje pytanie, którego zawsze miło wysłuchać, tym bardziej że odpowiedź nie ma żadnego znaczenia: „Czy wiesz, gdzie są moje majtki?”.

Skądinąd naczelnicy partyjni też nie stronią od czarnego humoru, choć czynią to bezwiednie, skoro stawką wyborów ma być już nie tylko wolność państwa, ale i wolność kotleta schabowego, a ostatnio nawet wolność grzybobrań. Ta dziecinada byłaby nawet pocieszna, gdyby nie fakt, że dzieci przywykły załatwiać sprawy w piaskownicy przemocą. Jej przeczucie jest tak dojmujące, że muszą się ostatnio uspokajać codziennym kompulsywnym grzybobraniem. Łatoś borowiki zmutowały do wymiarów bez mała atomowych.

✉ Jak ocalić pamięć o żołnierzach 1. i 2. Armii Wojska Polskiego?

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem artykuły o kościuszkowcach i 2. Armii Wojska Polskiego. „Przegląd” jest jednym z nielicznych czasopism pamiętających w ogóle o ich istnieniu i traktujących tych żołnierzy nie w sposób pogardliwy, ale wręcz przeciwnie – z szacunkiem i czcią. Mam do tego osobisty stosunek, gdyż mój nieżyjący dziadek (ochotnik z Krakowa) był żołnierzem 2. Armii, przeszedł cały szlak bojowy ze Świerczewskim aż po Berlin, a po rozformowaniu walczył także z bandami UPA w Bieszczadach, jak zresztą wielu jego kolegów. Za swoje męstwo był pięciokrotnie odznaczany, w tym Krzyżem Walecznych. A teraz obecna władza, wspierana przez Instytut

Pamięci Narodowej, na wszelkie sposoby chce ich wymazać z historii, obraża, poniża i celowo nie odróżnia od Armii Czerwonej.

Z czego się cieszył prezes Nawrocki, gdy kilka zniszczono w Szczecinie pomnik poświęcony berlingowcom? To samo było rok temu, gdy przyglądał się obaleniu monumentu w Międzybłociu, upamiętniającego dziewięciu żołnierzów radzieckich i 99 polskich z 1. Armii! Ilu młodych chłopaków, walczących w szeregach 1. i 2. Armii, poległo tam, na Wale Pomorskim, i na innych frontach? Ile krwi przelano w walce o to, by wyswobodzić teren Polski spod okupacji hitlerowskiej? O tym już się nie pamięta.

IPN i PiS robią wszystko, by pamięć o tamtych żołnierzach zniszczyć. Sztydzą z nich, nazywają zdrajcami, komuchami, zrównują ze zbrodniarzami, gwałcicielami i szabrownikami z Armii Czerwonej. Z polskich chłopców, niejednokrotnie zmuszonych do wyboru – armia, kula w łeb albo łagry.

Ale my – ich potomkowie – pamiętamy. I należałoby zrobić wszystko, aby do zatracenia tej pamięci nie dopuścić. Żyje nas przecież niemało, nas, dzieci, wnuków i prawnuków. Gdybyśmy wszyscy razem upomnieli się o pamięć i szacunek dla naszych przodków, być może IPN potraktowałby inaczej sprawę tych żołnierzy, a nie wyrzucał ich na śmietnik historii, jak te potłuczone pomniki.

Uważam narrację IPN za skandaliczną i jednostronną. Gorzej, że teraz ucą tego młodych ludzi, którzy w ogóle nie będą wiedzieć i pamiętać o tamtych żołnierzach. Chyba że będzie się o tym mówić, zwłaszcza w rodzinach będących ich potomkami – ja wiem, bo opowiadało się o tym w moim domu.

Ale to za mało. Potrzebny jest jakiś zbiorowy protest, petycja, jakiś spontaniczny gest wielu ludzi, by obecna władza w ferworze walki o „dekomunizację” nie wrzucała wszystkich do jednego wora. Bo takie działania, jakie teraz prowadzi IPN, uważam przede wszystkim za niepatriotyczne. Nie oni będą osądzać, kto miał słuszość w walce, nie oni będą dzielić żołnierzy na dobrych i złych. Takim postępowaniem robią nam – potomkom – wielką przykrość. To niesprawiedliwe!

Jeszcze raz dziękuję za te wszystkie artykuły, broniące czci żołnierzy i przywołujące pamięć o nich. To bardzo ważne zwłaszcza w obecnym momencie historii, bo nas, ich potomków, nikt nie słucha, a dopóki my jesteśmy i pamiętamy, możemy przynajmniej odnieść się do tych wszystkich krzywdzących i niesprawiedliwych ocen oraz zarzutów.

Michał Górniewicz

✉ Podziękowanie

Szanowny Pan Jerzy Domański, Redaktor Naczelny Tygodnika „Przegląd”

Serdecznie dziękujemy za okazane wsparcie naszemu przedsięwzięciu, jakim była uroczystość 80-lecia utworzenia 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Dzięki temu mogliśmy dać wyraz naszemu podziwowi dla dokonanych wojennych i służby pokojowej kościuszkowców. Ich odwaga, wręcz bohaterstwo, wytrwałość w walce i służbie, pracowitość są dla nas, ale i dla współczesnych pokoleń Polaków, przykładem wielkiego oddania Ojczyźnie. Na kościuszkowskim etosie budujemy i będziemy budować patriotyczne postawy, zrozumienie dla trudnych wyzwań stojących przed społeczeństwem, przed Polską w najbliższym czasie. Postawy obywatelskie nie przychodzą samoistnie, trzeba w tym procesie pokazywać pozytywne działania i nowatorskie rozwiązania.

Organizując uroczystość 80. rocznicy utworzenia 1. Dywizji Piechoty, mogliśmy liczyć na Pana pomoc i wsparcie. Za serce i bezinteresowność chcemy gorąco po żołniersku podziękować i okazać wielki szacunek dla Pana postawy.

gen. dyw. Piotr Czerwiński – prezes

i gen. bryg. Zenon Poznański – wiceprezes

Stowarzyszenia Ogólnopolska Rodzina Kościuszkowców

✉ Germanofobia prezesa

Jeżeli Jarosław Kaczyński uważa, że Unia Europejska to Niemcy, przynajmniej tym samym, że za dużymi pieniędzmi, które Unia dwukrotnie przewidziała dla Polski, też stały Niemcy. I może tak całkiem by się nie mylił, bo poczucie historycznej winy nie pozostawało tu zapewne bez wpływu. Ale tych pieniędzy Kaczyński nie pozwolił przyjąć, domaga się natomiast, aby pokolenie wnuków składało się na odszkodowania. Niemcy sprzyjały też zbliżeniu w paśmie Atlantyk-Bug trzech państw, dzięki czemu Polska cieszyłaby się dziś w Unii wysoką pozycją. Byłoby to więcej warte niż największe pieniądze, może nawet niż wsparcie Ameryki, nacjonalisci też nie mogliby stać się tak silni, jak obecnie się stają. Niestety, zaprzepaścił to niewiedzący dalej niż czubek własnego nosa Kaczyński. Czy chce on stworzyć sytuację, w której Niemcy wycenią Ziemie Zachodnie? Miedzwiedziów wypomina Polakom niewdzięczność – z ukrytą groźbą. Nie o wdzięczność tu chodzi, lecz o prawdę. A ta jest taka, że na konferencji poczdamskiej najsilniej wspierał delegację polską w sprawie granic Stalin, inne mocarstwa nie były z początku skłonne pójść tak daleko.

Stosunek Kaczyńskiego do Niemców jest równie fatalny, co ignorancki. On nie dostrzega wielkiego wysiłku tych, którzy przeprowadzili denazyfikację i reedukację, nie widzi legionu przyjaciół Polski, nie nawiązał z nimi nigdy kontaktu, więc oni nie mają powodu go lubić. Tak jak nieszczerością i maskowaniem rzeczywistych celów wykreował w Polsce Konfederację, teraz przyczynia się do rośnięcia w siłę niemieckich neonacjonalistów.

Rura bałtycka? To był poważny błąd, ale próba zbliżenia Rosji do UE już nie, bo ten projekt dawał nadzieję rosyjskiej opozycji i może kiedyś stanie się znowu aktualny. Ponawiając walkę na dwa fronty, Kaczyński staje się groźny dla przyszłości Polski. Sojusz europejskich nacjonalistów (zwłaszcza niemieckich z rosyjskimi) nie uratuje jej w potrzebie, sojusz demokratów tak.

Andrzej Lam



Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Cisza – ustawienie fabryczne

Kiedy myślimy o ciszy, myślimy o niej jako o wartości. Utożsamiona ze spokojem, wolnym czasem, odpoczynkiem – reprezentuje jakieś lepsze życie. Ale to ustawienie fabryczne, tak nam mówią popkultura i przemysł coachingowy: cisza jest szlachetna, to luksus. W domyśle: cisza jest klasowa – majątni wybierają ciche kurorty, ubodzy imprezowe lotniska; hałaśliwe pospólstwo kontra powściągliwe profesory. Albo przynajmniej klasa średnia żująca z zamkniętymi oczami rodzinę, żeby spotkać się z własną uważnością.

Uważność jest męcząca. Nie wiem, czy jeszcze chcemy być bardziej uważni. Przez większość czasu i tak jesteśmy czujni jak sarny – na ulicy, w internecie, w banku, w autobusie, w tekście, w obcowaniu z bliźnim. Patrząc na swobodę dzieci, przypominam sobie, że to nie uważność pozwala nam na relaks, ale nieuważność. Niezbyt uważne dbanie o własność, gubienie na każdej ławce „sweterków” i czapek na lodowisku. Tracenie czasu (żeby umieć go dzisiaj tak tracić, żeby był z tego – jak wtedy – czysty zysk!) i głowy, komfort pozwalania sobie na nieuważność tylko dlatego, że istniały jeszcze miejsca, w których czuliśmy się bezpiecznie. Ostatecznie komuś zależało na naszym życiu bardziej niż nam – to już potem się nie powtórzyło, prawda?

Pewnie stąd ta nasza dorosła, męcząca uważność, to spicie. Dlatego jesteśmy zmęczeni. I ta cisza, która nad nami wisí jak jakiś niezdany egzamin, coś, do czego powinniśmy aspirować. Zostać sam na sam ze swoimi myślami? Patrzeć, jak piasek przesypuje się w bucie, z jaką logiką porusza się zegar, słyszeć własną krew? Dla niektórych to już deprywacja sensoryczna: zmysły wariują, widma odklejają się od ścian i maszerują przez nasze dziurawe brzuchy. Czy tym pociągami jedzie jeszcze ktoś, kto źle się czuje w strefie ciszy? Kto woli huk morza od ciszy origami? Chrapanie psa i szum starego laptopa od ciszy apartamentu?

Mieszkam w mieście i przytłacza mnie „muzyka” w supermarketach, ale gdyby z nami pogrywały skrzypce albo (nawet!) kojąca muzyka wind? Osobom niepracującym fizycznie poleca się sport o wysiłku umiarkowanym.

Podobnie powinno się przepisywać ciszę – nam, zanieczyszczonym przez dźwięk, przerażonym wojną i śmiercią, która musi, musi brzmieć jak niesłabnący nigdy biały szum. Może dlatego nad „cichym” jeziorem wyobrażam sobie dzwon: leży na dnie i trzeba tam dopłynąć, znaleźć go i poruszyć. Nawet wiejska cisza, którą pamiętam jako coś, co się zdarza w wytłumione potężną pierzyną wieczory – była przecież rozpierana przez podwórkowe psy, tykanie zegara, telewizor, przy którym ktoś zasnął „na dole”. A każdy drobny dźwięk rósł w niej, jakby miał swoje echa, śmieszne, wygasające powoli dźwiękowe sobowtóry. Zасыpanie to było bicie serca matki i to, że biło dwa razy wolniej niż moje. Osobliwa niepoliczalność uderzeń, pomyłone obliczenia na granicy snu, który był wszystkim, tylko nie ciszą, bo tam mnie dopiero dopadały przygody: i straszne, i śmieszne.

Popkultura i przemysł coachingowy mówią nam: cisza jest szlachetna, to luksus. W domyśle: cisza jest klasowa.

A niedawno ten cichy sen: byłam akurat szczęśliwa i przyśniło mi się, że w rozpadlinie pełnej żółtego piachu kąpią się ze mną żyrafy. One też są zadowolone i cicho, powoli, jak tylko wielkie zwierzęta potrafią, przysuwają do mnie pyski – jedna przez drugą – żeby mnie dotykać mokrymi, ciepłymi nosami. Innym razem śni mi się mój pies i nawija we śnie, gada jak nastukany, wymądrza się, dowcipkuje. I przede wszystkim MACHA RĘKAMI. Jednocześnie „stoi” poziomo i pionowo, jak to we śnie.

A może taka cisza, w której na działce jabłka wpadają nam do butów? Albo taka, w której własną myśl umiemy wyprowadzić bez szwanku? Ale też ta po wyprowadzce dziecka, po diagnozie, po opuszczeniu hotelowego pokoju. Taka i taka. Ona jest taka i taka. Nie dobra, zbawienna, celebrycka, moralna. „Nie można potrafić jednej struny, nie poruszając całej ciszy”, pisała Anna Kamieńska. I to też jest nieprawda. Ależ można. Ja tak umiem. I ty też. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeгляд.pl



Dołącz do naszej społeczności

Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku, Twitterze, Instagramie, YouTube i LinkedIn





Komu pierścionek?

Zaręczyny to nadal jeden z najważniejszych momentów w życiu, ale pierścionek coraz częściej wędruje do mężczyzn

Anna Stachowiak

Aż 97% Polek i Polaków jest zdania, że zaręczyny to ważne wydarzenie w życiu, a jedną z najważniejszych składowych jest moment wręczenia pierścionka – tak uważa ponad 79% ankietowanych w badaniu przeprowadzonym przez Centrum Badawczo-Rozwojowe BioStat na zlecenie jubilerskiej marki Savicki. Jednocześnie z ankiet, na które odpowiedziało 500 kobiet i 500 mężczyzn, wynika, że choć zaręczyny, mocno w końcu osadzone w kulturze i tradycji, są ważne dla obu płci, to i w tym zakresie sporo się zmienia. Okazuje się bowiem, że coraz częściej osobą, która się oświadcza, jest kobieta. 14,9% mężczyzn zadeklarowało, że to oni otrzymali pierścionek zaręczynowy.

W dodatku, co może być zaskakujące, właśnie mężczyźni deklarują, że zaręczyny są dla nich wyjątkowo ważne. Prawie 5% kobiet uważa, że zaręczyny nie mają żadnego znaczenia, podczas gdy podobną opinię wygłosiło tylko 1,8% mężczyzn.

Tym, co wspólne, jest przekonanie, że zaręczyny są sprawą intymną, sytuacją, która nie wymaga świadków czy publicznej demonstracji. Z tego powodu spada popularność zaręczyn odbywających się w obecności rodziny. Ta ceremonia jest ważna dla co 10. osoby, większość par planujących małżeństwo zdecydowanie stawia na prywatność.

**Zaręczyny tak,
ślub niekoniecznie**

Ola, 24 lata: – W ubiegłym roku zaręczyłam się z moim chłopakiem.

Trochę dlatego, że już długo jesteśmy razem, w sumie całe liceum i studia, więc to naturalny krok. Wiedzieliśmy, że wszyscy się zdziwią, wśród znajomych jesteśmy jedyną parą po zaręczynach. Mało kto planuje ślub. I faktycznie, zdziwili się, ale też gratulowali. Prawdopodobnie dziwi to, że jesteśmy młodzi, a teraz ludzie coraz później się zaręczają. Ale o samym ślubie nie myślimy. Przede wszystkim dlatego, że to duży wydatek, a my dopiero kończymy studia. Może za parę lat. W sumie i tak jesteśmy razem, ślub niczego nie zmienia.

Choć pierścionek jest obowiązkowym elementem zaręczyn dla 57% kobiet, Ola pierścionka nie dostała. – Kupiliśmy sobie bransoletki po stówie sztuka – opowiada. – To taki symbol dla nas, nie potrzebujemy niczego demonstrować na zewnątrz. Jak wyjdzie przy okazji, że jesteśmy

zaręczeni, to tego nie ukrywamy, ale też nie chwalimy się tym, bo niby czym. Nie paraduję z pierścieniem, bo go po prostu nie mam i nie potrzebuję.

Większą wagę do pierścionka przykładają mężczyźni – 72% nie wyobraża sobie bez tego zaręczyn. I chodzi tu o pierścionek dla kobiety, aczkolwiek trend polegający na wręczaniu biżuterii zaręczynowej sobie nawzajem lub mężczyznom

na wschodzie to wciąż popularna tradycja, szczególnie w województwach podkarpackim i podlaskim.

Magda, 35 lat: – Ślub wzięłam w ubiegłym roku po trzech latach związku. Nawet nie przyszło nam do głowy, żeby organizować jakieś kościelne szopki, nie jesteśmy wierzący, a ja w kościele ostatni raz byłam chyba na komunii. Owszem, miałam białą sukienkę i bukiet, ale poza tym było mało standardowo.

Na sile przybiera trend polegający na wręczaniu zaręczynowej biżuterii sobie nawzajem.

przez kobiety przybiera na sile. – Dostrzegamy zmiany zachodzące w podejściu Polaków do zaręczyn i do ślubu. Dlatego oprócz tradycyjnych pierścionków zaręczynowych i obrączek ślubnych stworzyliśmy ofertę obrączek partnerskich, które może wręczyć sobie wzajemnie para na znak miłości i lojalności – komentował wyniki badania Tomasz Osman, współwłaściciel i prezes zarządu marki Savicki.

Coraz rzadziej w kościele

Zmiany w podejściu do instytucji małżeństwa są widoczne także w innych badaniach. Od lat systematycznie spada liczba zawieranych małżeństw. W ubiegłym roku w całej Polsce zawarto 155 tys. małżeństw, podczas gdy 10 lat temu liczba ta wynosiła ponad 200 tys. Z danych opublikowanych przez Główny Urząd Statystyczny wynika, że bardzo zmniejsza się liczba ślubów kościelnych. Obecnie tylko 51% par decyduje się na ślub kościelny, a 49% zawiera wyłącznie ślub cywilny. W tradycyjnej Polsce to rewolucja – nigdy wcześniej te liczby dotyczące dwóch różnych rodzajów ślubnych formalności i obrzędów nie były tak zbliżone. W 2010 r. ślubów kościelnych ze skutkiem cywilnym, tzw. konkordatowych, było 68%, a przed pandemią, w 2019 r. – 60%. W tej kwestii widać wyraźną różnicę geograficzną – podczas gdy na zachodzie Polski coraz więcej par rezygnuje ze ślubu kościelnego,

Nie było żadnych obiadków i tańców, tylko kolacja wieczorem w małym gronie. Nie pamiętam też jakiegoś szczególnego momentu oświadczeń czy zaręczyn, decyzję podjęliśmy w rozmowie, uznając, że to nam ułatwi życie. Sama sobie wybrałam pierścionek, wygodny, bez wystających elementów. Lubię go i nigdy nie zdejmuję.

Dinksy, laty i pierścionki

Zupełnie inaczej do zaręczyn podeszła Dorota. Ze swoim partnerem – przyszłym mężem – jest w związku od 10 lat. Oboje pracują zawodowo, i to intensywnie. Nigdy nie było wątpliwości, jaki ma być podział obowiązków w domu. Równy i tyle. To właśnie partnerstwo totalne definiuje

Dorota, 42 lata: – Jak równość, to równość. Nie uważam, żeby cokolwiek w życiu było całkowicie „męskie” czy „kobiecy”. Kiedy uznałam, że czas na ślub, poszłam do jubilera, kupiłam Jarkowi obrączkę, zabrałam go na kolację i się oświadczyłam. Po prostu. Potraktował to normalnie, był wzruszony i powiedział „tak”. W naszym środowisku to nic szczególnego, trudno przecież, żeby na kolanach szedł do mojego ojca i prosił o moją rękę.

Na jeszcze inny model zdecydowała się Karolina. Nigdy nie mieszkała ze swoim (obecnie) mężem i żadne z nich nie widziało powodu, żeby ten układ zmieniać po ślubie. Mieszkają osobno, choć są małżeństwem. Takie pary określa się jako związki LAT (*Living Apart Together*, czyli razem, ale osobno). Tak im dobrze, a za osobnym mieszkaniem przemawia nie tylko wygoda, którą oboje sobie cenią, ale i kwestia dojazdów do pracy. Widują się na mieście, razem spędzają weekendy w którymś z mieszkań albo na wyjeździe. W ich przypadku zaręczyny były tradycyjne – partner oświadczył się Karolinie w łazienkach, od lat pozostających jednym z najpopularniejszych w Warszawie miejsc zaręczynowych. Pierścionek wybrał sam. Jest cenny, więc Karolina zakłada go na specjalne okazje.

Co ciekawe, wybór pierścionka to sprawa szczególnie istotna dla mężczyzn. – Dlaczego dla mężczyzn

Tylko 51% par decyduje się na ślub kościelny, 49% zawiera wyłącznie ślub cywilny.

ich związek, dinksów (DINK – *Double Income No Kids*), czyli dwojga dorosłych bez dzieci. W Polsce takich par, również małżeńskich, bezdzietnych z wyboru, jest – jak się szacuje – 6-10%. To partnerzy lub małżonkowie dobrze wykształceni, dobrze zarabiający, ceniący sobie podróż i swobodę. Z tych powodów nie decydują się na dzieci, które postrzegają jako czynnik znacząco ich swobodę ograniczający. W życiu dinksów partnerstwo to jedna z najistotniejszych wartości.

pierścionek zaręczynowy ma tak duże znaczenie? Zapewne wynika to z faktu, że właśnie oni zgodnie z tradycją wręczają pierścionek i czują się odpowiedzialni za obecność tego elementu podczas zaręczyn. Pokrywa się to zresztą z naszymi obserwacjami w salonach jubilerskich. Mężczyźni chcą, żeby pierścionek idealnie wpasował się w upodobania wybranki. To swoisty test, jak dobrze znają swoją partnerkę – komentuje Tomasz Osman.

Z pelargonią każdy da sobie radę

Jest odporna na szkodniki i niesprzyjające warunki, chętnie i długo kwitnie, łatwo się rozmnaża, a przede wszystkim ma fantastyczne kolory

Łukasz Skop

Jest we wrześniowym powietrzu jakaś magia, której nie potrafię się oprzeć. Można się denerwować na jesień, że za szybko przyszła, że jeszcze nie nacieszyliśmy się wystarczająco letnim błogostanem, ale nie sposób odmówić jej tajemniczej, zniewalającej aury. Powietrze przesiąka aromatem opadających liści, słońce nie opala już czubków głów, tylko świeci prosto w oczy, a w ogrodach panuje fiesta jesiennych zbiorów. Jesień serwuje ostatnie romantyczne momenty wśród roślin, które szykują się już do zimowego odpoczynku. Ale nie wszystkie! Wściekle kolorowe pelargonie w skrzynkach balkonowych ani myślą kończyć karnawału.

Może się wydawać, że pelargonia rabatowa (*Pelargonium × hortorum*) padła ofiarą swojej własnej doskonałości. Jest ucieleśnieniem tego, czego oczekujemy od każdej ozdobnej rośliny doniczkowej: odporna na szkodniki i niesprzyjające warunki, chętnie i długo kwitnie, łatwo się rozmnaża, a przede wszystkim ma fantastyczne, jaskrawe kolory. Najważniejsze jednak, że każdy da sobie z nią radę. Przyłgnęła do niej tática babcinej – tym bardziej że trzeba ją zimować w domu, a takie sztuczki potrafią tylko staruszki, które mają na to swoje sposoby, czyli głównie... czas i chęci. Z kolei w nowoczesnych apartamentowcach, chcemy czy nie, pelargonie wyglądają po prostu komicznie.

Pelargonie uprawiamy w Europie już niemal 400 lat i można zaliczyć je do prekursorów ogrodnictwa doniczkowo-balkonowego. Nietrudno jednak zgadnąć, że nie są to nasze rodzime kwiaty. Nawet jeśli udoskonalane są od tak dawna, że nieraz nie



sposób już określić rodziców danej odmiany, to i tak wiadomo, że nic, co rośnie u nas dziko, nie jest do nich nawet odrobinę podobne. Większość z ok. 200 gatunków dziko rosnących pelargonii wywodzi się z Afryki Południowej, czyli z krajobrazu, który z polskim ma tyle wspólnego, że ogląda to samo słońce.

Pelargonie rabatowe często sadzimy w skrzynkach skąpanych w pełnym słońcu od rana do wieczora, na balkonach o wystawie południowej. Rzeczywiście, afrykańskie pochodzenie pozwala tym kwiatom w pełni korzystać ze słonecznych stanowisk, jednak nie są to wcale wymarzone dla nich warunki. Na szczęście we wrześniu nawet w pełnym słońcu nie ma aż tak wysokiej temperatury jak w pełni lata, więc rośliny mogą w końcu nieco odetchnąć. Jest jeszcze coś, co powoduje, że pelargonie są w tym czasie w swoim żywiole. To poranne mgły i chłodne, wilgotne jesienne powietrze sprawiają,

że czują one na swoich liściach oddech Afryki. Właśnie takie warunki mają w swojej ojczyźnie, gdzie delikatne włoski na liściach pelargonii wyłapują wilgoć z powietrza i pomagają im chłodzić się w tej orzeźwiającej mgiełce, bez strachu przed palącym słońcem. Wrześniowe poranki często wyłaniają się u nas z mglistych odmętów, dlatego pelargonie i wiele innych roślin właśnie wtedy rośnie najładniej i najchętniej. Najwyraźniej w sokach pelargonii nadal płyną wspomnienia o spowitych mgłą afrykańskich porankach i nawet 400 lat hodowli nie jest w stanie tych wspomnień rozcieńczyć. (...)

Pelargonie, które lato spędzają pod chmurką, zimą muszą przetrwać w ciepłych pomieszczeniach, ponieważ nie są odporne na mróz. Przeniesienie roślin ze słonecznego, ciepłego miejsca na świeżym powietrzu do znacznie słabiej oświetlonego wnętrza najczęściej powoduje żółknięcie, a następnie zrzucanie

najstarszych liści – nie tylko u pelargonii, ale także u innych kwiatów balkonowych. Drastyczna zmiana warunków odbija się niekorzystnie na roślinach, które przez kilka miesięcy były przyzwyczajone do intensywnego wzrostu. Po zmianie stanowiska przeważnie chcą utrzymać tempo, jednak przy słabszym świetle skutkuje to wytwarzaniem wątych łodyg i mniejszych, słabszych liści.

Jeśli pelargonie mają przeziębować w dobrej formie, powinny zostać przeniesione na zimowe stanowisko najpóźniej do połowy października. Wcześniej podlewanie należy stopniowo ograniczać, ponieważ rośliny, które pobierają mniej wody, spowalniają swój wzrost, a na tym właśnie powinno nam teraz zależeć. Pelargonie nie przechodzą zimą całkowitego spoczynku i będą nadal rosnąć, jednak im mniej będą miały wody, tym przyrosty będą wolniejsze, a co za tym idzie – rośliny utrzymają zwarty i krępy pokrój.

Zauważyłem, że szczególnie dobrane reagują na takie traktowanie anginki – pelargonia pachnąca (*Pelargonium graveolens*) i jej odmiany. Zimą podlewałem je tylko tyle, żeby ziemia w doniczkach zupełnie nie wyschła. Większość letnich liści stopniowo zasycha, tak że do wiosny często zostają anginkom tylko małe zielone czupryny na końcach pędów. Wiosną szybko wracają jednak do życia i bujnie się zielenią. Anginki podlewane intensywnie zimą często rosną wysokie, chwiejne i chorowite, a wiosną mają problem z przyzwyczajeniem się do większej dawki słońca i ciepła. Można je wtedy odświeżyć mocnym cięciem, wycinając wszystkie zimowe pędy do silnych ubiegłorocznych przyrostów. W taki sam sposób warto potraktować pelargonie rabatowe zimujące w pomieszczeniach.

Razem różnie!

Nie ma bardziej sprawdzonych, niezawodnych i popularniejszych kwiatów do letnich skrzynek, wiszących koszy i donic niż pelargonie. Od lat ukwiecają balkony i tarasy. Oto pięć sprawdzonych kompozycji do pojemników, w których pelargonie będą wspaniale błyszczeć:

Zielistka Sternberga (*Chlorophytum comosum*) + białokwiatowa pelargonie rabatowa (*Pelargonium × hortorum*) + białokwiatowa bakopa (*Sutera diffusa*).

Bordowolistny wilec ziemniaczany (*Ipomoea batatas*) + różowokwiatowa pelargonie rabatowa (*Pelargonium × hortorum*) + rdzawolistna pokrzywka brazylijska (*Plectranthus scutellarioides*).

Białokwiatowe osteospermum (*Osteospermum ecklonis*) + białokwiatowa pelargonie bluszczolistna (*Pelargonium peltatum*) + plektrantus koleusowaty (*Plectranthus coleoides*) o biało-zielonych liściach.

Pelargonie uprawiamy w Europie już niemal 400 lat i można zaliczyć je do prekursorów ogrodnictwa doniczkowo-balkonowego.

Różowokwiatowa kalibrachoa z grupy Million Bells (*Calibrachoa*) + pelargonie angielska (*Pelargonium grandiflorum*) o biało-karminowych kwiatach + bluszcz kurdybanek (*Glechoma hederacea*) o biało-zielonych liściach.

Czerwonokwiatowa pelargonie rabatowa (*Pelargonium × hortorum*) + białokwiatowa lobelia przylądkowa (*Lobelia erinus*) + starzec popielny (*Senecio cineraria*).

Mów łaciną

Rabatowe, bluszczolistne, angielskie czy pachnące – gatunki pelargonii nie są trudne do rozróżnienia. Trzy pierwsze znane są przede wszystkim z dekoracyjnych kwiatów, a pelargonie pachnące cenione są za aromatyczne liście. Klasyczna odmiana pachnie mocno cytrusowo, jednak istnieją też odmiany o zapachu mięty, cynamonu, orzecha laskowego, róży, eukaliptusa, a nawet coca-coli! Do pelargonii pachnącej przylgnęła nazwa „anginka” lub „anginowiec” ze względu na jej przeciwbakteryjne i przeciwwirusowe właściwości. Ze świeżych lub suszonych liści anginki można zaparzyć prozdrowotną i aromatyczną herbatę, a nawet włożyć

roztarty i uformowany w kulkę liść anginki do cierpiącego na zapalenie ucha (sposoby naszych babć były bezbłędne!). Anginka zmniejsza obrzęk, działa przeciwbólowo i przeciwzapalnie.

Pelargonie pachnąca bywa też nazywana geranium, co jest pozostałością po błędnym przyporządkowaniu tych roślin do rodzaju *Geranium*. Obecnie zaliczane są do niego inne rośliny ogrodowe, bodziszk. Linneusz uważał, że obie rośliny były wystarczająco spokrewnione, żeby zaliczyć je do wspólnego rodzaju, ale w 1789 r. francuski botanik Charles Louis L'Héritier de

Brutelle (1746-1800) przydzielił je do osobnych rodzajów: bodziszk do *Geranium*, a pelargonie do *Pelargonium*. W tym czasie pelargonie wciąż były nazywane geraniami i nie stanowiło to większego problemu, ponieważ ogrodowe bodziszk ani nie miały jeszcze tak wielkiej reprezentacji odmian jak dziś, ani nie były tak powszechne. W ciągu kilku ostatnich dekad sytuacja się zmieniła, dlatego obecnie używanie nazwy „geranium” dla pelargonii może skutkować nieporozumieniami.

Nazwa „pelargonie” pochodzi od greckiego *pelargós* – „bocian”, od podobieństwa owoców tych roślin, nazywanych rozłupniami, do bocianiego dzioba. Każdą rozłupnię tworzy pięć jednonasiennych rozłupków wyposażonych w długi dzióbek. Kiedy nasiona pelargonii dojrzewają, dzióbki skracają się gwałtownie i jak na sprężynie wystrzeliwiają nasiona daleko od rośliny matecznej. Co ciekawe, również nazwa *Geranium* wywodzi się od podobieństwa owoców do ptasich dziobów, w tym przypadku od greckiego *géranos* – „żuraw”.

Fragmenty książki Łukasza Skopa
Kwiaty bez ogródek. Jak dbać o rośliny przez cały rok, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2023



Antyinflacyjny poradnik turystyczny

Urlop u sąsiadów i bratanków może być skuteczną receptą na to, by wysoka inflacja nie dogoniła naszych portfeli



Nad Štramberkiem góruje Trúba, 40-metrowa wieża, pozostałość zamku na wzgórzu.

Chrystian Ślusarczyk

Letni sezon turystyczny powoli dobiega końca. Ale warto pamiętać, że przełom sierpnia i września to wciąż dogodny czas na urlop.

Rok 2023 pokazuje i definiuje nowe tendencje w turystyce. Już teraz widzimy, jak zmienia się sposób podróżowania Polaków. Sytuację na rynku turystycznym trafnie ocenił prezes popularnej platformy nocowanie.pl, który stwierdził, „że wysoka inflacja dogoniła portfele Polaków”. Niestety, w wielu przypadkach także przegoniła. Efekt – coraz częściej wyjeżdżamy dwa, trzy razy w roku, a klasyczne dwa tygodnie wypoczynku – czy choćby tylko tydzień – odchodzą do lamusa. Średnia długość rezerwacji hotelowych Polaków to dziś 3,6 doby. Dane te odnoszą się do turystyki

krajowej. Wielu rodaków, obawiając się drożyzny, rezygnuje też z wyjazdów zagranicznych. Nie zawsze są to obawy uzasadnione. Krótkie wyjazdy do sąsiadów i bratanków na typowy czy wydłużony weekend i zwiedzanie kilku miejsc w regionie, mieszczące się w niespełna czterech dniach, mogą się okazać kuszącą alternatywą.

Oto kilka propozycji wypadów do miejsc mało znanych, ale ciekawych historycznie i krajobrazowo, a przy tym niedrogich. Z każdego miejsca w Polsce dostaniemy się tam samochodem w ciągu jednego dnia.

CZECHY:

Štramberk i słodkie uszy

To propozycja weekendowego wyjazdu przede wszystkim dla mieszkańców Górnego Śląska i Małopolski. Štramberk, miasteczko na pograniczu Śląska i Moraw, znajduje się zaledwie

60 km od Cieszyna. Już sama jego malownicza zabudowa na wzgórzu i pobudowane tarasowato przy wąskich uliczkach wołoskie domki przyciągają turystów. Nie ma tam jednak tłumów, a ci, którzy do Štramberka przyjeżdżają, szybko rozchodzą się po miasteczku i okolicznych wzgórzach. Ze względu na położenie najlepiej zostawić samochód na parkingach przed wjazdem do miasta. Nad mocno pochyłym rynkiem, zamkniętym z jednej strony kościołem św. Jana Nepomucena, góruje Trúba. Ta walcowata, dobrze zachowana, wysoka na 40 m wieża to pozostałość wzniesionego na wzgórzu zamku. Roztacza się z niej wspaniała panorama na miasteczko i jego domy o zrębowej konstrukcji. Widać również spore połacie Beskidu Śląskiego i Moraw.

Ze Štramberkiem nierozzerwalnie związana jest tradycja štramberskich

uszu. To smaczne i aromatyczne ciastka w kształcie uszu właśnie. Jak mówi lokalna legenda, smakołyk ten związany jest z czasami tatarskimi. Mieszkańcy Štramberka, chowając się na zamku, wypuścili wodę ze zbiornika, topiąc tatarski obóz. Gdy po jakimś czasie przeszukiwali obóz, znaleźli worek wypełniony odciętymi uszami, które miały być dowodem na to, ilu niewiernych zabito w Štramberku.

Kiedy nie dopisuje pogoda, warto się wybrać do pobliskiej jaskini Šipka, w której odnaleziono m.in. szczątki neandertalskiego dziecka.

Fanów motoryzacji zaciekawia z pewnością zlokalizowane w Kopřivnicach (5 km od Štramberka) Muzeum Tatry. Zobaczymy w nim auta z różnych epok – zarówno pojazdy zabytkowe, jak i auta wyścigowe, pojazdy specjalne oraz gigantyczne ciężarówki.

CZECHY: majestatyczny gotyk Kutnej Hory

Kutná Hora leży 70 km od Prahy, ale też niewiele dalej od polskiej granicy (Dolny Śląsk). Bogactwo miasta wiąże się z wydobyciem srebra, którego początki sięgają XIII w. Trudno dziś znaleźć w Europie tak małe (Kutná Hora ma 20 tys. mieszkańców) miasto z takim nagromadzeniem cennych obiektów sakralnych. Katedra Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny i św. Jana Chrzyciela z przełomu XIII i XIV w. z pewnością robi wrażenie. Ale prawdziwą perłą, podręcznikowym wręcz przykładem najpiękniejszego gotyku jest kościół św. Barbary z końca XIV stulecia. Fantastyczne kształty świątyni zrodziły oryginalne porównania – kościół bywa nazywany grzbietem brontozaura lub szczytami Andów Patagońskich. Po jego zwiedzeniu zgodzimy się zapewne, że to nad wyraz trafne porównania. Kutná Hora słynie z jednej z najbardziej niezwykłych kaplic na świecie – kaplicy czaszek w kościele cmentarnym Wszystkich Świętych. W kaplicy znajdują się szczątki ok. 70 tys. ofiar dżumy, wojen husyckich i wojny 30-letniej. To z czaszek i kości powstały m.in. ołtarz, herb, łuki czy żyrandole.

Spacerując po malowniczej starówce miasteczka, zobaczymy wiele

pięknych domów. Szczególnie Kamienny Dom, który zaliczany jest do najcenniejszych późnogotyckich budynków w Europie.

Kutná Hora wykorzystuje globalne ocieplenie. Winnice nie tylko ją otaczają, zakłada się je na stoku w samym mieście. Odwdzięczając się niezłym winem. Romantyczne miejsca na jego degustację wyrastają jak grzyby po deszczu, a jedna z winotek znajduje się właśnie w Kamiennym Domu.

SŁOWACJA: Zemplínska Šírava – „słowackie morze”

Malowniczo położony po drugiej stronie Bieszczad (ok. 80 km od naszej granicy) zbiornik wodny to propozycja dla mieszkańców Podkarpacia i Polski wschodniej. „Słowackie morze” o długości 15 km i szerokości ok. 5 km turystycznie zagospodarowane jest od północnej, bardziej górzystej strony. Półwyspy, zatoczki, żwirkowe i trawiaste plaże przyciągają zwolenników wypoczynku na łonie natury. Nad Šíravą swoje miejsce znajdą miłośnicy biwakowania, kamperów (przy brzegu ogromne przestrzenie), wędkowania czy żeglowania. Ciepła nawet we wrześniu woda przyciąga plażowiczów. Najlepsze plaże zlokalizowane są w okolicy osad Hôrka i Kaluža. Niedawno w okolicy półwyspu powstał zespół zewnętrznych i wewnętrznych basenów termalnych Thermal Šírava.

Zupełnie inny charakter ma jezioro Vinné (5 km od Šíravy). To niemal okrągłe jezioro otoczone jest lasami liściastymi, którymi poprowadzono wiele szlaków turystycznych, m.in. do górskiego jeziora Morskie Oko czy do ruin zamku Vinné (służył ochronie traktu z Tokaju do Polski).

Południowe stoki okalające Šíravę obfitują w winnice. Warto spróbować lokalnych, głównie białych win. Będąc nad „słowackim morzem”, możemy się wybrać do pobliskich Koszyc, drugiego pod względem wielkości miasta Słowacji, z gotycką katedrą św. Elżbiety i Teatrem Państwowym, które zdobią rynek o elipsowatym kształcie.



Fanów motoryzacji zaciekawia zlokalizowane w Kopřivnicach Muzeum Tatry.



Od lat polscy turyści, którzy szukają ochłody w węgierskich basenach, kierują się w stronę Hajdúszoboszló.

SŁOWACJA: trenczyńskie atrakcje

Spiesząc nad ciepłe morza południa Europy, wielu z nas widziało potężny zamek na wzgórzu nad Trenčynem, ale w komunikacyjno-wakacyjnym pośpiechu nie zjeżdżaliśmy z autostrady D1. Warto nadrobić te zaniedbania. Położony na lewym brzegu Wagu zamek (hrad) nad Trenčynem należy do najpiękniejszych ▶

► i najpotężniejszych na Słowacji. Jego wieże obronne oraz mury na różnych poziomach skutecznie strzegły północnych rubieży Korony Węgierskiej. Pamiętajmy, że wejście na zamek, szczególnie po krytych schodach, wymaga pewnego przygotowania kondycyjnego. Ale widoki na dolinę Wagu warto są wysiłku. Ciekawe jest też podzámce z niskimi kamieniczkami i wąskimi uliczkami, przy których nie brakuje klimatycznych restauracji i kawiarni, także o orientalnym charakterze (np. Fatima). Tureckie wpływy w tym miejscu znajdują odbicie nie tylko w gastronomii. Kilka kilometrów od Trenčyna, w dolinie potoku Teplicka, znajdują się Trenčianske Teplice (Cieplice). Słyną one z wysuniętego najdalej na północ Europy hamamu, czyli łaźni tureckiej, pięknie odnowionej. Gości urzekają arkady z ornamentami.

Uzdrowisko już w XIII w. znane było z leczniczych wód. Trenčianske Teplice zdobyły sławę dzięki odkryciu pięciu źródeł leczniczej wody wapienno-siarczanej o temperaturze 36-40 st. C. W kurorcie leczone są głównie choroby narządów ruchu i układu nerwowego.

Okoliczne wzgórza Gór Strażowskich zachęcają do spacerów. Warto leśnym traktem (rejon obfituje w grzyby) wspiąć się do punktu widokowego na Białej Skale.

WĘGRY: zamkowe kąpielisko

Od lat polscy turyści, którzy szukają ośchoty w węgierskich basenach, kierują się w stronę Hajdúszoboszló. Z kolei winne Węgry kojarzone są z Egerem, tamtejszymi piwniczkami i lokalami do degustacji m.in. czerwonego wina o nazwie Bycza Krew.

Pamiętajmy jednak, że mało u nas znanych, wciąż nieodkrytych miejscowości z basenami termalnymi jest na Węgrzech sporo. Przykładem może być Gyula, leżąca przy granicy rumuńskiej, na Nizinie Węgierskiej. W Gyuli od trzech stuleci żyją ze sobą w zgodzie trzy narodowości: Węgrzy, Rumuni i Niemcy. Miejscowość ta słynie z 40-stopniowych letnich upałów oraz 600-letniego zamku, jedynej w Europie Środkowej ceglanej, tzw. klockowej, całości

nienaruszonej gotyckiej twierdzy. Z zamkiem i potężnym pałacem rodu Almásy sąsiaduje Várfürdő. To położone w pięknym parku z cenną roślinnością kąpielisko zajmuje 8,5 ha. Przy 19 zewnętrznych i wewnętrznych basenach każdy znajdzie tu coś dla siebie. W Gyuli korzystamy z dobrodziejstw wody o temperaturze 72 st. C wypływającej z głębokości 2 tys. m.

Miejscowość na pewno przypadnie do gustu fanom węgierskich smakołyków. Tamtejsze salami Gyulai znane jest daleko poza granicami Węgier. Będąc w Gyuli, nie wolno pominąć Százéves Cukrászda, czyli stuletniej kawiarni (w rzeczywistości jest znacznie starsza). Miejsce to słynie z najlepszych na Węgrzech tortów, ręcznie wyrabianych bombonier i lodów. Słodkimi smakołykami delektujemy się w oryginalnym, filmowym wręcz wnętrzu z połowy XIX stulecia.

WĘGRY:

baseny pod... bananami

Inną mało u nas znaną miejscowością oferującą park z basenami termalnymi są Harkány, przy granicy z Chorwacją. W parku, w otoczeniu małych palm i bananowców możemy korzystać z pięciu basenów w części spa oraz czterech w części rekreacyjnej. Zjeżdżalnie i baseny ze sztuczną falą to gwarancja dobrej zabawy dla dorosłych i dzieci. Dwa połączone groblą baseny, zwane motylem, są tak duże, że tworzy się na nich, jak nad morzem, wiatr. Wody w Harkánach są bogate w siarkę i przyciągają osoby z chorobami układu mięśniowo-szkieletowego. Latem pogoda niczym się nie różni od tej w krajach śródziemnomorskich. Jest to dla nas najbliższa miejscowość z takim właśnie klimatem.

25 km na północ od Harkán znajduje się Pecz. Położone na zboczach wzgórz Mecsek miasto szczyci się widoczną z daleka czterowieżową katedrą, a śladem 150-letniego jarzma tureckiego jest meczet – obecnie, pozbawiony minaretu, pełni funkcję katolickiego kościoła.

Fanom enoturystyki, czyli turystyki winnej, polecamy region winiarski Villány, kilka kilometrów na wschód od Harkán. Tamtejsze lessowe gleby

i śródziemnomorski klimat sprzyjają uprawie cennych czerwonych szczepów, takich jak Cabernet, Merlot czy Pinot Noir.

Zarówno Gyula, jak i Harkány są świetnym pomysłem na krótkie wakacje także we wrześniu.

LITWA: Troki i Karaimi

Rejon Trok to propozycja na trzy-, czterodniowy wypad, skierowana głównie do mieszkańców Mazowsza i Polski północno-wschodniej. Nie wielkie miasteczko Troki, nad jeziorem Galve, znajduje się ok. 130 km od granicy polsko-litewskiej. Symbolem Trok jest zamek na wyspie, starannie odbudowany przez Litwinów w latach powojennych. To jedyny zamek w Europie Wschodniej stojący na wyspie. Jego budowę najprawdopodobniej rozpoczął Kiejstut w końcu XIV w., a na początku wieku XV dzieło zakończył jego syn Witold. Choć nowa cegła może trochę razić, twierdza przyciąga klimatem i niezwykłym położeniem. Sercem zamku jest dziedziniec z krągankami. Zdaniem wielu zamek najlepiej prezentuje się z zewnątrz, gdy widziany jest z brzegu lub z prowadzących do niego mostu oraz kładek.

Do Trok turystów przyciągają również Karaimi. To grupa etniczna pod każdym względem wyjątkowa. Choć ma pochodzenie tureckie, wyznaje jedną z gałęzi judaizmu. Karaimów sprowadził do Trok w XIV w. książę Witold. Społeczność ta do dziś zachowuje swoje tradycje, wiarę, obyczaje, a przede wszystkim język. Nie bez powodu Troki uważane są za stolicę świata Karaimów.

Dziś przy ul. Karaimskiej znajduje się Kenesa – jedna z trzech świątyń karaimskich na świecie. Przy tej samej ulicy zlokalizowane jest ciekawe muzeum, pokazujące kulturę tego narodu.

Z malowniczych Trok rzut beretem do Wilna (ok. 30 km). Nostalgicznego, nasyconego rodzimą historią miasta Ostrej Bramy, katedry, cmentarza Na Rossie. Ale dzisiaj to także na wskroś europejska stolica Litwy, metropolia nowoczesna i szybko się rozwijająca.

Chrystian Ślusarczyk

FESTIWAL

KURTyna W GÓRĘ



29. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce

Harold López-Nussa Quartet

Żegnamy tegoroczną edycję festiwalu, za to w pięknym stylu. Kubański pianista i kompozytor, potomek wybitnej muzycznej rodziny, ugruntował swój status jednego z najbardziej innowacyjnych muzyków nowej generacji – słynny rodak Chucho Valdés nazywa go jej awangardą. Harold López-Nussa ma „subtelne brzmienie, błyskotliwe pomysły i niepowtarzalny styl”. Miłość do jazzowej improwizacji i kubańskich korzeni oraz klasycznych inspiracji przekuwa w wyjątkowy styl globalnego jazzu, odzwierciedlający jednak pełen zakres i bogactwo ojczystej muzyki. Występował zarówno z Kubańską Narodową Orkiestrą Symfoniczną oraz Matanzas Symphony Orchestra, jak i ze znanymi muzykami jazzowymi i folkowymi, takimi jak Chucho Valdés, David Sánchez czy Horacio „El Negro” Hernández. Wszystkie te doświadczenia wpłynęły na eklektyczność muzyki López-Nussy. (ap)

Więcej na: www.jazznastarowce.pl.

WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, 26 SIERPNIA, GODZ. 19

ZASŁUCHAJ SIĘ

Tomasz Konieczny, Lech Napierała Romuald Twardowski. Song & Sonnets

Anaklasis

Najstarszy żyjący polski kompozytor otrzymał od znakomitego basy Tomasa Koniecznego i pianisty Lecha Napierały prezent na urodziny. Jest to nagranie jego pieśni, które stanowią jakby muzyczną biografię artysty. Romuald Twardowski urodził się w 1930 r. Wilnie, więc kilka utworów opowiada o tym mieście. Był zaręczony z artystką, która zmarła w niewyjaśnionych okolicznościach, potem skomponował operę „Lord Jim”. Kompozytor nadal mieszka w Warszawie. Na płycie wszystko to zostało opowiedziane w sposób poetycki.

Bronisław Tumiłowicz



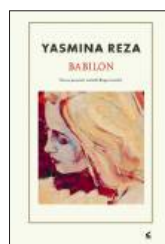
Yasmina Reza Babilon

tłum. Bożena Sęk

Sonia Draga, Katowice 2023

„Babilon” fascynuje odwracaniem sytuacji, rozpięty pomiędzy smutkiem a farsą. Ów

smutek płynie z poczucia, że nagle patrzy się głównie wstecz, że okienko możliwości się zamknęło. Najpierw ciągle chce się czegoś więcej i innego, ale w pewnym momencie zostaje już tylko rozamiętywanie – jak tęsknili wygnañcy nad rzekami Babilonu – dawnego życia. Coś się w nim osiągnęło, posadę „inżyniera rzecznika patentowego” w Instytucie Pasteura – to narratorka Elisabeth – albo beznadziejnie walczy się o uwagę złośliwego dziecka,



przyszywanego wnuka, jak Jean-Lino, smętny facecik z zaczeską, cierpiący na klaustrofobię. Między tą dwójką sąsiadów pojawia się zażyłość, lecz ze strony Elisabeth podszyta burżuazyjną protekcjonalnością. Farsa zaś rozgasa się na obsesyjnie zaplanowanym przez narratorkę przyjęciu. I nie odpuszcza, gdy wkrótce po nim sąsiad prosi o pomoc... w ukryciu zwłok żony, którą właśnie zabił. Elisabeth rzuca na szalę wygodne życie swoje i męża – ale nie na długo starcza jej brawury. Nie chcielibyście mieć takiej przyjaciółki, bo byłaby nią jedynie na dobre, nie na złe. Zostawi was na lodzie, za to będzie z troską wspominać.

Aleksandra Pańko

Strzelając śmiechem

Kolektyw artystyczny Gruba i Głupia, czyli współpracujące od kilku lat przy kolejnych projektach artystycznych Dominika Knapik i Patrycja Kowańska, zainspirowany postacią błazna Falstaffa, wziął na warsztat co śmieszniejsze kawałki z Szekspira.

Wyszli im spektakl dowcipny, acz wielce przy okazji smutny, bo traktujący o zdominowanym przez bukowatych, podstarzałych facetów, przemocowym i niedofinansowanym rodzimym rynku teatralnym, osobistych zwątpieniach, kompleksach, nadziejach, słowem o kondycji artystek i artystów w ogóle. Choć jest w „Very Funny” gorzkość, nie ma w tym przedstawieniu martyrologii ani cierpiętnictwa. Dzięki szczerości, bezpretensjonalności i zjadliwej (auto)ironii ta nieco ponadgodzinna, rubasza multimedialna fraszka performatywna, łącząca szekspirowskie frazy, taniec, wideoinstalacje i stand-up z rozmowami na Fejsie, mimo że głęboko zanurzona w środowiskowych wątkach, jest nie tylko zabawna, ale i na swój sposób oczyszczająca.



Michał Centkowski

„Very Funny”, realizacja i wykonanie Patrycja Kowańska i Dominika Knapik, Festiwal Szekspirowski, Schauspielhaus Bochum, premiera 29 lipca 2023

MIĘDZY OKŁADKAMI



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- gryzoń z Ameryki Środkowej i Południowej
- zbiór dokumentów, ksiąg urzędowych
- nieopanowane szaleństwo
- alkohol z ryżu i trzciny cukrowej
- pracodawca kapitana i załogi statku

- w jego jądrze nukleony
- zbiornik na paliwo w aucie
- obrobiony pień, kłoc
- turysta dla górala
- ...Bulls – klub grający w NBA
- wynalazca fonografu
- radykalizm, krańcowość

- wyraz określający rzeczownik
- „...i Psyche” Jerzego Żuławskiego
- wymyśla chwytły komediowe do filmów
- czyta uczniom Goethego
- pierwiastek o symbolu Al
- ma nitkę w uszku
- dynastia Pahlawich tam rządziła
- lubuje się w utajonej drwinie
- i wyspa, i czeski motocykl
- żołnierz straży granicznej w Hiszpanii
- komu brak piątej, ten ma kota
- ...Liberalno-Demokratyczny był partią Tuska
- inspekcja, weryfikacja

- na nim pęk kluczy
- forma, fason, postać
- liczba pomnożona przez samą siebie
- cichy płacz dziecka
- jak po nim – łatwo
- chłopiec pomocnik księdza
- i powłoka, i atak samolotów
- kwiaty nim nęcą owady
- „...na pustkowiu” Daphne du Maurier
- skupisko harcerskich namiotów
- zaokrąglony brzeg tarcicy, deski, oblina
- sierść lub pancerz dla zwierzęcia
- mocno przyprawiona szynka wołowa
- stolica Maroka
- dawne porwanie panny
- krach majątkowy
- złota spełniająca życzenia

- grupa twórców jak rzeźba Henryka Kuny
- ...plamista, chroniony płaz
- odludek
- jej stolicą Mogadyszu
- spadkobierczyni
- długi skok
- szkolne przymierze
- na niej przenoszone naczynia
- rozbijano nim bramy
- ciernisty krzew z rodzaju śliw
- oglądana naziemna, kablowa, satelitarna
- zaokienny lub pod pachę
- uosabiana przez Iris
- potrzos lub potrzesczcz
- oplakiwana przez Kochanowskiego
- ćwiczenie, zwłaszcza muzyczne

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1131”. Do rozlosowania DVD „Na chwilę, na zawsze” ufundowane przez Kino Świat. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 27 sierpnia 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1128” z nr. 31: *Zło nie zna miłości.*
Nagrody otrzymują: Juliusz Kidawa z Połańca, Anna Kotłowska z Poznania, Stanisław Robak z Paczkowa.

Starszy pan w Kijowie

Och, nagle Jacek Czaputowicz zyskał uznanie, bo źle powiedział o polityce zagranicznej Zbigniewa Raua – że to polityka hieny i szakala.

To było à propos konfliktu polsko-ukraińskiego o zboże z Ukrainy, które wjeżdżało do Polski. Że Polska blokuje dla zboża granicę, przypominając przy tym, jak bardzo na rzecz Ukrainy się poświęcała. Cóż, już wiosną 2022 r. i związek rolników, i ludzie, którzy na tym się znają, ostrzegali, że otwarcie granicy na produkty rolne z Ukrainy źle się skończy. Byli za to atakowani jako głos Putina. Zakrzyczano ich. Teraz mamy owoce tamtych czynów.

Czy to się da naprawić? Chyba nikt przytomny nie sądzi, że nowy ambasador RP w Kijowie choć palcem kiwnie. On już w Sejmie powiedział, że to problem Brukseli i że instytucje europejskie zachowują się w tej sprawie „dwuznacznie”. A wrogowie Polski cieszą się, że to nas skłóca z Ukrainą. Ci na zachodzie Europy...

Może więc ambasador przy Unii Andrzej Sadoś coś z tym zrobi? Odpowiedź jest prosta – nic nie robi, bo w Unii nikt z nim nie rozmawia, kanały kontaktów ma pozamykane. Komisarz ds. rolnictwa Janusz Wojciechowski? Też nie można na niego liczyć.

Sprawa zboża pokazuje nam wartość dyplomacji PiS i samego PiS. Rządzący nie mają wyobraźni, by przewidzieć, że otwarcie unijnych granic na ukraińskie produkty rolne skończy się katastrofą, a ich dyplomacja nie ma dostatecznych umiejętności, by temu zaradzić. I wszystko sprowadza się do tego, by zrobić wielką awanturę na patriotycznej nucie. Niemcom.

À propos umiejętności – w Sejmie poseł Konfederacji zarzucił nowemu ambasadorowi na Ukrainie, Jarosławowi Guzemu, że nie ma on kompetencji do sprawowania

przyszłej funkcji. Bo nigdy nie pracował w dyplomacji. Guzy poczuł się tym urażony. I odpowiadał: „Miałem niejedną propozycję pracy w dyplomacji. Były to propozycje na poziomie wiceministra spraw zagranicznych, również propozycje od pana profesora Bartoszewskiego, mojego kolegi z więzienia w Białoleścu”.

Cóż... To, że ktoś kolegował się w więzieniu z Władysławem Bartoszewskim w latach 80., nie czyni z niego dyplomaty. To jest poważny zawód, w cywilizowanych krajach są specjalnie temu poświęcone studia, a potem kariera dyplomaty jest rozpisana na etapy – tak by ambasadorowanie było zwieńczeniem długiej drogi. W wojsku też nie można zostać od razu generałem.

Jest więc rzeczą oczywistą, że Guzy zderzy się na nowej placówce z rzeczami dla niego nieznanymi. Począwszy od umiejętności zarządzania zespołem ambasady, poprzez dialog z centralą MSZ, kontakty z korpusem dyplomatycznym, aż po kontakty z miejscowym MSZ, urzędnikami i politykami. A także biznesem, ludźmi kultury, Polonią... Jest też oczywiste, że w wieku 68 lat, czyli emerytalnym, już się tego nie nauczy.

Możemy się domyślać, że Kaczyński urzeczony jego antykomunistycznym życiorysem, no i publicystycznymi umiejętnościami, chciał mu najbliższe lata wynagrodzić. No to szkoda, że nie wysłał go na jakąś spokojną placówkę, gdzie mógłby odcinać kupony od dawnej działalności. Albo rzeczywiście nie mianował go wiceministrem w MSZ. Na tle Jabłońskiego czy Raua błyszczałby po prostu, PiS miałoby z niego pożytek. A do Kijowa pojechałby zawodowiec. I wszyscy byliby zadowoleni.

Attaché

To nie podstępny migrant próbujący sforsować naszą wschodnią granicę, lecz indonezyjski chłopiec podczas tradycyjnych zabaw związanych z Dniem Niepodległości Indonezji.
16 sierpnia 2023 r.





Minister Buda: Polak polecą na Międzynarodową Stację Kosmiczną

9 SIERPNIA 12:29



PENETRACJE

MONDE
diplomatique

ADAM LESZCZYŃSKI,
HISTORYK I SOCJOLOG

Rodzimego konserwatystę łączyła z Zachodem szczególna, obsesyjna mieszanina miłości i nienawiści. Narzekał na ów „Zachód” i „Europę”, pogardzał nim często, a przynajmniej taką pogardę deklarował, a równocześnie niestychanie się przejmował każdą zagraniczną opinią, niekiedy próbując z nią polemizować, publikując artykuły we francuskiej prasie czy drukując w Paryżu broszury adresowane do „Zachodu”. W tle pozostawało zawsze rozgoryczenie, że Polski i Polaków nikt tam nie docenia ani nie szanuje, traktując nasze ziemie jako kraj dziki i zacofany, a jego elity jako barbarzyńskich nadzorców chłopów niewolników. (...) „Sprawa chłopstwa” zajmowała w tej polemice z „Zachodem” – dość jednostronnej, o Polsce pisano bowiem tam rzadziej, niż Polacy pisali o Europie – centralne miejsce. Wielu publicystów rozumiało, że polskiej szlachcie trudno wiarygodnie deklarować, że walczy o wolność narodową, podczas gdy jednocześnie żyła z niewoli chłopów u siebie.

zwierciadło KASPER BAJON,
PISARZ, SCENARZYSTA, REŻYSER

Gdybym ze wszystkich rzeczy, jakie robię w życiu, miał zostawić tylko jedną, to zdecydowanie wybrałbym czytanie. Może to jest właśnie moja największa pasja? Jeśli mam sobie coś do zarzucenia, to na pewno to, że za mało czytam. Choć i tak czytam sporo. Jestem zasmucony tym, że nie przeczytałem wszystkich świetnych książek, jakie się ukazały. Bo literatura cały czas mnie zaskakuje. Film i serial – bardzo rzadko.

PANI KAROLINA GRUSZKA,
AKTORKA

Ważne jest wczesne zdiagnozowanie choroby. Pierwsze objawy neurologiczne: zaburzenia wzroku, ruchu, równowagi czy mrowienia mogą się pojawić, a potem zniknąć bez śladu. Wtedy łatwo uznać je za coś nieistotnego. A diagnoza po pierwszych objawach i przyjęcie leków mogą zahamować chorobę we wczesnym stadium. Mam też nadzieję, że dodatkowym efektem mojego mówienia o tej chorobie będzie większa świadomość społeczna. Żebyśmy, kiedy dowiemy się, że ktoś choruje na stwardnienie rozsiane, nie skreślali tej osoby. Z dobrze leczonym SM-em można normalnie funkcjonować.

PISTYL ARTUR BARCIŚ,
AKTOR

Po „Ranczu” nie miałem filmowych propozycji, grałem tylko w teatrze, co w pandemii oznaczało niegranie. W trakcie covidu się nie goliłem, bo nie miałem siły wstać z łóżka. W końcu uznałem, że nawet ciekawie wyglądałem z zarostem, żonie też się podobało i tak zostało. Okazało się, że zbirowaty wygląd przyczynił się do zmiany mojego emploi. I nastąpił zwrot w mojej karierze. Skończyłem właśnie zdjęcia do filmu „Polowanie” Pawła Chmielewskiego, w którym gram postać, cóż... mało pozytywną. W życiu nie myślałem, że dostanę taką propozycję!

ANAGRAMY

Przestawiając litery, utwórz wyrazy z podanych słów.

Wyrazy z sześciu liter

P I C 1

+ E W A

=

□ □ □ □ □ □

Wyrazy z siedmiu liter

F O S A 3

+ M E R

=

□ □ □ □ □ □ □

Wyrazy z ośmiu liter

K U L A 5

+ S I T O

=

□ □ □ □ □ □ □ □

Ł A N 2

+ B E Z

=

□ □ □ □ □ □ □

O K N A 4

+ B A S

=

□ □ □ □ □ □ □

F U G A 6

+ T O R A

=

□ □ □ □ □ □ □ □

ROZWIĄZANIA: PIEWCA, BŁAZEN, SEMAFOR, KABANOS, OKULISTA, AUTOGRAFA

CIEKAWY Z KAŻDEJ STRONY



TYGODNIK

ANGORA | ZMYŚŁOWA
ROZKOSZ
CZYTANIA



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ożimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuta, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest,

Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirska-Socząwa

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Władcki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbełka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotodzytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyszner
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Aby język giętki...

KRZYSZTOF VARGA O OPORTUNIZMIE

Człowiek gotów będzie zawsze pójść na zgnile kompromisy, by przypodobać się swojemu stadu, zyskać jakieś profity. Mieć święty spokój.

ANDRZEJ CHYRA O TYM, CO GO UWIERA

Uwieram, że nieograniczona ufność jednej trzeciej społeczeństwa w nieomylność Jarosława Kaczyńskiego.

NATALIA NIEMEN O SOBIE

Jestem po 12 latach terapii z przerwą na ciążę i nie boję się powiedzieć, że byłam kiedyś fundamentalistką religijną. Dziś już nią nie jestem.

SANDRA KORZENIAK O KRYSZTIANIE LUPIE

Jedni cię z tego Lupę kochają, inni przed tobą uciekają.

MARTYNA WOJCIECHOWSKA O PRESJI

Na szczęście potrafię działać pod dużą presją, nie tracę głowy, jestem metodyczna, a stres odreagowuję dopiero po fakcie.

MARIANNA JANCZARSKA O OJCU JACKU

Dla ojca wszystko było inspirujące. Żył z tego, żeby wychwytywać wszelkie ludzkie przywary, a potem odpowiednio je wplątać w teksty.

ADAM FERENCY O RADOŚCI

Uwielbiam czytać książki na głos. Jestem dość nietypowy. Podstawową moją zasadą jest to, że nie czytam ich wcześniej.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WKBKPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Eugeniusz Mucha, Ojciec



Stefan Norblin, Portret Jana Wedla

POLSKI MĘŻCZYZNA 1910-2010



Leopold Gottlieb, Portret mężczyzny

Wystawa poświęcona jest postaci męskiej w malarstwie i rzeźbie, w oryginalnych ujęciach polskich artystów. Między rokiem 1910 a 2010 sztuka nowoczesna w pełni zaistniała, rozwinęła się i ugruntowała i tę jej ewolucję w obrazowaniu mężczyzny, typowego dla danego okresu lub kierunku, pokazują zgromadzone prace. Są to m.in. portrety znanych postaci, np. aktora i reżysera Aleksandra Bardinię, kolekcjonera Feliksa Jasieńskiego, tyczkarza Władysława Kozakiewicza, aktora Kazimierza Rudzkiego, twórcy ptasiego mleczka Jana Wedla czy pisarza Emila Zegadłowicza.

**Muzeum Narodowe w Kielcach
Dawny Pałac Biskupów
Krakowskich
do 15 października**



Kazimierz Kwiatkowski, Aktor z maskami
– Karol Wyrwicz-Wichrowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

POMOŻESZ?
BO MOŻESZ.
MASZ TO
W GENACH!



Żyję dzięki
Dawcy szpiku.
HANIA

**ZOSTAŃ
DAWCĄ SZPIKU!**

ZAREJESTRUJ
SIĘ NA
dkms.pl

W ciągu 12 lat działania Fundacji DKMS zarejestrowaliśmy ponad 1,7 miliona potencjalnych Dawców szpiku i komórek macierzystych.

Każdego dnia kolejni Dawcy z naszej bazy dają szansę na życie chorym na białaczkę i inne nowotwory krwi zarówno w Polsce, jak i na świecie.

PRZYŁĄCZ SIĘ DO WALKI Z NOWOTWORAMI KRWI!

ZOSTAŃ POTENCJALNYM DAWCĄ SZPIKU I KRWIOTWÓRCZYCH KOMÓREK MACIERZYSTYCH.

Dowiedz się więcej i zamów pakiet rejestracyjny na **dkms.pl**

PONAD 50 NAGRÓD I 40 NOMINACJI
W TYM:

PREMIOS
GOYA
9 NAGRÓD

9 NAGRÓD

CÉSAR
ACADÉMIE DES
ARTS ET TECHNIQUES
DU CINÉMA
NAJLEPSZY FILM
ZAGRANICZNY

FESTIVAL DE CANNES
CANNES PREMIERE
2022 OFFICIAL SELECTION

NAGRODY
LUMIERE
NAJLEPSZY FILM
ZAGRANICZNY

MPF
MIAMI
3
NAGRODY

MPF
TOKIO
3
NAGRODY

MPF
ALMERÍA
3
NAGRODY

MPF
SAN
SEBASTIÁN
NAGRODA
PUBLICZNOŚCI

W ROLI GŁÓWNEJ
DENIS MENOCHET
(„BĘKARTY WOJNY”, „DZIĘKI BOGU”, „TYLKO ZWIERZĘTA NIE BŁĄDZĄ”)

BESTIE

REŻYSERIA
RODRIGO SOROGOYEN

STRZEŻ SIĘ SWOICH SĄSIADÓW

W KINACH OD 25 SIERPNIA

